tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 13 (1368)
23-29.03.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

REKOMENDACJE I NAGRODY PO 7. KONGRESIE „ZDROWIE POLAKÓW" PROF. HENRYKA SKARŻYŃSKIEGO

JAN TRUSZCZYŃSKI
JAK UNIA BRONI SIĘ PRZED TRUMPEM

50 LAT APPLE'A

Każdy ma swoją historię
Napiszcie, jak to pamiętacie

Pamiętniki covidowe

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
13 >
9 771509 311607

·TEATR CAPITOL·

NOWOŚĆ

PÓŁ ŻARTEM...

tłumaczenie tekstu
i reżyseria
OLAF LUBASZENKO

autor PETER QUILTER

Piotr BONDYRA · Jakub DMOCHOWSKI · Pola GONCIARZ · Robert JANOWSKI · Justyna JELEŃ
Jakub KWAŚNIEWICZ · Olaf LUBASZENKO · Anna-Maria SIEKLUCKA
Jasper SOŁTYSIEWICZ · Michalina SOSNA · Beata ŚLIWIŃSKA · Krzysztof WIESZCZEK

GRAMY W CAŁEJ POLSCE · KUP BILET ·TEATR CAPITOL· · www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni · Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl b257565c1e

Robert Walenciak

MÓJ PRZEGLĄD

Jaka toczy nas choroba?

To plaga naszych lat – polityka staje się coraz bardziej knajacka. To w zasadzie wbrew logice, przecież świat jest coraz bardziej skomplikowany, zarządzanie jakimikolwiek procesami wymaga coraz większej wiedzy, poza tym rośnie grupa ludzi wykształconych. I co? I pojawia się Przemysław Czarnek, który woła: OZE-sroze, węgiel, węgiel! I to jest pomysł PiS na odzyskanie władzy.

Co ciekawe, szybko się okazało, że Czarnek zamontował na swoim domu panele fotowoltaiczne. Korzystając, a jakże, z unijnych dopłat, które zorganizowała gmina. Za panele i montaż instalacji zapłacił niewielką część kosztów, ledwie 8,1 tys. zł. A jego rachunki za energię spadły o ponad 1 tys. zł rocznie. Ale co tam! „Natychmiast, jak tylko minie okres trwałości projektu i spłaci mi się to wszystko, zdemontuję to świństwo!”, woła Czarnek.

My też wołamy: Premierze (in spe), odwagi! Wykaż się sprawczością! Teraz ściągaj panele! A my, dziennikarze, te 2 tys. zł, których ci brakuje do spłaty – dołożymy! To przecież będzie piękna transmisja, patrzeć na durnia, który wyrzuca z dachu fotowoltaikę! Ludzie będą to oglądać!

Koniec, panie Czarnek, gadania – do roboty! Wywal też tę płytę indukcyjną, którą masz w kuchni, i zamontuj sobie kuchenkę na węgiel, na niej gotuj obiady! Niech dym leci z komina! Śmiało! Daj przykład Polakom!

I teraz obstawiajmy: pójdzie Czarnek w polskość czy wciąż będzie ukrytą opcją probrukselską?

Przykład Czarnka, mającego ratować PiS przed upadkiem, nie jest niestety humorystyczną anegdotą, pokazującą, jak wiją się złapani za rękę załgani politycy. Jest smutny. Bo odbija się w nim wielka część Polski. Ta, która bierze pieniądze z Unii, różne dopłaty, także do tych paneli, ale bez żenady woła: precz z Brukselą! Wolna Polska! I nie widzi żadnego związku między przemianą, jaką przeszły w ostatnich 20 latach polskie miasta i wsie, a tym, że jesteśmy trwale zamontowani w zachodniej części świata.

A ten zachodni świat… Obserwujemy wojnę z Iranem. I słyszymy okrzyki Donalda Trumpa, że teraz świat ma się w tę wojnę zaangażować, wysłać swoją flotę i pilnować cieśniny Ormuz. Bo ropa drożeje. Biedny człowiek, czyżby podejmując decyzję o ataku na Iran, nie skalkulował, jakie mogą być tego konsekwencje? I to jest przywódca wolnego świata?

Człowiek na to patrzy i zastanawia się, jaka toczy nas choroba, że wielkim mocarstwem kieruje wyobraźnia 15-letniego chłopca. A w naszej Polsce największa partia opozycyjna wymyśliła, że powróci do władzy, mówiąc językiem średnio piśmiennego chłopa z podlubelskiej wsi. Smutne to, ale prawdziwe…

Grzegorzowi Bąkowskiemu, naszemu rysownikowi, serdecznie gratulujemy zdobycia nagrody specjalnej za rysunek „Zarzucono mi defraudację” opublikowany na łamach „Przeglądu”. Nagrodę przyznała Kapituła VIII Ogólnopolskiego Konkursu na Rysunek Prasowy im. Aleksandra Wołosa.

BĄKOWSKI

eprasa.pl b257565c1e

W NUMERZE

KRAJ

8 **Jak Unia broni się przed Trumpem**
– rozmowa z Janem Truszczyńskim

12 **Pamiętniki covidowe**
6 lat od wtargnięcia pandemii do Polski

17 **Apel „Przeglądu" cd.**

18 **O co chodzi w wojnie Nawrockiego z rządem?**
Prezydent chce więcej władzy

20 **Kapłan złomny**
Przypadki ks. Sławomira Żarskiego

ZDROWIE

22 **Po 7. Kongresie „Zdrowie Polaków"**
Rekomendacje i nagrody

OPINIE

26 **Waldemar Karpa**
Trumpa szaleństwa wszystkie

30 **Piotr Kimla**
Amerykańsko-izraelska wojna z Iranem a MAGA

ZAGRANICA

32 **Mundurowi zastąpią duchownych?**
W Iranie umacniają się Strażnicy Rewolucji

34 **Gazowy szach-mat**
Globalny rynek w cieniu wojny

48 **Kubańscy medycy w Kalabrii**
ratują szpitale przed zamknięciem

50 **Trzy wypadki i 11 zwęglonych zwłok**
Tesle jak śmiertelne pułapki

TECHNOLOGIE

38 **50 lat Jabłka**
Wzloty i upadki Apple'a

HISTORIA

42 **Premierzy Kaczyńskiego: od Mazowieckiego do Czarnka**
Ludzie coraz mniejszego formatu

SPORT

46 **Sprawni po szkodzie**
Niespełnione „remontady" Polaków

KULTURA

52 **Rodzina to pierwszy scenariusz**
– rozmowa z Emi Buchwald

54 **Jan Holoubek z Nagrodą Treugutta**
Za reżyserię spektaklu

56 **Życie i śmierć to zawsze splot okoliczności**
Tomasz Jastrun o depresji

60 **Qulturalia**

66 **Magda Kirk. Close to home**

PSYCHOLOGIA

61 **Efekt samotności**
Potrzebujemy być w grupie

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Robert Walenciak**
Jaka toczy nas choroba?

37 **Jan Widacki**
Wiosenne niedzielne przedpołudnie

41 **Roman Kurkiewicz**
Łapy precz od Kuby, globu i kosmosu!

55 **Tomasz Jastrun**
Na ostrym zakręcie

59 **Wojciech Kuczok**
Pogwarki o zwolnieniach i zniewoleniach

8
KRAJ

JAK UNIA BRONI SIĘ PRZED TRUMPEM
– rozmowa z Janem Truszczyńskim

52
KULTURA

RODZINA TO PIERWSZY SCENARIUSZ
– rozmowa z Emi Buchwald

61
PSYCHOLOGIA

EFEKT SAMOTNOŚCI
Potrzebujemy być w grupie

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b257565c1e

Jaki kandydat milczącej mniejszości?

Ankieterzy pytają wyborców o ich opcje polityczne i od dawna potwierdza się tylko, że elektoraty dzielą się mniej więcej po połowie na narodową prawicę i Polaków Europejczyków, nikt zaś nie jest zdolny przewidzieć, która szala w niedalekiej przyszłości przeważy. Ciekawszy byłby przybliżony portret kandydata, na którego głosowaliby ci, którzy na wybory w obecnym układzie się nie wybierają.

Czy byłby to ktoś w rodzaju Piłsudskiego, waleczny, autorytarny, oczytany, z gorącym, może też poetycznym polskim sercem (a broń Boże nie z wyświechtanym słowem, jak obecna „pierwsza osoba"). Ktoś swojski i zarazem hieratyczny, jak polski papież? Rabujący możnych panów bohater ludowy, jak Janosik? Nowoczesny, wszechstronnie wykształcony i celnie władający słowem hazardzista nowator? Człowiek charyzmatycznie tajemniczy, jak dawny prorok-szaman, czy otwarty i pogodny? A przede wszystkim ktoś, kto potrafi, poświadcza to czynem i imponuje innym narodom, jak Kościuszko (prezes PiS i dobierani przezeń ludzie są pod tym względem antywzorem i trudno o lepszy przykład niż porywczy kandydat na premiera).

Andrzej Lam

„Pan Tadeusz" a Unia Europejska

Trwa szeroka dyskusja o naszej przynależności do Unii Europejskiej. Mamy także Rok Andrzeja Wajdy, toczy się też szeroka, idiotyczna dyskusja, czy w szkołach „Pan Tadeusz" Adama Mickiewicza powinien być lekturą obowiązkową. Uświadomiłam sobie, że trzeba skorzystać z tej okazji i w jakiś sposób obrócić ten czas na korzyść naszej przynależności do Unii Europejskiej.

Pamiętać będę zawsze, jak mój ukochany Ojciec czytał nam na głos fragmenty „Pana Tadeusza", kiedy tylko miał czas. Czytał jak najlepszy aktor. Mickiewiczowski „Pan Tadeusz" powinien być lekturą obowiązkową w szkołach, a film Andrzeja Wajdy z pięknym polonezem Wojciecha Kilara powinien być właśnie w Roku Andrzeja Wajdy wyświetlany wszędzie. To jest świetna propaganda korzyści z naszej przynależności do Unii Europejskiej. A na lekcjach omawiany z tłumaczeniem tamtych czasów, abyśmy przypomnieli sobie naszą więź z Litwą i śmiertelne zagrożenia ze Wschodu.

Małgorzata Dąbek-Szreniawska

Nie lubię określenia „queer"

Mam jeden problem ze środowiskiem LGBT. Używanie przez niego określenia „queer", które po angielsku oznacza „dziwny". To tak, jakby osoby używające tego zwrotu wprost o sobie mówiły, że są „dziwakami", a przecież chyba nie chcą być tak odbierane? Tak chciałem to zostawić do rozmyślań wszystkim aktywistom LGBT, że mówienie o sobie dosłownie „dziwny" jest pewną oznaką autostygmatyzowania. Sam jestem osobą LGBT i nie lubię określenia „queer". Ciekawi mnie tylko, skąd w środowisku LGBT, z którym z wielu powodów się nie identyfikuję, takie umiłowanie do tego słowa, które siłą rzeczy stawia je w negatywnym świetle?

Tomasz Wasiołka

ZDJĘCIE TYGODNIA

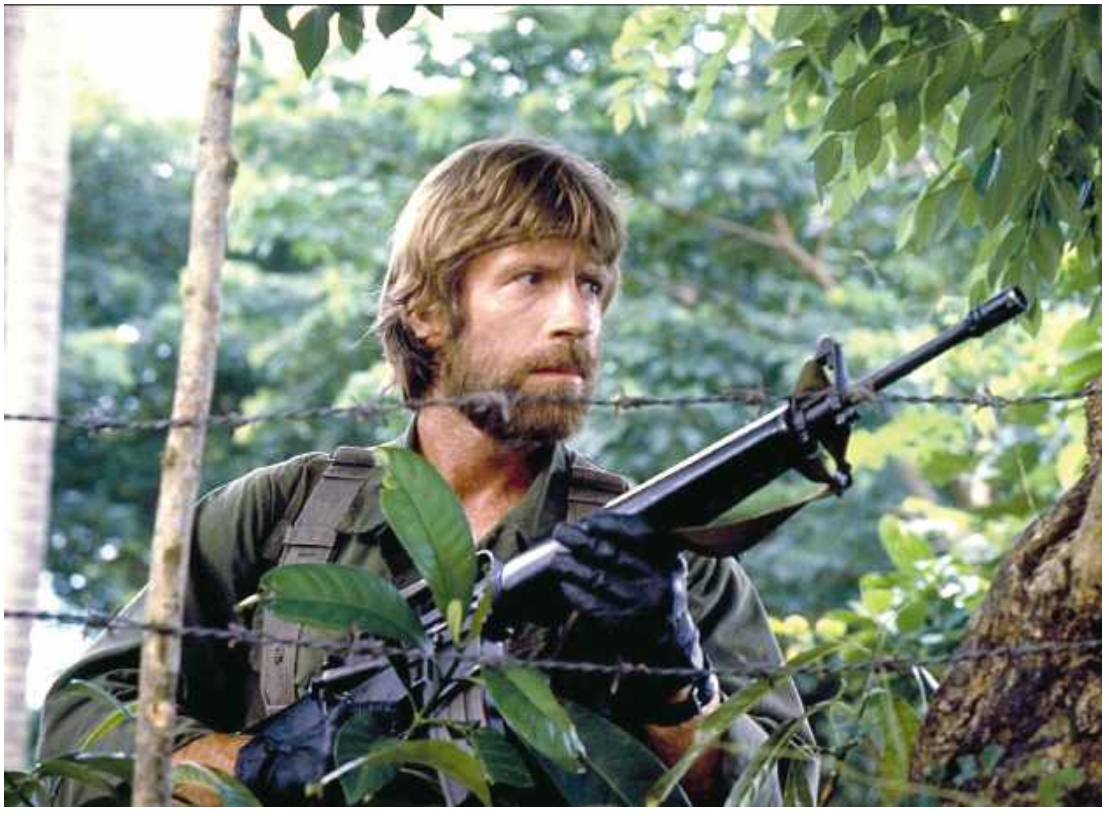

W wieku 86 lat zmarł Chuck Norris, legendarny bohater kina akcji, mistrz sztuk walki. Popularność zdobył w latach 70. i 80. dzięki takim filmom jak „Zaginiony w akcji" (na zdjęciu) czy „Oko za oko", grał także w serialu „Strażnik Teksasu".

FOT. THE CANNON GROUP INC./COLLECTION CHRISTOPHEL/EAST NEWS

eprasa.pl b257565c1e

Zasoby finansowe zgromadzone przez Polaków w 2025 r. mają wartość **2,52 bln zł**. W bankach ulokowano **1,44 bln zł**.

•

Po raz pierwszy Najwyższa Izba Kontroli skontroluje na pełną skalę, jak Narodowy Bank Polski zarządza swoim rocznym budżetem, czyli wydaje co roku 2 mld zł. Będzie to szeroka kontrola obejmująca całość działalności NBP.

•

Z **1,58 mln obywateli Ukrainy**, którzy przebywają w Polsce, największa grupa, **992 tys., ma numer PESEL**, 479 tys. ma zezwolenie na pobyt czasowy, a 100 tys. na pobyt stały lub ma status rezydenta długoterminowego UE.

•

Mimo rosnącego bezrobocia (najwyższego od pięciu lat) Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej przeznaczyło na walkę z bezrobociem ponad 40% mniej pieniędzy niż w 2025 r. Zamiast 3,6 mld zł – 2,1 mld zł.

•

Do sześciu uczelni wyznaniowych (Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Uniwersytetu Ignatianum w Krakowie, Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, Akademii Katolickiej w Warszawie, Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu i Prawosławnego Seminarium Duchownego) w ciągu pięciu lat trafiło z budżetu państwa ponad 2,3 mld zł, plus skarbowe papiery wartościowe.

•

Koncern Axel Springer po latach zabiegów wchodzi na rynek brytyjski. Za 575 mln funtów kupi dziennik „The Telegraph", jeśli rząd w Londynie zaakceptuje tę transakcję.

•

W Polsce ukazują się 22 dzienniki regionalne i lokalne oraz 10 dzienników ogólnokrajowych.

•

Jedynego polskiego Oscara otrzymał mieszkający w Kanadzie **Maciek Szczerbowski**, którego nagrodzono wspólnie z Chrisem Lavisem **za krótkometrażową animację „The Girl Who Cried Pearls"**.

•

50,9 mln biletów sprzedały polskie kina w 2025 r. Widzowie zapłacili za nie 1,2 mld zł.

•

W Polsce powstanie centrum technologiczne Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA). To wynik większego zaangażowania w badania kosmosu i zwiększenia naszej składki na najbliższe trzy lata do 731 mln euro.

•

Liderem sieci sprzedaży detalicznej jest Biedronka, która ma 3800 sklepów i wyprzedza Dino (3033 sklepy) oraz Lidla (993 sklepy).

•

31 mln zł przez dwa i pół roku wydały Koleje Mazowieckie na czyszczenie pociągów z graffiti.

•

W USA liczba osób z nadwagą wyższą niż 50 kg przekroczyła 22 mln. Otyłość zabija co roku 300 tys. Amerykanów. Ich leczenie kosztuje ubezpieczalnie 210 mld dol. rocznie, a społeczeństwo ok. 1,4 bln dol.

•

Przybywa wypadków z udziałem hulajnóg elektrycznych. W 2025 r. było ich 1164, o ponad 400 więcej niż rok wcześniej. Zginęło 11 osób, a 1062 zostały ranne. 70% to osoby poniżej 17. roku życia.

PRZEBŁYSKI

Pecunia Germanica non olet

Telewizja Republika buduje swoją popularność na antyniemieckiej histerii. Na paskach u Tomasza Sakiewicza są takie hasła jak: „Tusk szykuje uchwałę für Deutschland" czy „Der SAFE für Deutschland kaputt".

Za to w przerwach na reklamę emitowane są spoty m.in. sklepów Aldi. Założycielami firmy byli pochodzący z Essen bracia Karl i Theo Albrechtowie – jedni z najbogatszych ludzi w historii Niemiec. Przejąwszy w 1945 r. sklep matki, przekształcili go w globalną sieć, którą w 1961 r. podzielili na niezależne struktury: Aldi Süd (Karl) i Aldi Nord (Theo), która kontroluje „aldiki" działające w Polsce, a także w północnych Niemczech, we Francji i w innych krajach.

Który Sakiewicz jest prawdziwy? Ten ujadający na Niemców? Czy ten, który bierze od nich kasę?

Cień Epsteina nad VeloBankiem

Banki zarabiają krocie. Mają więc na łowienie nowych klientów. Konkurencja jest ostra, ale lider autopromocji – tylko jeden. VeloBank. Znani aktorzy w reklamach wabią i kuszą.

Co wiemy o tym do niedawna mało znanym banku? Od 1 sierpnia 2024 r. 100-procentowym właścicielem akcji VeloBanku jest amerykański fundusz Cerberus Capital Management z partnerami, kierowany wcześniej przez Steve'a Feinberga. Jego nazwisko pojawia się w 20 dokumentach z akt Epsteina, a Cerberus w 359 wiadomościach. Są zarzuty, że fundusz mógł pomagać Epsteinowi w operacjach bankowych.

VeloBank to dawny Getin Noble Bank odebrany Leszkowi Czarneckiemu i sprzedany Amerykanom za grosze. Czarnecki podpadł pisowskiej władzy, ujawniając, że Marek Chrzanowski, szef Komisji Nadzoru Finansowego, chciał od niego 40 mln łapówki.

Awangarda dla znajomych

Miało być tak nowocześnie, że zazdrość dopadłaby Nowojorczyków. Miało być awangardowo. Po amerykańsku. Bo przecież Muzeum Sztuki Nowoczesnej zaprojektował amerykański zespół. Obdarowany nowym budynkiem lud stolicy miał podążać za tym kawałkiem awangardy. Zaczęło się z przytupem. Dyrektorka muzeum Joanna Mytkowska miała wizję. I nie lękała się jej głosić. Na tle budynku, który jest bliźniaczo podobny do pewnej sieci handlowej. Choć są i tacy, którym muzeum Mytkowskiej kojarzy się z kurnikiem. A nawet z klatką.

Mytkowskiej minął rok w nowej siedzibie. Niestety, najlepiej wychodzi jej autopromocja. I znajomości z urzędnikami ratusza. Innych nie zaszczyca nawet odpowiedzią na listy.

FOT. YOUTUBE (2), SHUTTERSTOCK

eprasa.pl b257565c1e

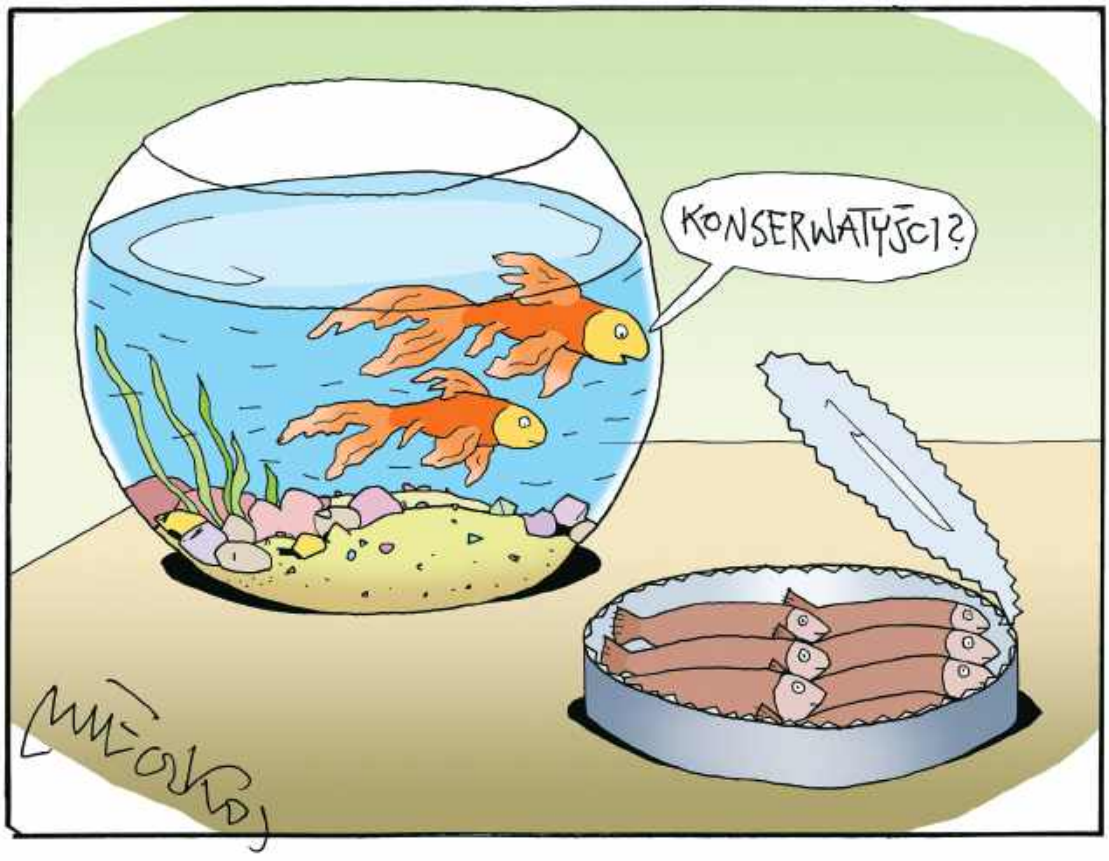

mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

NAWROCKI BRONI INTERESÓW AMERYKI I TRUMPA

Czegoś tu nie rozumiem. Swego czasu obóz postsolidarnościowy, który się dorwał do władzy po 1989 r., piętnował Edwarda Gierka za to, że podczas swoich rządów zadłużył Polskę na 40 mld dol. To nic, że te pieniądze poszły na inwestycje, rozwój przedsiębiorstw, rozbudowę linii energetycznych, zakup patentów i innowacyjnych rozwiązań, z których części do dziś korzystamy. To nic, że połowę tego długu umorzono po operacji „Samum". Najważniejsze dla nich było to, że Gierek zostawił kraj z długiem na dwa pokolenia Polaków.

Nawrocki broni interesów Ameryki i Trumpa

Polityczne chodzi o to, żeby wydawać pieniądze na zakup broni amerykańskiej

PROF. MARCIN BIELSKI

Dziś w Polsce, kraju, w którym mamy 300-miliardową dziurę budżetową i 2 bln długu, branie kolejnych pożyczek, które zmniejszają budżet o kwoty na obsługę tych długów, to cnota i powód do dumy. Ludzi nawołujących do opamiętania się w szybkości zadłużania kraju nazywa się zakutymi łbami. Niestety, nikt nie chce pamiętać, do czego nadmierne zadłużanie się doprowadziło Grecję kilka lat temu.

O ile jeszcze jakiś sens miałoby zadłużanie kraju, żeby doprowadzić do inwestycji, na których kraj będzie zarabiać, o tyle zadłużanie go, żeby wydać na zbrojenia, to wyraz szaleństwa. Nie ma co pokładać wiary, że to inwestycja w przemysł zbrojeniowy, ponieważ z powodu wieloletnich zaniedbań musielibyśmy ten przemysł stawiać od początku. Nie mamy sprawnych kopalni surowców, hut, przemysłu elektrycznego i elektronicznego, a tu nam obiecują fabryki pojazdów wojskowych, broni czy amunicji. Dzisiaj FAM Pionki ledwie pokrywa zapotrzebowanie na amunicję myśliwską, a FB Radom nie jest w stanie wyprodukować działającego karabinka szturmowego. I nawet jeśli jakimś cudem uda się postawić fabrykę np. karabinów, trzeba sobie zadać pytanie, czy potencjalny nabywca zaufa nowej konstrukcji, czy wybierze sprawdzoną broń od Českiej zbrojovki, Hecklera & Kocha czy Glocka?

Założę się, że znowu wyjdzie na to, że rządzący na łapu-capu będą kupować militarny złom, a cała jego obsługa będzie u producentów za granicą. Za to może nasze wnuki spłacą ten dług i obejrzą sobie ten militarny złom w muzeach.

Michał Czarnowski

eprasa.pl b257565c1e

Jak Unia broni się przed Trumpem

Nie użerać się nadmiernie z Ameryką

Rozmawia Robert Walenciak

JAN TRUSZCZYŃSKI
– dyplomata, główny negocjator członkostwa Polski w Unii Europejskiej, były ambasador RP przy UE

Gdy rozmawialiśmy rok temu, mówił pan, że Europa musi się wziąć w garść. Bierze się?

– Europa już wtedy była w trakcie brania się w garść. Sprawy przyśpieszyły po 20 stycznia 2025 r. i po pierwszych zimnych prysznicach, jakie otrzymała z Waszyngtonu. Wtedy stało się jasne, że działania na rzecz większej samodzielności, odpowiedzialności za samego siebie, własnego przemysłu zbrojeniowego mają sens, są potrzebne i trzeba je wykonywać szybciej. I to się dzieje. Chociażby instrument finansowy SAFE, który jest wdrażany, i to w tempie, które zostało zaprogramowane w pierwszej połowie ubiegłego roku, kiedy był przygotowywany i negocjowany.

Wtedy ustalono, że ma to być program europejski, i wyznaczono limit 35% dla zamówień spoza Unii Europejskiej.

– W finalnej wartości komponentów użytych do wytworzenia gotowego produktu maksymalnie 35% może pochodzić spoza Unii Europejskiej.

Te 35% bardzo rozeźliło Amerykanów. Dwóch ich ambasadorów, przy Unii i w NATO, napisało w tej sprawie list, żądając dopuszczenia firm amerykańskich bez limitów.

– Widziałem ten list. Nie zaskoczył mnie specjalnie, bo lobbing jest rzeczą naturalną i w sumie nieuchronną. Mnie tylko zaskakuje, że to dokonuje się tak późno, podczas gdy warunki uczestnictwa w programie SAFE, wszystkie parametry, znane są od 29 maja 2025 r.

A nie zdziwiła pana forma listu? Te bardzo obcesowe argumenty.

– No cóż, zawsze wielu ambasadorów amerykańskich było nominatami politycznymi, w jakiś sposób związanymi z aktualnym prezydentem. W tym sensie *nihil novi sub sole*. Ale obecni ambasadorowie amerykańscy przyjęli sposób zachowania filmowego wojownika – który energicznie, siłowo wkracza w politykę wewnętrzną kraju przyjmującego i usiłuje w nim zaprowadzać amerykańskie czy raczej trumpowskie porządki. W ostatnich tygodniach widzieliśmy nie tylko zaskakujący i zdumiewający wybryk ambasadora Rose'a tutaj, w Polsce, ale również wyczyny ambasadora Billa White'a w Belgii, popisy ojca Jareda Kushnera, Charlesa Kushnera, we Francji, wygłup ambasadora amerykańskiego w Kopenhadze, popis kandydata na ambasadora w Islandii – ten jeszcze się nie znalazł w Rejkiawiku, a już spekulował, że kraj mógłby się stać 52. stanem USA… To po prostu dzisiejsza przeciętna jakość ambasadora amerykańskiego.

Unia wstrząśnięta. I co dalej?

Jak to działa na Europę?

– Te rzeczy, o których przed chwilą powiedziałem, nie są najistotniejsze. To jedna z twarzy obecnej Ameryki. Natomiast wszystko to, co stanowi bezpośrednią amerykańską ingerencję w sprawy europejskie – próby zmiany sytuacji politycznej w poszczególnych krajach, osłabiania Unii Europejskiej – buduje przekonanie, że trzeba silniej angażować się w proces jej wzmacniania.

Odnoszę wrażenie, że w Unii w ostatnim czasie nastąpiła duża zmiana. Obronność: mamy SAFE i nie tylko. Sprawa handlu: podpisano umowę UE-Mercosur i umowę z Indiami. Proces decyzyjny: jeszcze

eprasa.pl b257565c1e

dwa lata temu każde państwo w danej sprawie miało zwykle własną opinię. Teraz zbierają się razem i wydają wspólny komunikat. Albo trójka, albo czwórka, albo szóstka. Czy to jest realna zmiana?

– Myślę, że poszedł pan o krok za daleko. To, że gremia decyzyjne zbierają się częściej i nie marnują czasu na tematy poboczne, ale zajmują się sprawami najważniejszymi, jest potrzebne i słuszne. Nie odnoszę jednak wrażenia, że posunęliśmy się daleko w kwestii efektywności i szybkości procesu kształtowania decyzji. Jest tego wiele przykładów. Chociażby sprawa Unii Oszczędności i Inwestycji.

O co w niej chodzi?

– O to, żeby stworzyć wyższy poziom integracji rynków kapitałowych w Europie, stworzyć warunki i bodźce dla obywateli do inwestowania w nowoczesne gałęzie przemysłu, w sektor obronności wewnątrz Europy. Żeby te pieniądze nie wypływały do amerykańskich funduszy inwestycyjnych, tak jak do tej pory to ma miejsce.

Jeżeli prywatne oszczędności obywateli Unii wynoszą 10 bln euro, to pieniądze te powinny pracować na podmioty europejskie, a nie fundusze amerykańskie.

– Jeśli więc chodzi o projekt Unii Oszczędności i Inwestycji – nie mogę powiedzieć, że nie posuwamy się do przodu na ścieżce do jej utworzenia. Ale moim zdaniem posuwamy się wolno. Rezultatów jest niewiele.

Prezydent Francji Emmanuel Macron, premier Danii Mette Frederiksen, kanclerz Niemiec Friedrich Merz i premier Donald Tusk przed spotkaniem Grupy Kontaktowej ds. Ukrainy na Szczycie Europejskiej Wspólnoty Politycznej. Kopenhaga, 2 października 2025 r.

Jak sobie radzić wśród tygrysów

Wszystko zatem po staremu?

– Mógłbym ciągnąć tę litanię naszych niedoróbek czy słabości, ale dla zrównoważenia powiem, że nareszcie zaczynamy stosować, również w dużych tematach, koalicje chętnych, wykorzystując instrumenty traktatowe i mechanizm wzmocnionej współpracy. Decyzja o tym, że w latach 2026-2027 udzielimy Ukrainie 90 mld euro pożyczki, plus granty, została podjęta de facto w ramach wzmocnionej współpracy. Węgry, Słowacja i Czechy nie partycypowały w tym, ale też nie zablokowały pozostałym podjęcia takiej decyzji. Są rzeczy, które jednak się udają.

Czyli nie wszystko stracone.

– Ale za wolno się poruszamy. Żeby sobie wśród tygrysów dawać radę w warunkach, w których prawo międzynarodowe nie jest już tak przestrzegane, trzeba być nie tylko silniejszym, ale i sprawniejszym.

Jednak z Grenlandią się udało. Obroniliśmy Grenlandię przed Trumpem?

– W tej sprawie, myślę, kalkulacje natury wewnątrzpolitycznej i potencjalne koszty wewnątrzpolityczne były dla Trumpa bardziej rozstrzygające niż opór partnerów europejskich. Mam na myśli ryzyko wzrostu kosztu emisji długu amerykańskiego, ryzyko tąpnięć giełdowych oraz pogłębienia się podziałów wewnątrz Partii Republikańskiej. Choć jednolitość reakcji europejskich i siła tych reakcji też były czynnikiem, który powstrzymał Trumpa. Poza tym proste postawienie sprawy. Chcecie inwestować w infrastrukturę obronną na Grenlandii? Prosimy bardzo. Chcecie zwiększyć obecność i liczebność swoich wojsk? Nie ma przeszkód. Czyli nie trzeba okupować Grenlandii, żeby uzyskać poprawę obrony Ameryki. Dobrze się stało, że Europa reagowała tu w sposób zdecydowany.

W ostatnich tygodniach mieliśmy wybryk ambasadora Rose'a w Polsce, ale i wyczyny ambasadora Billa White'a w Belgii czy popisy Charlesa Kushnera we Francji.

Zbierają się kolejne Rady Europejskie, kwestia Savings and Investment Union będzie oczywiście omawiana i… Ja oczywiście nie krytykuję tego nadmiernie, jesteśmy bowiem konfederacją państw, więc również proces decyzyjny nie może przebiegać tak, że rano zaproponowali, a po południu już Sejm uchwalił. Nie odnoszę jednak wrażenia, że jesteśmy wyraźnie szybsi i sprawniejsi.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, DPA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b257565c1e

A w sprawie big techów? Jest szansa, że Europa zacznie lepiej pilnować własnych interesów?

– Na niewielką skalę to się dokonuje. Próby egzekwowania obu głównych europejskich aktów prawnych, o europejskich rynkach cyfrowych i europejskich usługach cyfrowych, cały czas mają miejsce. Próby stworzenia narzędzi, które byłyby narzędziami europejskimi i umożliwiały odejście od posługiwania się np. narzędziami Microsoftu, też są podejmowane. Francja i Niemcy już działają w kierunku stworzenia narzędzi, które będą uniezależnione od amerykańskiego software'u i od amerykańskiej kontroli nad danymi. To jeden z kierunków działania, również na poziomie Europy, żeby stworzyć większą autonomię strategiczną.

A efekty?

– Zobaczymy, jak to będzie wyglądało w nowym, wieloletnim budżecie Unii Europejskiej, który do końca 2026 r. ma być wynegocjowany. Mają być w nim instrumenty finansowe wspierające rozwój własnego przemysłu półprzewodników, komputerów kwantowych, wdrażania narzędzi sztucznej inteligencji. Wiem, znaczna część tych zapisów jest na poziomie politycznych deklaracji i życzeń, ale to później przekształca się w praktyczne instrumenty działania.

Mercosur, Indie i cła Trumpa

Mamy umowę Unia-Mercosur i umowę z Indiami. To chyba znak nowej, bardziej energicznej polityki.

– W sumie nic nowego. Z Indiami rozmowy trwały, z przerwami, od 2007 r. Mercosur – to zaczęło się jeszcze wcześniej, pierwsze rozmowy prowadzono w 1999 r. Ale przecież Unia podpisała umowy nie tylko z nimi. Z Japonią to wyszło, z Singapurem, z Wietnamem, z Koreą Południową. Jest też Ukraina. W wielu miejscach świata postawiliśmy mocniej stopę gospodarczą jako Unia Europejska. Patrzę na Mercosur jako na umowę ważną, ale bez przesady. To będzie bardzo niewielki impuls wzrostowy dla gospodarki europejskiej. Indie podobnie – nie należy oczekiwać cudów, bo łączny wolumen wymiany towarowej i usług nie jest aż tak duży. Ale oczywiście te umowy są lepsze niż sytuacja, gdy ich nie było.

Polska prawica twierdzi inaczej.

– Martwi mnie dyskusja w Polsce dotycząca umowy z krajami Mercosur – jej zawartość, tonacja i jej prymitywizm. Ta narracja jest niezwykle uproszczona i sprowadza się do rzekomych zagrożeń dla rolnictwa, w praktyce zagrożeń niewielkiej skali, dotyczących producentów wołowiny i drobiu. Historia integracji pokazuje, że nawet tam, gdzie wyzwania w sferze rolnictwa wydawały się bardzo duże, np. gdy Hiszpania przystępowała do dziewiątki europejskiej albo gdy Polska przystępowała do piętnastki, mieliśmy strach po obu stronach. Wołano: co to będzie w rolnictwie francuskim czy włoskim po wejściu Polski do Unii? Wszystko dało się opanować i wszyscy znaleźli miejsce na powiększonym rynku. I tu ma prawo być bardzo podobnie, jeśli nie identycznie.

A czy obroniliśmy się przed cłami Trumpa? Bo straszył nimi Unię i przecież zostały wprowadzone.

– W pierwszej połowie ubiegłego roku sporo było głosów w krajach członkowskich, w think tankach europejskich, za celowością postawienia się Ameryce i negocjowania z pozycji równego partnera, żeby nie powiedzieć z pozycji siły. Ale tego nie zrobiono, przeważyły obawy o konsekwencje krótkoterminowe, negatywne w przypadku nałożenia przez Trumpa ceł karnych na eksport europejski. No i zadziałał czynnik strategiczny, obawa przed wycofaniem się Ameryki ze współpracy z Europą w sprawie Ukrainy. Czyli poszliśmy na rękę Amerykanom. Można powiedzieć: nierównoprawna umowa, Ursula von der Leyen pojechała na pole golfowe Trumpa w Szkocji i tam doszło do ostatecznego porozumienia.

Niekorzystnego dla Unii.

– Jak się spojrzy na efektywne obciążenie dla gospodarki europejskiej wywołane cłami Trumpa, jest ono bardzo niewielkie. Efektywny poziom obciążenia celnego – nie będę wchodził w szczegóły – był znacznie niższy niż te 15%, na które się zgodziliśmy. Poza tym grubo ponad 90% kosztów tej operacji poniósł konsument amerykański, bo wszystko zostało przeniesione na cenę finalną. Dodam do tego, że w 2025 r. bilans handlowy Europy, jeśli idzie o wymianę towarową z Ameryką, nie pogorszył się, lecz poprawił. Mamy lekki wzrost, deficyt amerykański jest nieco większy niż w 2024 r., jeszcze sprzed Trumpa. Można więc powiedzieć, że nic takiego się nie stało.

A gdyby Unia była twardsza?

– Wielu byłych działaczy, urzędników europejskich, podobnie jak ja uważa, że już w pierwszej połowie zeszłego roku trzeba było bardziej Ameryce się postawić. Mamy równie silne narzędzia w sferze zewnętrznej polityki handlowej co Amerykanie i jesteśmy w tych sprawach równie duzi, jeśli nie więksi niż całe Stany Zjednoczone. Jak będzie dalej, zobaczymy. Ale wyczuwam nastrój i generalne podejście, że nie będziemy w tych sprawach nadmiernie użerać się z Ameryką. Przecierpimy, a co dalej, to się zobaczy.

Wołano: co to będzie w rolnictwie francuskim czy włoskim po wejściu Polski do Unii? Wszystko dało się opanować i wszyscy znaleźli miejsce na powiększonym rynku.

W 2025 r. bilans handlowy Europy, jeśli idzie o wymianę towarową z Ameryką, nie pogorszył się, lecz poprawił. Deficyt amerykański jest nieco większy niż w 2024 r.

eprasa.pl b257565c1e

Europa płaci

W efekcie Europa płaci. Musimy płacić więcej na zbrojenia, musimy płacić za energię, bo jest coraz droższa, i za surowce. Mamy też amerykańskie cła. Czy Europę na te obciążenia stać?

– Na to pytanie nie mam odpowiedzi. Wolałbym, żebyśmy nadmiernie się nie uzależniali od nikogo. Ale wie pan… W swoim czasie przyjęło się w Unii Europejskiej, że dywersyfikujemy import surowców energetycznych i trzeba osiągnąć sytuację, w której znikąd nie będziemy ciągnąć na rynek europejski więcej niż jedną trzecią potrzebnej nam ropy naftowej czy gazu ziemnego. Na tej zasadzie Rosja miała zjechać poniżej jednej trzeciej. A wyszło na odwrót – jej udział wzrósł, przed napaścią na Ukrainę, do niemal 40%, jeśli idzie o import gazu. A teraz, jeśli idzie o gaz skroplony, 60% tego, co importuje Europa, to są Stany Zjednoczone. Czy tak duże uzależnienie od Ameryki jest w naszym interesie? No i jeszcze ta wojna na Ukrainie, którą Europa finansuje w tej chwili w całości. Amerykańskie zaangażowanie finansowe w pomoc dla Ukrainy zjechało prawie do zera.

Europa wszystko finansuje, kupuje od Ameryki broń dla Ukrainy. A ten niespełna 1% to rozpoznanie satelitarne.

– Starlinki też Europa finansuje, zwłaszcza Polska. Cóż, Europa kupuje dla Ukrainy, Trump się cieszy, dlatego że to nabija kabzę amerykańskiemu przemysłowi zbrojeniowemu. Przy czym ten przemysł nie produkuje w takiej skali, która byłaby rzeczywiście optymalnie wysoka, patrząc na potrzeby ukraińskie. Myślę m.in. o pociskach do baterii rakietowych Patriot. Argumentowane jest to potrzebami samych Stanów Zjednoczonych i wojny w Zatoce. Zresztą, jak tak dalej będzie szło intensywne bombardowanie celów na terytorium Iranu, to zapasy amerykańskie zredukują się na tyle, że trzeba będzie dłuższego czasu na ich odbudowę i przywrócenie pełnej zdolności obrony Ameryki. Oznacza to, że większy ciężar spoczywa na Europie, że są trudniejsze warunki dla Ukrainy i jeszcze trudniejszy dostęp do zaawansowanych systemów, takich jak Patrioty czy Tomahawki. Poza tym pojawiają się znaki zapytania, czy Europa da się wciągnąć w wojnę.

A da?

– Dziś nie widzę perspektyw ani potrzeby jej militarnego zaangażowania.

A gdy wojna, która sięga też Libanu, wywoła nową falę uchodźców?

– Oby ani z Iranu, ani z innych krajów Bliskiego Wschodu już nigdy ludzie nie musieli uciekać. Gdyby jednak zaczął się exodus, to na fale uchodźców wystawione byłyby w pierwszym rzędzie kraje bezpośrednio sąsiadujące. Wiadomo, że odpowiednie plany ewentualnościowe ma już np. Turcja. Natomiast kraje Unii Europejskiej przygotowują się do podobnych scenariuszy już od wielu lat, wdrażając swój pakt o migracji i azylu.

Co nam zrobił Trump?

Czy po tym roku Europa nabiera masy politycznej? Staje się mocniejsza, niż była?

– Wiele argumentów i faktów za tym przemawia. A jednocześnie nie możemy zapominać o pewnej chwiejności i labilności politycznej w krajach europejskich. To, w jakim kierunku pójdzie nasza zbiorowa polityka, nadal jest w wysokim stopniu uzależnione od, primo, kalkulacji, jak sobie radzić z populizmem i nacjonalizmem w poszczególnych krajach, secundo, co robić, jeżeli populista-nacjonalista wygra wybory, zwłaszcza w istotnym kraju Unii Europejskiej, i zacznie wprowadzać w życie swoją nacjonalistyczną ideologię i nieskrępowany populizm à la Trump.

I jak te kalkulacje wyglądają?

– Malowano diabła na ścianie, kiedy Giorgia Meloni miała obejmować stery rządu we Włoszech, i okazało się, że niepotrzebnie. Jeszcze rok temu były wręcz histeryczne prognozy dotyczące spraw we Francji i w Europie w przypadku objęcia władzy prezydenckiej przez kogoś z Rassemblement national, Marine Le Pen czy Jordana Bardellę. Dziś widzę, że jest to coraz bardziej relatywizowane. Również dzięki temu, że nacjonaliści europejscy, żeby zbierać wyborców, muszą się dystansować od ruchu MAGA i od działań prezydenta Trumpa, co spycha ich w kierunku mainstreamu europejskiego. Ale, mimo wszystko, pozostaje labilność i niepewność co do całościowego biegu wydarzeń. Jeśli Rassemblement national obejmie władzę we Francji, jeśli AfD w Niemczech uzyska większy wpływ na politykę federalną, możemy się potknąć, i to mocno. Taka jest natura Europy. Tu nie ma jednego ośrodka decyzyjnego, jesteśmy skazani na dogadywanie się między 27 suwerennymi krajami i z tym musimy pozostać.

> Francja i Niemcy już działają w kierunku stworzenia narzędzi uniezależnionych od amerykańskiego software'u i od amerykańskiej kontroli nad danymi.

Społeczeństwa są przeciwko Trumpowi, więc i politycy muszą iść za głosem swoich wyborców.

– Taki trend zdaje się wyłaniać i jest to widoczne w wielu krajach Europy Zachodniej. Aczkolwiek jeszcze nie osiągnęliśmy takich dowodów jak np. w Kanadzie czy w Australii, gdzie tamtejsi trumpiści stracili bardzo na znaczeniu, a wygrali ci, których skazywano na polityczne pożarcie. Takie są skutki Trumpa tam, oby takie same były w Europie Zachodniej.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Poprzedni wywiad z Janem Truszczyńskim, „Co zrobić, gdy Ameryka odchodzi" (nr 15/2025), można znaleźć w archiwum „Przeglądu": www.tygodnikprzeglad.pl/archiwum/.

eprasa.pl b257565c1e

Pamiętniki covidowe

Każdy ma swoją historię. Napiszcie, jak to pamiętacie

Beata Igielska

Spięcie w ciele i potworny lęk. Nawet nie strach, bo ten jest fizyczny. Co to będzie, czy przeżyjemy, kiedy złapiemy COVID-19? Ta odmiana była szczególnie zjadliwa. Czy będziemy mieli za co żyć? I jak w ogóle żyć, gdy nie można wyjść na powietrze?

Puste ulice. Wszyscy siedzieliśmy w domach. Co kilka minut pod oknem przejeżdżał samochód szczekaczka. Echem odbijało się: „Zostańcie w domu" z głośnika. Jednocześnie widzieliśmy podpuchnięte oczy ówczesnego ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego i słyszeliśmy propagandowe zapewnienia rządu. „Jesteśmy przygotowani na koronawirusa niezależnie od skali zachorowań", mówił 25 lutego 2020 r. szef Kancelarii Premiera Michał Dworczyk. Powtórzył to 3 marca premier Mateusz Morawiecki, dodając: „Na tym etapie choroby Polska stosuje najlepsze praktyki". Dzień przed wykryciem pierwszego przypadku SARS-CoV-2 w Polsce.

4 marca 2020 r. usłyszeliśmy: pacjent zero w Polsce.

Pierwszy pacjent, pierwsze zgony

4 marca 2020 r. Ministerstwo Zdrowia podało wiadomość o pacjencie zero w Polsce. 66-letni wówczas Mieczysław Opałka trafił do zakaźnego Szpitala Uniwersyteckiego w Zielonej Górze. O kolejnych pacjentach zaczęto informować jako o „podejrzanych o koronawirusa". To piętnowało niczym popełnienie przestępstwa. Mieczysława Opałkę leczył Jacek Smykał, kierownik oddziału zakaźnego. Dobrze pamięta, jak umierały całe rodziny – jedna osoba się zarażała, a potem już szło. Część pacjentów umierała pod respiratorem. Lekarze działali po omacku. Nikt nie wiedział, czy leki antywirusowe będą skuteczne. Leczyli więc objawowo, z różnym skutkiem.

Lockdown postępował: 10 marca odwołano wszystkie imprezy masowe; 12 marca zamknięto szkoły i uczelnie; 15 marca wprowadzono kordon sanitarny na granicach; 20 marca zamknięto puby, restauracje i obiekty sportowe, a 25 marca wprowadzono ograniczenia w kontaktach między ludźmi. Zorganizowano 10 tys. łóżek respiratorowych, z czego w szpitalach zakaźnych 1,4 tys. Czekały na pacjentów. Niestety, niemal natychmiast pojawiły się fałszywe zbiórki pieniędzy na medyków czy wyłudzenia danych na sanepid. Nastąpił zalew cyberprzestępstw.

Chyba nie bardzo wiedziano, co robić, więc w wyniku takich nieprzemyślanych decyzji zamknięto parki i lasy. Gdy jeden z parków otworzono, wylała się fala nienawiści. Co najmniej jedna trzecia społeczeństwa marzyła wówczas o karaniu za najdrobniejszą niesubordynację wobec kolejnych rozporządzeń i obostrzeń. Z cyklu tęsknota za policją: „Zwiększyć liczebność policji". Z cyklu wysokie mandaty: „Po kilka tysi za brak maski". Z cyklu wujek dobra rada: „Nie chce chodzić w masce, to niech siedzi przed TVP!" i „Zabronić 13+ łazić po dworze". Głosy ironiczne: „Dobrze wytresowane społeczeństwo. Aport. Siad. Oddychać. Nie oddychać", „To dobrze, że policja nie bije i nie aresztuje już Polaków za jazdę na rowerze, tankowanie benzyny czy wymianę opon". Wkurzone: „To są kpiny, pośmiewisko z Polaków, z wydumanej epidemii zrobić dyktaturę".

Ludzie w maseczkach zaczęli mniej kontrolować emocje. Osoby starsze i cierpiące na otyłość mdlały, choć jeszcze nie było upałów.

A gdy ludzie tracą kontrolę nad życiem, zwracają się ku autorytaryzmowi. Oczekują twardych zasad, nawet ograniczenie wolności jest odbierane pozytywnie. Sami obywatele dążyli do kontrolowania innych i zakazywania. Polacy najbardziej nie lubili łamiących zasady kwarantanny, domagali się coraz większych kar za omijanie obostrzeń. Skoro zewsząd słychać: „Zostań w domu", pojawiła się agresja nawet wobec osób spacerujących po pustej ulicy. Były napastliwe zachowania wobec chińskich studentów i brutalne pobicie pochodzącego z Chin kucharza, który od 25 lat mieszkał we Wrocławiu, czy żądanie rodziców dzieci z międzynarodowego przedszkola, by usunąć z pracy nauczycieli azjatyckiego pochodzenia. W centrum Warszawy grupa młodych kobiet i mężczyzn lżyła studentki z Wietnamu. Do jednej krzyczeli: „K… won!", obrzucili ją śmieciami, pluli w jej stronę, a gdy próbowała odejść, szli za nią. W marcu wiele hosteli, powołując się na nowe rozporządzenia, domagało się wymeldowania osób niepolskiego pochodzenia.

Działaniom „komand obywatelskich" i donosicielstwu sprzyjały akcje policji: mandaty za jazdę na

eprasa.pl b257565c1e

Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny nr 4 w Lublinie, izolacyjny oddział dla osób chorych na koronawirusa, 11 listopada 2021 r.

rowerze czy za mycie auta, zmuszanie obywateli do tłumaczenia się, dlaczego wyszli na spacer. Do koktajlu nienawiści dołączyło Radio Maryja. W internecie zaroiło się od teorii spiskowych: Chiny, Ameryka, Żydzi i Bill Gates wynaleźli koronawirusa do własnych celów. „Życzliwi", fotografując kogoś bez maseczki, wierzyli, że wypłaszczają krzywą zachorowań. Podobne zachowania pojawiały się na całym świecie.

Jacek Smykał, kierownik oddziału zakaźnego, dobrze pamięta, jak umierały całe rodziny – jedna osoba się zarażała, a potem już szło.

Oszuści podszywali się pod przedstawicieli sanepidu i dzwonili z prośbą o podanie danych osobowych w celu umówienia na test. Niemal normą stali się ludzie w maseczkach uciekający ze stacji benzynowych przed płaceniem. Złodziei w maseczkach bały się także sklepy. Okradano samochody, domy, z placów budowy znikały betoniarki, piły spalinowe i inne narzędzia oraz sprzęt budowlany. Pewien złodziej chodził po sklepie z kalkulatorem, aby ukraść towar za maksymalnie 500 zł. Pomylił się: wartość rzeczy, które wybrał, wyniosła 506 zł, a to już było przestępstwo.

Ofiarą hejtu padali medycy, sąsiedzi nazywali ich „zarazą". Pielęgniarka gliwickiego szpitala, wychodząc rano do pracy, zobaczyła swój samochód umazany farbą i z przebitymi oponami. To jedna z tych, które chodziły do chorych, pobierały krew i miały z nimi kontakt cieplejszy niż lekarz... Nie mogły spać, rozmyślały. Te, które miały dzieci w wieku szkolnym, nie były w stanie pomagać im w lekcjach ze względu na ciągłe dyżury. Z trudem radziły sobie z wyrzutami sumienia. Dziecko czasami długo nie widziało rodzica. Spotkanie to scena rozrywająca serce. Do Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie spływały informacje o oblanych farbą drzwiach mieszkań lekarzy i ratowników medycznych. Niekiedy samozwańczy szeryfowie wyrzucali lekarkę ze sklepu, bo „pozaraża wszystkich".

Ale były też akcje dostarczania lekarzom ciepłych posiłków, szycia maseczek czy działania Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. I o tym nie można zapominać.

Samotne pobyty w szpitalu

Siedzenie w domu, praca zdalna, dzieci na głowie, a jednocześnie pozostawanie przez cały czas w sieci. Kto miał kawałek działki czy ogródka, czuł się wygrany. Ludzie na wsi zupełnie inaczej doświadczyli pandemii. Tymczasem w miejskich ciasnych mieszkaniach eskalowały konflikty.

To nie sprzyjało ani zdrowiu psychicznemu, ani fizycznemu. Spośród tych, którzy zachorowali, do tej pory sporo ludzi walczy z pocovidową mgłą mózgową czy z niepełnosprawnością fizyczną.

Dla pacjentów covidowych okropne było też to, że w szpitalu nie widzieli twarzy medyków. Kosmiczne ubiory ochronne – te gogle, maseczki, kombinezony, dodatkowe ochraniacze – wzbudzały niepokój. Starsi ludzie czasami reagowali lękiem.

Marcin Kociński z Mazowsza, wówczas lat 40+, bez chorób współistniejących, spędził miesiąc w Centralnym Szpitalu Klinicznym Ministerstwa Obrony Narodowej przy ul. Szaserów w Warszawie. Potem miesiącami walczył o kondycję.

eprasa.pl b257565c1e

– Covid nieźle poharatał mój organizm – przyznał w rozmowie z „Przeglądem". – Niekontrolowane wymioty, ostre, wycieńczające. Zimne poty, dreszcze, ból organów wewnętrznych uniemożliwiający spanie.

Jego ozdrowienie było potwierdzone ośmioma różnymi testami, wymazy pobrano z różnych części ciała. Pięciokrotnie prześwietlano mu klatkę piersiową. Leki podawano mu w specjalnym pomieszczeniu.

– Najgorsza w szpitalu była świadomość, że niektórzy nie pożegnali się z bliskimi. To ogromna trauma dla rodziny. Ja ani przez chwilę nie dopuściłem do siebie myśli, że mogę nie wrócić – wspominał Marcin.

40-letnia Barbara ze Śląska, bez chorób współistniejących, nigdy nie była tak chora jak z powodu covidu. Zarazę przyniósł z kopalni jej mąż.

– Leżę ponad tydzień w małym pomieszczeniu sama. Z lekarzami mam kontakt przez telefon. Ale dopiero teraz, bo wcześniej wchodzili do mnie w skafandrach, osłuchiwali. Dałam radę bez respiratora – mówiła wówczas. – Mam moje myśli plus telefon. Analizuję po raz setny, co mogłam zrobić, a nie zrobiłam, żeby tej sytuacji uniknąć. Inni chorzy na covid na innych oddziałach są w kilkuosobowych salach. Codziennie słyszę podjeżdżające karetki, wiem, że w tym szpitalu ludzie umierają. Lekarze nie mówią nam takich rzeczy, ale wiem to z mediów. To rozwala głowę jeszcze bardziej.

Wiesław z Mazowsza, lat 70, choroby współistniejące, przez chwilę pod respiratorem, spędził tydzień w szpitalu powiatowym i dwa tygodnie w Szpitalu Wolskim w Warszawie.

– Najgorsze po wyjściu z choroby było uświadomienie sobie, że w pewnym momencie nie kojarzyłem, co się ze mną dzieje. Byłem pod tlenem, a przez chwilę nawet pod respiratorem. Żonie naopowiadałem, że testy są już OK i za chwilę mnie wypisują ze szpitala. Lekarza u mnie nie było, testy nie były OK. Mam zniszczone 50% powierzchni płuc. Próbuję normalnie żyć. Nawet na ukochany rower wsiadłem. Ciężko było pedałować.

Centrum testowe COVID-19 przy Szpitalu im. św. Wojciecha w Gdańsku, 25 stycznia 2022 r.

Zły stan psychiczny

Maj 2020. – Jak wytłumaczyć trzyletniemu dziecku, że ma utrzymać dystans 2 m od rówieśnika, z którym się bawi? W jaki sposób dziecko zareaguje na to, że pani, do której się tuliło i szło na ręce, gdy było mu smutno, teraz ma maseczkę i przyłbicę, a ono nie może do niej się zbliżać? – zastanawiali się rodzice maluchów i opiekunki przedszkolne.

Wyeliminowani z pracy z najmłodszymi mieli być pracownicy powyżej 60 lat, a część opiekunek była w takim wieku. Nauczyciele pytali o środki higieny osobistej. Minister Łukasz Szumowski odpowiadał, że do samorządów poszło milion litrów płynów, „a poza tym dzieci w placówkach równie dobrze mogą myć ręce wodą z mydłem".

Nauczycieli męczył nie tylko lęk przed epidemią i utratą pracy. Bali się, że wkrótce wszyscy, nie tylko dzieci, będą potrzebować pomocy psychiatrów. Przyszłość pokazała, że ich lęki były słuszne. „Szmato, sprzedałaś się, k…", czytała o sobie jedna z nauczycielek na Facebooku (który nie zareagował na falę hejtu) przez dwa wieczory, gdy w artykule opublikowanym w popularnym portalu internetowym powiedziała, co myśli o powrocie do szkół w proponowanej przez MEN formule. – Zaszczuli mnie – mówiła, połykając łzy.

Na nauczycieli podobnie jak na medyków lały się kubły hejtu, przy czym pomyj starannie dolewał resort edukacji. W Warszawie w każdym tygodniu jakaś szkoła zmagała się z ogniskiem koronawirusa.

– Żyjemy w marazmie. Rośnie zmęczenie i frustracja. Leci wzrok i boli kręgosłup. Ale mamy być wsparciem dla uczniów – skarżyli się nauczyciele.

Z początku o nauce online niektórzy wykładowcy myśleli: studentom coś się zada i tak to poleci. Ale studenci się buntowali. Zwycięzcami okazali się nauczyciele akademiccy zaawansowani informatycznie, a rynek negatywnie zweryfikował tych, którzy nie poradzili sobie z nowoczesnymi metodami nauczania.

Stan psychiczny młodych ludzi okazał się nienajlepszy. W marcu, kwietniu i maju 2020 r. 31% Polaków wskazało, że doświadczyło kryzysu psychicznego. Głównie uczniowie i studenci skazani na naukę zdalną.

– Po wakacjach uczniowie wrócili do szkół podstawowych i ponadpodstawowych, a studenci byli zdani na

Ludzie byli zmęczeni. Wszystkim: noszeniem maseczek, obostrzeniami. Chcieli żyć, a nie wegetować. Nawet za cenę zakażenia.

eprasa.pl b257565c1e

naukę online. My, nauczyciele akademiccy, też jesteśmy tym zmęczeni. Brakuje mi możliwości mówienia do konkretnej grupy odbiorców, a nie do ekranu laptopa. Oczywiście studenci zadają mi pytania itd., ale to nie jest to, czego byśmy chcieli – mówił prof. Zbigniew Izdebski, seksuolog i pedagog. Z jego badań wynikało, że to kobiety i ludzie młodzi zebrali najcięższe baty od pandemii. Dość ciężko lockdown przechodzili również bezrobotni. Całkiem niemała grupa w tym okresie dowiedziała się, że jest zwalniana z pracy, zwłaszcza zatrudnieni na umowach śmieciowych, którzy z dnia na dzień stracili źródło dochodu.

Punkt pobrań materiału biologicznego do przeprowadzenia testu na obecność wirusa SARS-CoV-2. Lubin, 16 marca 2021 r.

Młodzi chcieli się zabić

„Mamo, jeśli moje życie ma tak wyglądać, to nie chcę żyć – oznajmia Mikołaj, 15-latek o szerokich horyzontach, laureat olimpiad przedmiotowych. – Nie widzę sensu uczenia się w tych warunkach". Rodzice robią wszystko, żeby go wyrwać z tego stanu. Ponieważ jest nastoletnim mistrzem sportu, jedzie na mistrzostwa krajowe. To go ustawia do pionu na kilka tygodni. Potem jednak żali się rodzicom: „Jak długo można żyć przez internet?".

13-letnia Dagmara kilkakrotnie traci przytomność. Ratownicy z pogotowia za każdym razem długo przywracają ją do życia. Diagnoza: nerwy, brak kontaktu z rówieśnikami. Na to nie ma leków. Dagmara zawsze była świetną uczennicą, otrzymywała stypendium wójta. Teraz całe dnie siedzi przed komputerem. Gdy pierwszy raz straciła przytomność, pan od WF kazał jej zrobić 6 tys. kroków i przysłać zrzut ekranu. Dagmara mimo wyczerpania wyszła z psem i padła na ulicy. Matka żałuje, że wywierała presję na córkę – zmuszała ją do poprawiania nawet czwórki z plusem. Żeby cokolwiek naprawić, zorganizowała Dagmarze wypad z koleżankami do galerii handlowej, dostały po 100 zł, które mogły wydać, na co chcą. Dziewczynka trochę stanęła na nogi.

Ludzie byli zmęczeni. Wszystkim: noszeniem maseczek, obostrzeniami. Chcieli żyć, a nie wegetować. Nawet za cenę zakażenia. Zaledwie 21% Polaków akceptowało coraz większe obostrzenia. Rząd zakazał używania przyłbic, szalików i chust. Na Allegro znów zaczęły się sprzedawać maski – zwłaszcza chirurgiczne. Zdaniem prof. Bolesława Samolińskiego noszenie maseczki na pustej ulicy było niepotrzebne. Na powietrzu rozrzedzenie wirusa jest tak duże, że ryzyko zakażenia jest prawie zerowe.

Ale instytucje zajmujące się zdrowiem publicznym forsowały noszenie maseczek na zewnątrz, nawet gdy nie ma tłumów, nie bacząc na koszty psychologiczne, ekonomiczne i ekologiczne. Chodziło o zarobki kilku prominentów. Pierwsze rozporządzenie o noszeniu maseczek pojawiło się, gdy ówczesny minister zdrowia Łukasz Szumowski robił interes maseczkowy z producentem oscypków vel instruktorem narciarskim. Była też słynna, nierozliczona do dziś afera respiratorowa.

Najgorzej na śmieciówkach

Najbardziej poobijani w pandemii byli zatrudnieni na śmieciówkach. W gastronomii, transporcie, turystyce, rozrywce i kulturze. Cała branża kreatywna: tłumacze, organizatorzy imprez, oświetleniowcy, ludzie od nagłośnienia, cateringu – z dnia na dzień zostali bez dochodów. Wynajmująca pokój w Warszawie Ukrainka pracowała w kawiarni. Połowa jej skromnych zarobków szła na opłaty. Pieniądze miała odłożone na jeden czynsz, błagała właścicielkę o obniżkę kwoty wynajmu. Pracownik TVP, operator kamery – również na śmieciówce, jak większość ludzi w tej instytucji. Około połowy programów na żywo spadło, sportu nie było w ogóle. Pracownicy mieli codziennie mierzoną temperaturę. Gdy było 37 kresek, ci na śmieciówkach maszerowali na dwutygodniową kwarantannę, ci na umowach o pracę mieli home office. To oznaczało spadek zarobków o 1 tys. zł i więcej. Z tyłu głowy była pamięć o pozaciąganych dużych kredytach mieszkaniowych.

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM, P. DZIURMAN/REPORTER

eprasa.pl b257565c1e

Kobieta stojąca na czele wspólnoty mieszkaniowej odbierała rozpaczliwe telefony od właścicieli restauracji na parterze. Błagania o obniżenie czynszu – od dwóch tygodni ani jednego klienta, w lokalu sam personel. Tak, obniżą, tak, rozumieją. Sama wspólnota żyła jednak głównie z wynajmu.

Takich historii były tysiące. Aktorka z teatru w niewielkim mieście błagała na Facebooku: przyjmę jakąkolwiek pracę. Ale zdarzali się też proszący o pomoc celebryci, którzy za jeden odcinek serialu zarabiali 5 tys. zł. Żebrała nawet znana piosenkarka, która za koncert dla banku kasuje 100 tys. zł.

Z danych GUS wynika, że pod koniec 2018 r. na umowach cywilnoprawnych było zatrudnionych 1,3 mln osób. Drugie tyle na samozatrudnieniu. W sumie armia ludzi – 2,6 mln osób. Ta grupa pozostała bez zleceń. Trzeba także wziąć pod uwagę inną niemałą grupę – bez ubezpieczenia zdrowotnego. 4,7 mln Polaków było poza systemem, z czego połowa to emigranci ubezpieczeni w krajach, w których przebywali. Czyli ok. 2-2,5 mln nieubezpieczonych plus 500 tys. obcokrajowców, najwięcej Ukraińców. 3 marca 2020 r. rząd zapewnił, że pacjenci z koronawirusem będą leczeni ze środków publicznych.

Szczepienia, teleporady…

Im bardziej krytyczna stawała się sytuacja, tym bardziej ludzie wyczekiwali szczepień. Ich tempo deklarowane po pojawieniu się szczepionek miało wynosić 1 mln osób miesięcznie, a to oznaczało, że Polacy odporność populacyjną zbudują w 2023 r. Wiadomo było, że akcja musi przyśpieszyć. 27 grudnia 2020 r. przy błysku fleszy zaszczepiono pierwszą osobę w Polsce, naczelną pielęgniarkę szpitala MSWiA w Warszawie.

Do zaszczepienia kwalifikowało się ok. 31 mln dorosłych Polaków (nie mogły być szczepione kobiety w ciąży, alergicy i osoby z niektórymi chorobami przewlekłymi). Eksperci twierdzą, że odporność populacyjną uzyskuje się w przypadku uodpornienia 70% społeczeństwa, należałoby zatem zaszczepić jakieś 27 mln osób. Tymczasem według sondaży chęć zaszczepienia deklarowało ok. 15 mln, czyli 47%.

Cały system ochrony zdrowia w tym czasie był przestawiany na COVID-19. Przychodnie podstawowej opieki zdrowotnej świeciły pustkami, medycy tak się bali wirusa, że pozamykali się jak w twierdzy. Z czasem doszło do dramatu. Prof. Bolesław Samoliński, kierownik Zakładu Profilaktyki Zagrożeń Środowiskowych i Alergologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, od początku pandemii zwracał uwagę, że Polacy cały czas chorują na choroby cywilizacyjne, COVID-19 wcale nie był główną przyczyną śmiertelności.

– Nie lekceważę wirusa – podkreślał prof. Samoliński w rozmowie z „Przeglądem" – ale chcę pokazać, że epidemia dziś próbuje nam rozwalać cały system opieki zdrowotnej, który jest nastawiony głównie na choroby cywilizacyjne. W tej chwili w Europie 85% zgonów jest z powodu tych chorób, na zakaźne umiera 14% – COVID-19 trochę podnosi tę statystykę, jest niezwykle niebezpiecznym zjawiskiem jako epidemia. Nie zmienia to faktu, że zapominamy o pacjentach nowotworowych, kardiologicznych, neurologicznych i innych. Mam krytyczny stosunek do teleporad, z wyjątkiem przedłużenia recepty.

> Najgorsze po wyjściu z choroby było uświadomienie sobie, że nie kojarzyłem, co się ze mną dzieje.

A skoro w pandemii Polacy przestali chodzić do lekarzy, zaczęło się największe od II wojny światowej umieranie. – Zniechęca mnie organizacja pracy przychodni i jakość teleporady. Teleporady udzielił lekarz, który wcześniej na oczy mnie nie widział – mówiła kobieta spod Warszawy.

Statystyki umieralności były zatrważające. W 2020 r. zmarło ponad 76 tys. osób więcej niż w 2019 r. (wzrost o prawie 16,7%). Mieliśmy więc najgorsze statystyki od II wojny. Na 1 tys. mieszkańców Polski 12,7 zgonu. Nadmiarowe zgony, o wiele liczniejsze niż w latach poprzednich, były spowodowane powikłaniami w chorobach przewlekłych, niewydolnością służby zdrowia, utrudnionym dostępem do specjalistów oraz brakiem diagnoz.

Beata Igielska

eprasa.pl b257565c1e

APEL

Nastroje społeczne w Polsce ewoluują w niebezpiecznym kierunku. Jeszcze niedawno nasze poparcie dla Unii Europejskiej było jednym z najwyższych na kontynencie. Dziś, choć zdecydowana większość społeczeństwa chce pozostać w Unii, przybywa zwolenników jej opuszczenia, skupionych w PiS i Konfederacjach. Podobne opinie płyną z ośrodka prezydenckiego, zapatrzonego w Donalda Trumpa, a więc i w jego politykę. Wyjście Polski z Unii jest łatwe do przeprowadzenia. Wystarczy zwykła większość parlamentarna, a następnie podpis prezydenta.

Akcesja do Unii Europejskiej nie jest zwyczajną umową. Dokonała się na mocy ogólnonarodowego referendum. Przeczyłoby więc zdrowemu rozsądkowi, gdyby decyzja całego narodu mogła być unieważniona przez tymczasową większość w parlamencie.

Członkostwo Polski w Unii Europejskiej jest podstawową sprawą naszego bytu narodowego. Nie wolno go oddawać politycznym awanturnikom ani powierzać przypadkowym partyjnym układom.

W tej sytuacji APELUJEMY do wszystkich posłów i senatorów, niezależnie od ich orientacji politycznej, o wsparcie ustawy o referendum.

Zespół „Przeglądu”

Przedstawiamy kolejne osoby, które poparły nasz apel o ustawę uzależniającą od referendum ewentualne wyjście Polski z Unii Europejskiej: Hanna i Marek Woźniakowie, Zbigniew Olszewski.

•

Dziękujemy Państwa redakcji za podjęcie inicjatywy skłaniającej Sejm do procedowania ustawy o utrudnieniu wyjścia Polski z Unii Europejskiej. Popieramy ten projekt z pełnym przekonaniem. Zbyt długo Polacy pracowali i czekali na to, by powrócić do grona państw zachodnich, aby teraz nieodpowiedzialna i nieumiejąca przewidzieć konsekwencji grupa ludzi wyprowadziła nas z tego grona.

Hanna i Marek Woźniak

•

Oczywiście popieram apel „Przeglądu” w sprawie referendum. Jestem przekonany, że nasi wyborcy są podatni na wpływy i reakcje wyborcze będą zawsze niepewne. Wybory są sterowane emocjami, wzbudzanymi przez różne informacje inicjowane przez pseudoprawdziwe układy polityczne. Przykładem są publikowane sondaże, nasilone przed wyborami – jak w przypadku ostatnich prezydenckich. W dalszym ciągu ośmieszamy się – nie wiadomo, kto rządzi, kto jest ważniejszy?

Ostatnie dekady prezydentur tak mnie przygnębiły, że moja rozpoczęta dziewiąta dycha jest smutna, jeszcze tylko łagodzi nastrój „mój” „Przegląd”.

Były u nas referenda udane, kiedy zostały wymuszone na władzy, była też błazenada! Męczą mnie dwa postanowienia ustawowe, które od lat powinny być zmienione. (…) Nie każdy może być Prezydentem. Tacy Prezydenci jak gen. Wojciech Jaruzelski lub Aleksander Kwaśniewski nigdy się nie powtórzą, więc niech ta zaszczytna funkcja przejdzie do historii jak wiele innych, które się nie sprawdziły dla dobra kraju. Moim zdaniem ten urząd jest zbędny, tym bardziej że kosztowny, a brakuje pieniędzy (…) na ochronę zdrowia, która jest prawie równa obronności! Chory nie może bronić Ojczyzny! Warto więc rozważyć też apel w sprawie referendum o likwidację funkcji/stanowiska prezydenta RP. Znikną spory na szczycie władzy. Rząd rządzi i odpowiada za rządzenie w Polsce. Nie potrzebuje dodatkowego, grymaśnego długopisu. Proszę zważyć, jak czuje się żołnierz mianowany przez przełożonych na pierwszy lub kolejny stopień wojskowy, kiedy zwierzchnik sił zbrojnych odmawia podpisania tej nominacji.

„Żołnierz przeklęty”, syn „żołnierza wyklętego”, sierota po PRL

Zbigniew Olszewski

Przegląd
DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTubie i LinkedIn

eprasa.pl b257565c1e

O co chodzi w wojnie Nawrockiego z rządem?

Walczy z Tuskiem i marzy o Rzeczypospolitej prezydenckiej

Robert Walenciak

To widzimy: istniejący w Polsce system władzy Karolowi Nawrockiemu nie wystarcza, rozpycha się więc w nim, uzurpując sobie coraz więcej kompetencji.

„Prezydentowi Nawrockiemu wyraźnie uwiera gorset nałożony przez Konstytucję. Chciałby być rządem, sądem i prokuratorem", komentował te starania na platformie X szef MSWiA Marcin Kierwiński. I nie są to zarzuty na wyrost.

Nawrocki chciałby być nad-rządem. Pilnować premiera, narzucać mu program działania i go rozliczać. Temu służyły zwoływane przez niego rady: Rada Gabinetowa i Rada Bezpieczeństwa Narodowego. Skończyły się dla prezydenta klapą. 27 sierpnia, podczas pierwszej (i ostatniej) Rady Gabinetowej, w zderzeniu z Donaldem Tuskiem Nawrocki poległ. Próbował rozliczać rząd, ale szybko mu przypomniano, jakie ma uprawnienia. Dyscyplinowaniu rządu i koalicji miała też służyć Rada Bezpieczeństwa Narodowego. Ostatnia miała miejsce 11 lutego. I jeżeli ją pamiętamy, to z awantury między Nawrockim a marszałkiem Sejmu Włodzimierzem Czarzastym.

Nawrocki chciał też kierować armią i służbami specjalnymi. Wzywał więc do Pałacu Prezydenckiego szefów służb. To też skończyło się klapą, szefowie na spotkanie nie przyszli. W rewanżu Nawrocki odmówił podpisania nominacji na pierwszy stopień oficerski 136 funkcjonariuszom ABW i Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

Ostatecznie doszło do spotkania szefów służb z prezydentem, ale zaproszono na nie również ministra obrony i ministra koordynatora ds. służb specjalnych. A co do nominacji oficerskich, prezydent zapowiedział, że każdy wniosek będzie rozpatrywał „indywidualnie".

Karol Nawrocki ingeruje także w obszar trzeciej władzy. Odmówił podpisania nominacji sędziowskich 46 sędziom. Chce mieć władzę nad sędziami, by się pilnowali, czy ich orzeczenia spodobają się prezydentowi, czy nie.

W tym kontekście jego weto do ustawy o KRS można uznać za detal. Natomiast detalem na pewno nie będzie to, czego się spodziewamy w związku z wyborem przez Sejm sześciu sędziów Trybunału Konstytucyjnego. A spodziewamy się – mówią o tym politycy PiS – że prezydent odmówi przyjęcia ich ślubowania. To będzie oznaczało, że konflikt wokół Trybunału Konstytucyjnego eskaluje i że Nawrocki jest tej eskalacji głównym winowajcą.

Jeśli chodzi o Unię Europejską, prezydent już wiele razy dał się poznać jako jej przeciwnik i polityk podgrzewający antyunijne nastroje. Podczas wizyty w Czechach, w listopadzie, wygłosił na Uniwersytecie Karola referat na temat przyszłości UE. Krytykował w nim obecną Unię za zbytnią „centralizację" i m.in. opowiadał się za zniesieniem stanowiska przewodniczącego Rady Europejskiej i za zmianą w systemie głosowania w Radzie UE. To była ta powtarzająca się fraza o Unii jako luźnym związku, strefie wolnego handlu. Szybko więc eksperci zauważyli, że przemówienie powiela tezy z raportu „Wielki reset", napisanego na Węgrzech, na zamówienie Viktora Orbána, przez ekspertów Kolegium Macieja Korwina i Ordo Iuris.

Do wykładu odniósł się Radosław Sikorski, który napisał na platformie X: „Uprzejmie informuję, że Rada Ministrów nie upoważniła Pana do składania propozycji zmiany traktatów europejskich".

Pałac Prezydencki próbuje zmonopolizować kontakty z USA i z Donaldem Trumpem.

Prezydent chce też rządzić polityką zagraniczną. Nie podpisuje nominacji ambasadorskich i żąda uzgadniania z nim nazwisk ambasadorów. Do tego deklaruje, że niektórym nominacji nigdy nie podpisze. Próbuje kształtować polską politykę zagraniczną, zarówno jeśli chodzi o stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, jak i w ramach Unii Europejskiej. Pałac Prezydencki wciąż usiłuje zmonopolizować kontakty z USA i z Donaldem Trumpem. Wmawiając nam przy tym, że Karol Nawrocki ma znakomite relacje z amerykańskim prezydentem. To oczywista bujda, ale służy do rozpychania się.

Z kolei w ubiegłym tygodniu, przed szczytem Rady Europejskiej poświęconym reformie systemu ETS, Nawrocki napisał do premiera list, w którym wzywał go, by wyprowadził Polskę z ETS, czyli europejskiego systemu opłat emisyjnych, w którym funkcjonujemy od 2004 r. Dodajmy, że wyjście z systemu ETS to nowy postulat prawicy, powtarza go np. Przemysław Czarnek. Mamy zatem w tej sprawie wielki polityczny front. Tyle że wyjście z ETS jest możliwe tylko w jeden sposób – poprzez polexit. I politycy to wiedzą. Gdy więc

eprasa.pl b257565c1e

Wizyta prezydenta Karola Nawrockiego w Chmielniku, 13 marca 2026 r.

nawołują do porzucenia ETS, de facto nawołują do polexitu. Oto realna gra Pałacu Prezydenckiego.

Tymczasem zapisy konstytucyjne są jasne. Art. 146 stanowi, że „Rada Ministrów prowadzi politykę wewnętrzną i zagraniczną Rzeczypospolitej Polskiej". A prezydent, jak czytamy w art. 133, „w zakresie polityki zagranicznej współdziała z Prezesem Rady Ministrów i właściwym ministrem". Prezydent nie może więc narzucać rządowi swojej polityki zagranicznej, w tych sprawach musi się podporządkować. Podobnie rzecz się ma z ambasadorami – za funkcjonowanie MSZ i polskiej polityki zagranicznej odpowiada szef MSZ. A jak może odpowiadać, jeżeli ktoś z boku będzie mu kadrowo ustawiał ministerstwo?

Sikorski pisze zatem na platformie X: „Prezydent nie ma ani uprawnień konstytucyjnych, ani wiedzy, tak urzędniczej, jak osobistej, do zajmowania się polityką europejską. Patriotyzmem byłoby dobre sprawowanie urzędu, a nie kolejne próby zagarniania władzy".

Ewidentną próbą zagarniania władzy była również sprawa projektu SAFE 0%. Pomińmy opowieści Adama Glapińskiego, że można z niczego wyczarować 186 mld zł. Skupmy się na projekcie ustawy, który Kancelaria Prezydenta przesłała do Sejmu. Projekt zakładał powołanie, w ramach Banku Gospodarstwa Krajowego, nowej instytucji – Polskiego Funduszu Inwestycji Obronnych, który byłby zasilany zyskami NBP. Ale nie tylko zyskami, bo mógłby zaciągać kredyty i pożyczki oraz emitować obligacje na rynku krajowym i zagranicznym. Czyli też by pożyczał, wiadomo, że drożej niż SAFE europejski. Można rzec, że SAFE 0% to 100% blagi.

Ale ciekawszy jest inny pomysł. Polskim Funduszem Inwestycji Obronnych miałby kierować tzw. komitet sterujący. Składałby się z pięciu osób: szefa MON oraz przedstawicieli premiera, MSW, prezydenta i Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Teoretycznie większość w tym tworze mieliby przedstawiciele rządu. Ale do podjęcia decyzji potrzebna byłaby większość dwóch trzecich głosów – 66,67%. Czyli każda decyzja wymagałaby przynajmniej czterech głosów. W ten sposób prezydent chciał wejść w nowy obszar – zbrojeń, to znaczy zamówień zbrojeniowych, inwestycji w polski przemysł i polityki przemysłowej.

Oczywiście te zamiary w obecnej konfiguracji są nierealne. Ale pokazują kierunek działania. Karol Nawrocki chce kosztem rządu rozszerzać zakres swojej władzy. Czy mu się to udaje?

Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Z jednej strony, jest hamowany przez rząd, żadnej nowej prerogatywy sobie nie wywalczył. Z drugiej – w przeszkadzaniu rządowi ma sukcesy. Jeżeli zawetował dwadzieścia parę ustaw, to utrudnił (jeśli nie sparaliżował) działania ekipy rządzącej na wielu polach.

Ale nie powinniśmy być tym zaskoczeni. Nawrocki od zawsze mówił źle na temat Donalda Tuska – że to najgorszy premier w historii III RP. W ten sposób realizuje scenariusz, o którym głośno było po 1 czerwca 2025 r. Że wetami, ciągłą krytyką i przeszkadzaniem uda się sparaliżować rząd, rozbić go i obrzydzić Polakom, tak by prawica mogła przejąć władzę. Czy to po wyborach w 2027 r., czy po wcześniejszych, gdyby Sejm się rozwiązał.

I Nawrocki działa zgodnie z tymi zapowiedziami. Tu nic się nie zmieni, co najwyżej na gorsze. Dodajmy do tego nastroje na prawicy, które Nawrocki próbuje wykorzystać, zresztą ewidentnie mu to w duszy gra – chęć przekształcenia Polski w republikę prezydencką. To się podoba wyborcom prawicy, PiS i Konfederacji, w tych elektoratach koncepcja „silnego prezydenta" jest popularna. Trochę nawiązuje do Donalda Trumpa, trochę jest w tym pamięci o I sekretarzach partii. Jest to także emocja ludzi mniej wykształconych, kochających twardą władzę.

Czy do tego dojdzie? Dziś szans na to nie ma. Nie tylko ze względu na Donalda Tuska, który skutecznie zapędy Nawrockiego powstrzymuje, ale też ze względu na Jarosława Kaczyńskiego. W obecnym systemie Kaczyński może rządzić z tylnego siedzenia. W systemie prezydenckim jego władza gwałtownie by się skurczyła. O nic takiego walczyć więc nie będzie. Nawrocki jako pałka, którą można atakować Tuska – tak, to jest w jego planach. Nawrocki jako samodzielny polityk, prezydent z dużymi uprawnieniami – na to nigdy się nie zgodzi. Nawrocki ma działać w wyznaczonych ramach – ma być bokserem, którego Kaczyński wpuścił na ring i wymaga walki. Oraz stosowania się do wskazówek z narożnika.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

eprasa.pl b257565c1e

Kapłan złomny

Ksiądz prałat gen. bryg. Sławomir Żarski ma pecha – padł ofiarą pomówień, a może wcale nie jest nieskazitelny

Andrzej Sikorski

5 lutego 2025 r. agenci Centralnego Biura Antykorupcyjnego na polecenie prokuratury zatrzymali ks. Sławomira Żarskiego. Razem z duchownym zatrzymany został Ryszard Walczak, zaufany człowiek Antoniego Macierewicza, ulokowany za rządów PiS na stanowisku kierowniczym w nadzorowanym przez Ministerstwo Obrony Narodowej Wojskowym Instytucie Technicznym Uzbrojenia. Walczak nigdy nie powinien trafić do WITU, który prowadzi badania naukowe i prace rozwojowe dotyczące sprzętu wojskowego, bo nie ma stosownego wykształcenia (jedynie maturę) ani w ogóle pojęcia o broni. Ale wystarczyło, że był kolegą Macierewicza, działaczem PiS oraz inicjatorem budowy różnych pomników patriotycznych, m.in. Romana Dmowskiego w Warszawie przy Placu Na Rozdrożu, ks. Ignacego Skorupki w Ossowie oraz kard. Stefana Wyszyńskiego i ks. Jerzego Popiełuszki w podwarszawskich Ząbkach.

Ciężarówki za łapówkę

Prokuratura nie była zbyt wylewna w informowaniu opinii publicznej o kulisach sprawy. Z lakonicznego komunikatu wynikało, że Żarski z Walczakiem, „powołując się na wpływy", mieli przyjąć łapówkę w zamian za pośrednictwo w dostarczeniu samochodów dla jednostek Wojska Polskiego. Pieniądze zostały zalegalizowane jako darowizna na cele kultu religijnego dla jednej z parafii. Natomiast w komunikacie CBA podano, że „zatrzymani mieli się powoływać w latach 2021-2022 na wpływy w instytucjach państwowych i podejmować się pośrednictwa, w zamian za korzyść majątkową albo jej obietnicę, w załatwieniu spraw związanych ze sprzedażą pojazdów ciężarowych dla WOT". Agenci CBA „przeszukali 10 lokalizacji na terenie trzech województw, w tym siedziby kilku instytucji publicznych oraz miejsca zamieszkania zatrzymanych", zabezpieczając dokumentację i nośniki pamięci.

Mężczyźni usłyszeli zarzuty w związku z art. 230 par. 1 Kodeksu karnego (płatna protekcja bierna). Za to przestępstwo grozi kara więzienia od sześciu miesięcy do ośmiu lat. Mimo podejrzenia popełnienia poważnego czynu zagrożonego wysoką karą Żarski i Walczak nie trafili do aresztu. Wobec duchownego zastosowano środek zapobiegawczy w postaci dozoru policji, a wobec działacza PiS dozór policji i zakaz opuszczania kraju. Ba, ks. Żarski nie został odwołany z funkcji proboszcza Parafii św. Apostołów Piotra i Pawła w Dębem Wielkim, gdzie od 2017 r. pełni posługę.Dlaczego bp Romuald Kamiński okazał taką łaskawość wobec podpadniętego kapłana, tego nie zdradził mi ks. Dawid Sychowski, rzecznik Diecezji Warszawsko-Praskiej, informując, że „do czasu wyjaśnienia sprawy przez kompetentne organy wymiaru sprawiedliwości powstrzymujemy się od udzielania informacji".

Choć od zatrzymania i postawienia zarzutów minął rok, śledztwa nie zakończono. „Na chwilę obecną nie sposób wskazać przypuszczalnej daty zakończenia postępowania. Nie udzielamy również informacji o szczegółach poczynionych dotychczas ustaleń", przekazał prokurator Remigiusz Krynke z Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga.

Takie łagodne potraktowanie podejrzanych o korupcję może wskazywać, że albo poszli na współpracę z prokuraturą, albo nie przyznali się do zarzutów, a zebrane przez śledczych dowody są słabe. Tak czy inaczej, minęło wystarczająco dużo czasu, aby prokuratura zakończyła śledztwo aktem oskarżenia lub umorzeniem. Ale istnieje jeszcze jedno wytłumaczenie. Śledztwo jest rozwojowe, Żarski z Walczakiem wsypali swojego mocodawcę, a prokuratorzy weryfikują przekazane informacje. Czy tym mocodawcą był wiceprezes PiS i były wszechwładny minister obrony narodowej – możemy tylko spekulować.

Niewyparzony język

Ks. Sławomir Żarski (rocznik 1955) to nie byle jaki duchowny. Generał brygady WP w stanie spoczynku, doktor prawa kanonicznego i nauk społecznych, były proboszcz parafii cywilnych i wojskowych, m.in. w Kielcach, Bydgoszczy, Rembertowie, we Wrocławiu i w Legionowie. Był kapelanem Akademii Obrony Narodowej, wikariuszem generalnym Kurii Polowej, członkiem Rady Duszpasterskiej Ordynariatu Polowego, członkiem Kolegium Konsultorów Ordynariatu Polowego, członkiem Rady Ekonomicznej Ordynariatu Polowego i delegatem biskupa ds. duszpasterstwa kobiet Kurii Polowej.

Po katastrofie smoleńskiej, w której zginął bp Tadeusz Płoski, Żarski został administratorem diecezji polowej i był pewniakiem do objęcia funkcji biskupa polowego WP. Wszystko jednak przekreśliła homilia wygłoszona 11 listopada 2010 r. w Bazylice Świętego Krzyża w Warszawie. W obecności prezydenta Bronisława Komorowskiego, członków rządu i generalicji Żarski

eprasa.pl b257565c1e

Ks. Sławomir Żarski to nie byle jaki duchowny, ale. generał brygady WP w stanie spoczynku (nz. jeszcze w stopniu pułkownika), doktor prawa kanonicznego i nauk społecznych.

pozwolił sobie na osobistą wycieczkę pod adresem uhonorowanego Orderem Orła Białego byłego premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego, oskarżanego przez narodowo-katolicką prawicę o rozkradanie majątku narodowego. „U podstaw III Rzeczypospolitej miejsce patriotyzmu zajęło stwierdzenie jednego z pierwszych premierów nowej Polski, który powiedział, że »aby zostać bogaczem, to pierwszy milion trzeba ukraść«. Propagowanie podobnych haseł zaowocowało tym, że wartość została zastąpiona »antywartością«. Patriotyzm zastąpiono promowanym kosmopolityzmem; miejsce uczciwości zajęła nieuczciwość; prawdę zastąpiono kłamstwem i pomówieniem; ofiarność i poświęcenie – chciwością i pazernością; miłość – nienawiścią. Natomiast z dziejowego doświadczenia Kościoła i narodu wiemy, że prawdziwym bogactwem jest stan ducha i umysłu ludzkiego, a nie grubość portfela", mówił Żarski.

Wybuchł skandal, a urażony Komorowski zapowiedział, że nie dopuści, aby arogancki kapłan dostał generalską gwiazdkę i został ordynariuszem polowym. Wkrótce Żarskiemu skończyła się trzyletnia kadencja wikariusza generalnego (zastępcy biskupa polowego) i trafił do rezerwy kadrowej.

Biznesmen, kapuś, krasomówca

Cała Polska usłyszała ponownie o Żarskim w maju 2019 r., gdy „Gazeta Wyborcza" ujawniła okoliczności kupna przez Mateusza Morawieckiego kościelnych działek na wrocławskim Oporowie. Do transakcji doszło w 2002 r., a ziemię sprzedał Morawieckiemu ks. Żarski, wówczas proboszcz Parafii św. Elżbiety we Wrocławiu. Przyszły premier zapłacił za 15 ha zaledwie 700 tys. zł, choć realna wartość gruntów wynosiła co najmniej 4 mln zł. W 2015 r., tuż przed wejściem do polityki, Morawiecki przepisał ziemię na żonę, dzięki czemu nie musiał wykazywać tej własności w oświadczeniach majątkowych. W 2021 r. Iwona Morawiecka sprzedała grunty za ok. 15 mln zł, czyli z przeszło 20-krotną przebitką.

Dziennikarze ujawnili też, że ks. Żarski otrzymał w 2018 r. tajny awans na generała. Nominacji dokonano po cichu w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego, jakby to był powód do wstydu. O lampasy dla duchownego (choć formalnie był cywilem) wnioskował Antoni Macierewicz, jednak Andrzej Duda był niechętny. Prezydent zmienił zdanie, gdy premierem został Mateusz Morawiecki, a szefem MON Mariusz Błaszczak.

W międzyczasie Żarskim zainteresował się Instytut Pamięci Narodowej. Okazało się, że duchowny w czasach PRL został zarejestrowany jako tajny współpracownik siedleckiej Służby Bezpieczeństwa pod pseudonimem „Pątnik". Zwerbowano go w sierpniu 1985 r., 10 miesięcy po zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki. Zdaniem historyków IPN werbowanie duchownych na tajnych współpracowników po zamordowaniu kapelana Solidarności było rzadkością, a księża stronili od kontaktów z SB. Nie zachowały się dokumenty, na kogo konkretnie donosił Żarski, ale wiadomo, że przez przełożonych w resorcie został uznany za „dobre źródło informacji, przydatne do rozpracowywania ochranianych operacyjnie środowisk". Informacje pochodzące od kapłana (był wtedy wikariuszem w Parafii pw. Przemienienia Pańskiego w Garwolinie) służyły policji politycznej do rozpracowywania kleru i operacyjnego zabezpieczenia pielgrzymek do Częstochowy. Żarski został wykreślony z ewidencji operacyjnej dopiero w styczniu 1990 r.

Za księdzem generałem ciągną się inne wątpliwe moralnie sprawy. Jesienią 2012 r. został przez ówczesnego biskupa polowego Józefa Guzdka odwołany ze stanowiska proboszcza Parafii św. Józefa Oblubieńca w podwarszawskim Legionowie. Miało to związek z aferą pedofilską. Okazało się, że wikary ks. kpt. Jacek Skrzypczak przez wiele lat molestował dzieci. O przestępczej działalności kolegi Żarski wiedział, ale nie reagował. W reportażu o księdzu pedofilu opublikowanym w „Dużym Formacie" Zuzanna Bukłaha i Kacper Sulowski zacytowali policyjną notatkę sporządzoną podczas zabezpieczania dokumentów w parafii. „Policjant pisze: »Moje zdziwienie wzbudziło wulgarne zachowanie proboszcza ks. płk. Sławomira Żarskiego«. Proboszcz pochylił się nad policjantem i szepnął: »Suka nie da, pies nie weźmie«". Zdaniem prokuratury ks. Skrzypczak miał skrzywdzić co najmniej 13 dziewczynek. Usłyszał 17 zarzutów, w tym dotyczące gwałtu, molestowania, nakłaniania do aborcji, nielegalnego posiadania broni. W 2014 r. ksiądz pedofil został skazany na 10 lat więzienia. ■

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl b257565c1e

Po 7. Kongresie „Zdrowie Polaków” Rekomendacje i nagrody

Prof. Henryk Skarżyński: Coraz lepiej radzimy sobie z zarządzaniem chorobą, a nie potrafimy zarządzać naszym zdrowiem

Robert Walenciak

„Zdrowie – każdy element ma znaczenie” – to motto 7. Kongresu Zdrowia, zorganizowanego w listopadzie w Centrum Kongresowym Światowego Centrum Słuchu w Kajetanach.

16 marca, w salach Senatu RP, przyszła zaś pora na przyjęcie rekomendacji z tamtych obrad i wręczenie nagród w konkursie „Perspektywy Medycyny”.

To logiczne podsumowanie prac kongresu – po to się rozmawia, debatuje, by dochodzić do konkretnych wniosków. I wnioski z tamtych spotkań były prezentowane – w obecności marszałkini Senatu Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, ministrów, senatorów, rektorów, ludzi medycyny, nauki, mediów. Czyli nie zawisły w próżni.

„Jestem zadowolona, że rozmowy o zdrowiu Polaków, o tym, co można poprawić, żeby Polacy czuli się zaopiekowani medycznie, toczą się w Senacie – mówiła Małgorzata Kidawa-Błońska. – To daje nam dobrą przestrzeń do przygotowania rozwiązań, które moglibyśmy przedstawić ministerstwom. Nauka, ochrona zdrowia, potrzebują odwagi. Odwagi potrzebują lekarze, żeby wprowadzać nowoczesne metody leczenia. Szczególnie w czasach, kiedy jest tyle zakłamania, teorii spiskowych na temat zdrowia, kiedy pojawiają się szarlatani, odwaga lekarzy ma ogromne znaczenie”.

Każdy element jest ważny

Oto sposób działania prof. Henryka Skarżyńskiego – kongres jest miejscem, w którym toczy się wymiana myśli, nieskrępowana, merytoryczna, jak najdalsza od partyjnych awantur. Szeroka – odbyło się bowiem 17 debat plenarnych, ponad 20 paneli interdyscyplinarnych, 70 wykładów. Wszystko z udziałem prawie 400 panelistów i wykładowców. A potem przychodzi czas podsumowania, spisania ustaleń i przekazania ich na ręce decydentów, tak by łatwiej było im podejmować decyzje. I druga rzecz – gdy profesor mówi: „każdy element jest ważny”, to również podkreśla, że dopiero dobrze połączone stanowią całość.

Kropla drąży skałę. Kongres przyjął rekomendacje w 10 obszarach. Stanowią one obraz najważniejszych wyzwań, przed którymi stoi dziś system ochrony zdrowia:

Prof. Henryk Skarżyński, min. Jolanta Sobierańska-Grenda i dr Beata Małecka-Libera

Prof. Henryk Skarżyński i prof. Bolesław Samoliński.

eprasa.pl b257565c1e

Wyróżnieni w konkursie „Perspektywy Medycyny" (od lewej): dr Beata Małecka-Libera, Katarzyna Skrętowska-Szyszko, Jan Golba, prof. Łukasz Balwicki, prof. Monika Burzyńska, prof. Radosław Gawlik, Ewa Pląsek, prof. Dorota Kleszczewska, dr Magdalena B. Skarżyńska, prof. Arkadiusz Zygmunt, odbierający nagrodę w imieniu dr. Jacka Krajewskiego, Marian Witkowski.

1. Nowoczesna medycyna (AI, telemedycyna) odpowiedzią na wyzwania systemu ochrony zdrowia.
2. Parlamentarzyści, samorządowcy, organizacje pozarządowe w aktywności społecznej dla zdrowia.
3. Od świadomości do odpowiedzialności – nowa strategia edukacji zdrowotnej Polaków.
4. Panel mediów – należy rozliczać za szkody wyrządzone nieprawdziwą informacją dotyczącą zdrowia.
5. Profilaktyka zdrowia dzieci i młodzieży.
6. Wczesne wykrywanie i leczenie chorób jamy ustnej zmniejsza ryzyko chorób ogólnych.
7. Przeciwdziałanie wykluczeniu osób starszych.
8. Znaczenie farmaceutów w systemie ochrony zdrowia.
9. Promowanie wdrożeń.
10. Kształcenie i rola nowych technologii w przyszłości zawodu lekarza.

Puzzle w ochronie zdrowia

Każdy z tych obszarów przynosi dziesiątki pytań. Jak na nie krótko odpowiedzieć? Temat numer 1 – sztuczna inteligencja. W tej kwestii głosy dyskutujących były jednoznaczne: sztuczna inteligencja to nie jest przyszłość medycyny, ale jej teraźniejszość. To już się dzieje. Trzeba więc przyśpieszyć prace nad regulacjami dotyczącymi wykorzystania algorytmów AI w diagnostyce i opracować zasady odpowiedzialności za decyzje wspierane przez AI. Nie sposób też

Prezes Naczelnej Rady Lekarskiej Łukasz Jankowski.

nie zauważyć postępującej cyfryzacji i tego, że jesteśmy w tej dziedzinie jednym z europejskich liderów. Chociażby za sprawą takiego systemu jak Internetowe Konto Pacjenta (IKP).

Mamy więc – z jednej strony – wielki postęp, który zawdzięczamy światu cyfrowemu, a z drugiej – co także jest jego dziełem – rozkwit ciemnoty, mody na szarlatanów i pseudomedyczne metody leczenia. Jak przed tym się bronić? Bo przecież musimy jako społeczeństwo zbudować skuteczne bariery przed tą inwazją. A to jest już rola dziennikarzy – by nie zrównywali szarlatanów z profesorami medycyny. No i rola polityków, by przyjęli skuteczne rozwiązania prawne. Weszliśmy w świat nowoczesnych technologii, rewolucji cyfrowej – i tylko od nas zależy, jak je wykorzystamy. Również w opiece zdrowotnej. Bo oczywiście AI powinna pomagać lekarzom, zwłaszcza w diagnostyce. Jednocześnie – co podkreślano w dyskusji – nie mogą oni chować się za ekranami komputerów.

Inny obszar – prof. Hubert Makaruk z AWF przekonywał, że czas wywrócić stolik. Bo obecne instrumenty, które powinny rozwijać kulturę fizyczną wśród dzieci i młodzieży, nie działają. Z roku na rok polskie dzieci są coraz bardziej otyłe, mają kłopoty z wykonaniem najprostszych ćwiczeń, co fatalnie odbija się na ich kondycji psychicznej. „Jeżeli większość uczniów nie osiąga minimalnych standardów w procesie kompetencji ruchowej, system powinien reagować równie poważnie jak wobec trudności w pisaniu, czytaniu czy liczeniu", argumentował. Dodał, że dzisiejsza szkoła powinna być uznana za pierwszą linię ochrony zdrowia dzieci. Tam powinny być kształtowane codzienna

eprasa.pl b257565c1e

Prof. Henryk Skarżyński, dr Beata Małecka-Libera i dr Renata Korneluk, rzecznik prasowy Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu.

aktywność fizyczna, kompetencje ruchowe, edukacja żywieniowa, higiena snu i higiena cyfrowa.

Z drugiej strony – odpowiadał mu Łukasz Salwarowski, redaktor naczelny „Głosu Seniora" – już wkrótce 40% Polaków będzie seniorami. Oni też mają swoje problemy, głównie związane z dostaniem się do lekarza specjalisty. „Każdy z nas będzie seniorem", przypominał.

Oto więc współczesna Polska – pod pewnymi względami nowoczesna, w innych dziedzinach – niebezpiecznie zacofana. To są te puzzle, które składają się na system ochrony zdrowia i które kongres w Kajetanach próbował opisać. Zachęcając także do rozwoju – temu przecież służy idea „Księgi Wdrożeń XXI wieku", zawierającej wybrane przez kapitułę przykłady najważniejszych polskich badań i rozwiązań. Oczywiście księga jest otwarta, dopisywane będą do niej kolejne wyróżniające się osiągnięcia.

Potrzeba działań długofalowych

Jaki obraz wyłania się z kongresowych debat? Czego polski system ochrony zdrowia najbardziej potrzebuje? Pieniędzy, zgody politycznej, nowych technologii? Prof. Skarżyński wymienia w punktach: „Po pierwsze, spokoju i długofalowego, zaplanowanego działania na lata, a nie doraźnych haseł na tygodnie lub miesiące przetrwania, np. do kolejnych wyborów. Po drugie, zaufania, że kierujemy się mądrością, wspieraną pracą, ale też możemy się w czymś mylić i to nie jest piętnowane. Po trzecie, zrozumienia, że coraz lepiej radzimy sobie z zarządzaniem chorobą, a nie potrafimy zarządzać naszym zdrowiem".

Czego polska ochrona zdrowia najbardziej potrzebuje? Prof. Skarżyński wymienia: spokoju i zaplanowanego działania na lata, zaufania i zrozumienia.

Do kongresowych podsumowań dorzućmy jeszcze jeden istotny element. Otóż spotkaniu w Senacie towarzyszyła gala nagród konkursu „Perspektywy Medycyny". „Naszym celem jest promowanie ekspertów, liderów i zespołów, które przyczyniają się do podnoszenia poziomu polskiej nauki i medycyny, wspieranie pozytywnych zmian w ochronie zdrowia" – to słowa przedstawicieli kapituły konkursu. W tle możemy dostrzec dążenie do tego, by ci, którzy pracują na rzecz ochrony zdrowia, czuli się zauważeni i docenieni. Do budowania środowiska i motywowania go.

Czy to się udaje? Kapituła „Perspektyw Medycyny" nie szczędziła wyróżnień. Nagrodą specjalną uhonorowane zostały: marszałek Senatu RP Małgorzata Kidawa-Błońska oraz wicemarszałek Sejmu RP Monika Wielichowska. Nagrody główne trafiły na ręce minister zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy, wicepremiera, ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza oraz ministra nauki i szkolnictwa wyższego Marcina Kulaska.

Oprócz tego kapituła przyznała nagrody i wyróżnienia w siedmiu kategoriach: profilaktyka zdrowotna, lider – edukacja dla zdrowia, innowacje i wdrożenia, telemedycyna i usługi e-zdrowia, organizacja – ochrona zdrowia, promocja zdrowia w mediach (wśród nagrodzonych jest dr Renata Korneluk, rzecznik prasowy Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu; nagrodę otrzymała za łączenie świata medycyny ze światem mediów) oraz w kategorii instytucja – człowiek dla zdrowia Polaków. Ta ostatnia kategoria jest nowa. Dodano ją, ponieważ często nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak wiele znaczy obecny system, który pozwala w takim stopniu zapewniać bezpieczeństwo zdrowotne. Czasem jest to instytucja, która ujawnia talent człowieka, innym razem człowiek, który uzasadnił potrzebę powołania instytucji.

„Ważne są słowa, gesty, które integrują środowisko, kojarzą nas wokół siebie, w sposób przyjazny" – to przesłanie prof. Skarżyńskiego. „Potrafimy podzielić się wiedzą i podzielić się sukcesami. Oczywiście mamy świadomość, że nie rozwiążemy wszystkiego, ale jeżeli nie będzie takiego środowiska, nie będzie takiego forum, to nie oczekujmy, że ktoś za nas to zrobi, i do tego, że zrobi to jeszcze lepiej. Nie! Cieszę się również, że przy tej okazji mogliśmy wielu zaangażowanym w pomyślność polskiej medycyny ludziom podziękować".

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.p

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b257565c1e

Zamów prenumeratę
PRZEGLĄDU

InPost Paczkomat 24/7

Darmowa dostawa do paczkomatu
już w PONIEDZIAŁEK

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b257565c1e

Trumpa szaleństwa wszystkie

Ameryka zwraca się przeciwko własnym sojusznikom

Spotkanie prezydenta Trumpa z amerykańskimi przywódcami religijnymi i wspólna modlitwa w Gabinecie Owalnym w ramach 250. rocznicy powstania USA.

Waldemar Karpa

3 stycznia 2026 r. na platformie X pojawiła się mapa Grenlandii okryta amerykańską flagą, z podpisem „Soon" – wkrótce. Dla milionów Europejczyków był to moment, w którym żart przestał być żartem. Trzy tygodnie później sondaże pokazują rzeczy jeszcze niedawno nie do pomyślenia: czterech na pięciu obywateli Unii uznałoby interwencję amerykańską na Grenlandii za akt wojny, dwie trzecie popiera wysłanie wojsk w misji obronnej, a co piąty wierzy, że starcie między Europą a Stanami Zjednoczonymi jest w najbliższych latach prawdopodobne. 80 lat sojuszu stanęło pod znakiem zapytania.

Niniejszy esej jest próbą zrozumienia, jak do tego doszło – i poszukiwaniem nadziei tam, gdzie na pierwszy rzut oka jej nie widać. Przewodnikami w tej intelektualnej wędrówce będą dwaj myśliciele: Edgar Morin, stuletni francuski filozof i świadek wszystkich kataklizmów minionego stulecia, oraz Grzegorz W. Kołodko, polski ekonomista, mąż stanu i autor niedawno wydanej książki „Trump 2.0. Rewolucja chorego rozsądku".

Logika, która prowadzi donikąd

Tytułowe pojęcie książki prof. Kołodki – chory rozsądek – celnie oddaje istotę trumpowskiego myślenia. To rozumowanie, które wychodzi od prawdziwych problemów i proponuje rozwiązania pozornie logiczne, w rzeczywistości jednak pogłębiające te problemy, zamiast je rozwiązywać.

Weźmy deficyt handlowy – jeden z tematów, do których Trump wraca obsesyjnie. W jego narracji Ameryka przegrywa, bo partnerzy handlowi ją oszukują, a remedium stanowią cła i groźby. Rzeczywistość jest jednak bardziej złożona. Stany Zjednoczone od dekad konsumują więcej, niż wytwarzają: importują towary z całego świata, regulując rachunki dolarami, które same emitują. Model

eprasa.pl b257565c1e

ten funkcjonował, dopóki reszta świata chętnie gromadziła amerykańską walutę. Cła nie usuną jednak deficytu, ponieważ jego źródła nie stanowi nieuczciwa konkurencja zagraniczna. Jest nim struktura amerykańskiej gospodarki: chroniczny niedobór oszczędności, rozbuchana konsumpcja i narastający dług publiczny. Jeszcze kilkanaście lat temu Waszyngton wskazywał import ropy jako głównego winowajcę. Potem nadeszła rewolucja łupkowa, Ameryka przekształciła się w eksportera surowców energetycznych, a mimo to deficyt handlowy wciąż rósł. Cła to kuracja objawowa, która nie rozwiązuje istoty problemu.

Podobnie z miejscami pracy w przemyśle. W rozmowie z Polskim Radiem prof. Kołodko mówi wprost: Amerykanie niczego cłami nie odzyskają, ponieważ sami „oddali" produkcję, przerywając międzypokoleniowy transfer umiejętności. Przez dekady uniwersytety kształciły zagranicznych inżynierów, amerykańskie korporacje przenosiły zaś fabryki tam, gdzie praca była tańsza. Nikt ich do tego nie zmuszał – robiły to dla zysku. A teraz okazuje się, że Ameryka ma do zaoferowania światu głównie to, co Rosja: ropę, gaz i węgiel. Albo to, co kraje rozwijające się: zboże i soję. Symbole amerykańskiej innowacyjności – Tesla, iPhone – są w istocie montowane w Chinach. Zostaje wprawdzie Boeing, ale i on przeżywa kryzys.

Istota chorego rozsądku polega na tym, że Trump dostrzega skutki i bierze je za przyczyny. Być może robi to świadomie, bo prawdziwe przyczyny nie pasują do prostej narracji, jakiej oczekuje jego elektorat. Łatwiej powiedzieć, że Chiny okradły Amerykę, niż przyznać, że Ameryka sama oddała im swoją przewagę.

Podzielony świat

Pod koniec stycznia, przemawiając w Iowa, Trump ogłosił swój pierwszy rok na urzędzie najlepszym rokiem w historii amerykańskich prezydentów. Gospodarka kwitnie, inflacja pokonana, granica zamknięta, Ameryka szanowana. A wcześniej? „Byliśmy pośmiewiskiem całego świata", powiedział.

Świat Trumpa zna tylko dwa stany: zwycięstwo albo klęskę, wielkość albo upokorzenie. Nie ma w nim miejsca na odcienie, na częściowe sukcesy, na kompromisy. Ten binarny sposób myślenia prowadzi prostą drogą do Grenlandii – bo jeśli historia jest pasmem podbojów, logiczne staje się sięgnięcie po wzorce z przeszłości.

Trump nie ukrywa, kim są jego idole: Theodore Roosevelt i Franklin Delano Roosevelt, prezydenci, którzy wygrywali wojny. Przede wszystkim jednak William McKinley – postać dziś niemal zapomniana, a kluczowa do zrozumienia przypadku obecnego prezydenta. 25. prezydent USA sprawował urząd na przełomie XIX i XX w. i to za jego kadencji Ameryka przekształciła się w imperium kolonialne. Po wojnie z Hiszpanią w 1898 r. Stany Zjednoczone przejęły Filipiny i Portoryko, a rok później ustanowiły protektorat nad Kubą. McKinley otworzył drzwi do polityki ekspansji, którą rozwinął potem Theodore Roosevelt ze swoją doktryną „wielkiego kija": „Przemawiaj łagodnie, ale noś grubą pałkę" (Speak softly and carry a big stick). Zakładała ona prowadzenie dyplomacji przy jednoczesnym grożeniu interwencją zbrojną, umacniając rolę USA jako żandarma na półkuli zachodniej.

We wrześniu 2025 r. Trump przemianował Departament Obrony na Departament Wojny, przywracając nazwę używaną od 1789 do 1949 r. Nie był to przypadkowy gest – to sygnał, że kończy się era obrony i zaczyna era podboju. Jak piszą francuscy historycy Farid Abdelouahab i Pascal Blanchard oraz dziennikarz Pierre Haski na łamach „Le Grand Continent", „podbój tkwi w samym sercu amerykańskiego wyobrażenia o sobie, od czasów Dzikiego Zachodu po dzień dzisiejszy". Trump jedynie mówi głośno to, co przez dekady ukrywano za kurtuazyjnym językiem dyplomacji.

Wiek Mackindera

Aby w pełni pojąć obecną sytuację, warto się cofnąć o ponad 100 lat. W 1904 r. brytyjski geograf Halford Mackinder wygłosił w Londynie wykład, który ukształtował geopolityczne myślenie całego stulecia. Mackinder stwierdził, że epoka wielkich odkryć geograficznych – 400 lat europejskiej ekspansji zamorskiej – dobiega końca. Nie ma już nowych światów do odkrycia: Afryka poznana, Azja zmapowana, obie Ameryki zasiedlone. Zawór bezpieczeństwa, jakim była możliwość rozładowania napięć przez ekspansję na nowe terytoria, zamyka się. Wniosek był ponury: mocarstwa zaczną wkrótce walczyć między sobą o to, co już istnieje.

Stany Zjednoczone od dekad konsumują więcej, niż wytwarzają: importują towary z całego świata, regulując rachunki dolarami, które same emitują.

Jednocześnie technologia zmieniała reguły gry. Przez wieki potęga morska górowała nad lądową – kto kontrolował oceany, kontrolował świat. Ale pojawienie się kolei żelaznej, zwłaszcza transsyberyjskiej, pozwalało przemieszczać armie przez całą Eurazję w tempie dotąd niemożliwym. Eurazja – największa masa kontynentalna, zamieszkana przez dwie trzecie ludzkości i skrywająca większość światowych zasobów – stawała się głównym polem rywalizacji.

Mackinder przewidział, że XX w. będzie wiekiem walk o Eurazję, i nie pomylił się. I wojna światowa, II wojna światowa, zimna wojna – wszystkie dotyczyły w gruncie rzeczy tego samego pytania: kto kontroluje serce kontynentu? Dlatego minione stulecie to w istocie wiek eurazjatycki, wiek Mackindera, nie zaś – jak lubią powtarzać w Waszyngtonie – wiek amerykański.

Teraz, w 2026 r., obserwujemy coś nowego. Ameryka, która przez cały XX w. pilnowała, by żadne mocarstwo nie zdominowało Eurazji, zwraca się przeciwko własnym sojusznikom. Grenlandia to nie tylko

FOT. WHITE HOUSE

eprasa.pl b257565c1e

największa wyspa świata – to brama do Arktyki, do nowych szlaków morskich, do ogromnych bogactw naturalnych. To strategiczny punkt w nowej grze o wpływy. Tyle że tym razem Ameryka nie broni Europy przed Rosją czy Chinami: sama staje się źródłem zagrożenia.

Paradoks podziału

W tym miejscu dzieje się coś osobliwego. Trump, dążąc do podziału Zachodu, jednocześnie go scala. Sondaże pokazują, że tzw. czynnik Trumpa potężnie jednoczy siły progresywne i umiarkowane w Europie – od lewicy po centrum wszyscy dostrzegają w nim zagrożenie dla europejskiego projektu. Jednocześnie Trump dzieli europejską skrajną prawicę, której wyborcy są rozdarci między ideologiczną bliskością a obroną suwerenności własnych krajów.

Wielki polaryzator staje się mimowolnym budowniczym europejskiej jedności. Pragnąc rozdzielać, spaja. To paradoks, którego Trump zapewne nie pojmuje, lecz który doskonale rozumie Edgar Morin.

Myślenie złożone

Edgar Morin ma dziś 104 lata. Urodził się w 1921 r., walczył w ruchu oporu podczas okupacji, przeżył wszystkie wstrząsy minionego stulecia. Przez trzy dekady pisał monumentalną „Metodę" – sześciotomową próbę ogarnięcia świata w całej jego złożoności. Można tu dostrzec pewną analogię do intelektualnego projektu prof. Kołodki, który przez niemal dwie dekady (2007-2025) tworzył swój pięcioksiąg – od „Wędrującego świata" po „Błądzący świat" – również starając się uchwycić i zdiagnozować globalne przemiany. Właśnie złożoność stanowi klucz do zrozumienia zarówno Trumpa, jak i nadziei, którą można odnaleźć mimo jego szaleństw.

Morin wprowadza rozróżnienie fundamentalne dla naszych czasów: między skomplikowaniem a złożonością. Skomplikowanie to trudność techniczna, którą da się pokonać cierpliwością i metodą – jak rozplątanie kłębka nici. Złożoność to coś zasadniczo innego: sytuacja, w której wszystko splata się ze sobą, przyczyny mieszają się ze skutkami, a każde działanie wywołuje reakcje niemożliwe do przewidzenia.

Łatwiej powiedzieć, że Chiny okradły Amerykę, niż przyznać, że Ameryka sama oddała im swoją przewagę.

Trump traktuje świat tak, jakby był jedynie skomplikowany – jakby wystarczyło rozplątać węzły poprzez zerwanie traktatów, nałożenie ceł i zastraszenie sojuszników, a wszystko wróci do porządku. Tymczasem świat jest złożony i dlatego działania Trumpa przynoszą skutki odwrotne do zamierzonych. Chcąc wzmocnić Amerykę, osłabia ją, bo odpycha sojuszników. Chcąc podzielić Europę,

eprasa.pl b257565c1e

jednoczy ją przeciwko sobie. Chcąc przywrócić produkcję przemysłową, napotyka barierę, której żadne cła nie pokonają – brak ludzi z odpowiednimi umiejętnościami, brak fabryk, brak całego ekosystemu, który Ameryka sama zdemontowała.

Morin nazywa to ekologią działania: każdy czyn, raz podjęty, wchodzi w interakcje z otoczeniem i może prowadzić tam, gdzie nikt nie zamierzał. Nikt tego w pełni nie kontroluje – nawet prezydent najpotężniejszego państwa świata.

Istota rozumna i szalona

Morin uczy czegoś jeszcze trudniejszego do przyjęcia. Człowiek to nie tylko *homo sapiens*, istota rozumna. To również *homo demens*, istota szalona. Racjonalność i irracjonalność współistnieją w każdym z nas i nie da się ich rozdzielić czystą linią. Każdy jest zarazem mądry i szalony, zdolny do wielkich czynów i do wielkich głupstw.

Trump, ze swoim narcyzmem i chaotycznym stylem rządzenia, stanowi groteskową ilustrację tej prawdy, lecz nie jest czymś obcym ludzkiej naturze – jest jej wyolbrzymieniem, karykaturą. Dlatego nie można zwalczać trumpizmu, przeciwstawiając mu rozum, bo taka walka powiela ten sam błąd: dzieli świat na dwie proste kategorie, na mądrych i głupich, na dobrych i złych.

Prawdziwy opór wymaga uznania, że my również jesteśmy *sapiens-demens*, że nasze projekty też mogą prowadzić donikąd i że działamy w niepewności, bez gwarancji sukcesu. Morin nazywa to etyką zakładu – świadomością, że obstawiamy przyszłość, nie znając wyniku, lecz mimo to musimy działać i wybierać.

W tym sensie Trump jest nauczycielem, choć perwersyjnym. Pokazuje, że proste odpowiedzi nie działają w złożonym świecie; że siły, które wprawiamy w ruch, mogą obrócić się przeciwko nam w sposób, jakiego nie przewidzieliśmy.

Opór ducha i odbudowa więzi

„W obliczu wielopłaszczyznowego kryzysu pierwszym oporem jest opór ducha", napisał Morin w 2024 r. Nie chodzi o przeciwstawienie jednej prostej narracji innej, np. o zastąpienie hasła „Make America Great Again" kolejnym sloganem. Opór ducha to świadome przyjęcie złożoności świata, zrozumienie, że dobro może zawierać w sobie zło i odwrotnie, zdolność do życia w niepewności bez ucieczki w fałszywe pewniki.

Szaleństwa Trumpa są zwierciadłem, w którym odbija się nasza własna tęsknota za prostotą, za światem czarno-białym, za kimś, kto powie nam jasno, co jest dobre, a co złe. Triumf Trumpa mierzy skalę naszej porażki w budowaniu narracji zdolnych pomieścić sprzeczności i paradoksy współczesności. Lecz właśnie dlatego jego postać niesie w sobie ziarno nadziei – stanowi wezwanie do odnowy myślenia, instytucji i więzi między ludźmi.

Świat sprzed Trumpa też był chory. Nadmierna specjalizacja rozmywała odpowiedzialność, skrajny indywidualizm niszczył poczucie wspólnoty.

Świat sprzed Trumpa też był chory. Nadmierna specjalizacja rozmywała odpowiedzialność, skrajny indywidualizm niszczył poczucie wspólnoty. Trump jest produktem tego świata, nie jego przyczyną – objawem choroby, nie jej źródłem. Prawdziwa odnowa wymaga odbudowy więzi: między jednostką a wspólnotą, między wspólnotą a ludzkością, między ludzkością a planetą. Morin nazywa to religacją (łac. re-ligare) – ponownym złączeniem tego, co się rozpadło.

Grenlandia może się stać początkiem takiej odnowy. Kryzys, który obnażył kruchość transatlantyckich więzi, może paradoksalnie odrodzić europejską solidarność. Mackinder pisał o „osobowości odpychającej" – o wrogu, który przez samo swoje istnienie jednoczy przeciwników. Europa wyrosła historycznie między zagrożeniami ze wschodu i z północy; może zagrożenie ze strony Ameryki Trumpa zrodzi coś podobnego – nową świadomość wspólnoty losu.

Nadzieja jako zakład

Nadzieja w czasach Trumpa nie jest pewnością – jest zakładem. Obstawiamy, że da się inaczej, że złożoność nie musi paraliżować, można działać bez gwarancji, a więzi da się odbudować.

Morin, mimo tych 104 lat i doświadczenia wszystkich katastrof minionego stulecia, pozostaje filozofem nadziei – nie naiwnej ani ślepej, lecz takiej, która wie, że może przegrać, a mimo to stawia na wygraną. Prof. Kołodko w swojej analizie idzie jednak dalej niż proste postawienie pytania, czy druga kadencja Trumpa to nowa era, czy początek katastrofy. Jak sam podkreśla, mamy do czynienia nie tyle z epoką zmian, ile ze zmianą epok. Na ten fundamentalny proces nakłada się Trump, zwłaszcza w wersji 2.0, działając jak katalizator, swoisty przyśpieszacz historycznych przemian. Nie jest on więc ani początkiem, ani końcem, lecz skutkiem tego, co było wcześniej, i zarazem jedną z przyczyn tego, co dopiero nadejdzie. W tej perspektywie odpowiedź, jakiej udzieliłby Morin, nabiera głębszego sensu: wszystko zależy od nas – od tego, czy potrafimy myśleć w kategoriach złożoności, czy umiemy żyć z niepewnością i scalić to, co się rozpada.

3 stycznia na mapie pojawiła się flaga i słowo „wkrótce". Wielu zobaczyło w tym koniec pewnego świata. Może jednak jest to również początek – nie dzięki Trumpowi, lecz przez niego, przez to, że jego szaleństwa wreszcie nas obudziły. Wszystkie szaleństwa Trumpa, jeśli patrzeć na nie oczami myślenia złożonego, uczą bowiem jednego: prosty świat nie istnieje. Im szybciej to pojmiemy, tym lepiej dla nas wszystkich.

Waldemar Karpa jest ekonomistą, kierownikiem Katedry Ekonomii w Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie

eprasa.pl b257565c1e

Amerykańsko-izraelska wojna z Iranem a MAGA

Piotr Kimla

W zeszłym roku prezydent Donald Trump wypowiedział słowa, które miały skłonić przedstawicieli Komitetu Noblowskiego do przyznania mu Pokojowej Nagrody Nobla: „Oni mówili: »On będzie wszczynał wojny«. Nie zamierzam wszczynać wojen. Zamierzam je kończyć". Niestety, bliżej nieokreśleni „oni" mieli całkowitą rację. I rację miał Komitet Noblowski, nic sobie nie robiąc z presji wywieranej przez amerykańską administrację, aby uhonorować jej zwierzchnika. Druga kadencja Trumpa to prezydentura ekspansjonistyczna i niezwykle agresywna. Prezydentura niemająca prawie nic wspólnego z hasłami skoncentrowania się na wielorakich problemach wewnętrznych Ameryki, powstrzymania się od interwencjonizmu, od mieszania się w sprawy innych państw, szczególnie gdy Stanów nie wiążą z nimi istotne interesy.

A właśnie te hasła konstytuują, jak wiadomo, konserwatywny ruch MAGA, który wyniósł Donalda Trumpa do władzy. Intelektualni orędownicy ruchu MAGA siedzieli cicho po awanturze wenezuelskiej, bo była krótka i jak na razie przyniosła sukces. Nie chcą jednak dalej siedzieć cicho, gdy prezydent wywołał kolejną wojnę – tym razem bardzo niebezpieczną dla samych Amerykanów i dla reszty świata. To z tego obozu słyszymy już, że prezydent Trump „działa w sposób bezczelny w imieniu obcego rządu, sprzeniewierzając się tym samym swoim obowiązkom wobec narodu amerykańskiego zapisanym w Konstytucji Stanów Zjednoczonych, która nie upoważnia prezydenta do przemierzania świata i bombardowania – wedle swej woli – innych państw" (Doug Bandow).

Intelektualni orędownicy ruchu MAGA nie chcą już siedzieć cicho.

Można było się domyślać, że obrońcy działań prezydenta USA, nie chcąc go poróżnić z ruchem MAGA, będą przedstawiali jego decyzję nie jako wywołanie nowej wojny, ale zakończenie starej. Ściślej rzecz biorąc, trwającej 47 lat wojny irańsko-amerykańskiej.

Skąd liczba 47? Oddam tu głos prezydentowi Trumpowi: „Od 47 lat irański reżim wykrzykiwał »śmierć Ameryce« i uruchomił niekończącą się kampanię rozlewu krwi i masowych mordów, biorąc na cel Stany Zjednoczone, nasze oddziały i niewinnych ludzi w wielu, wielu krajach". Przywódca Ameryki odniósł się w ten sposób do wydarzeń z roku 1979 i słynnego kryzysu związanego z wzięciem przez Iran amerykańskich zakładników. Wszystko to działo się za prezydentury Jimmy'ego Cartera i z pierwszoplanowym, niedającym powodów do dumy z racji finału sprawy, udziałem „naszego" Zbigniewa Brzezińskiego. Następnie Trump wymienił rok 1983 i śmierć 241 amerykańskich żołnierzy w zamachu na bejruckie koszary, za którym stał Iran. Działo się to za prezydentury Ronalda Reagana, który w reakcji na tę tragedię postanowił wycofać z Bejrutu amerykańskich żołnierzy. Potem Trump przywołał rok 2000, stwierdzając, że Iran „wiedział i prawdopodobnie był zaangażowany w atak na USS Cole" (było to za prezydentury Billa Clintona). Zakończył zaś odwołaniem do 7 października 2023 r. i ataku Hamasu na Izrael, którego ofiarami byli także amerykańscy obywatele. Rządził wtedy Joe Biden. Warto podkreślić, że żaden z wymienionych prezydentów nie zdecydował się na rozpoczęcie wojny z Iranem, choć miał *casus belli*.

Druga kadencja Trumpa to prezydentura ekspansjonistyczna i niezwykle agresywna.

Wiemy, że obecny prezydent Stanów Zjednoczonych od czasów pierwszej kadencji popadł w spór z obiektywną prawdą. Nie było jednak wiadomo, że jest również na bakier z matematyką. Powinien przecież zacząć swoje obliczenia nie od roku 1979, lecz od 1953, kiedy to USA wsparły zamach na demokratycznie wybrany irański rząd, dążąc do kontroli nad irańską ropą naftową (istnieje prawdopodobnie jakaś fiksacja Donalda Trumpa na punkcie ropy, *vide* Wenezuela). Skutkiem amerykańskiej interwencji było ćwierćwiecze władzy skorumpowanego i zamordystycznego szacha Mohammada Rezy Pahlawiego, którego syn nawołuje obecnie do prowadzenia wojny przeciwko własnej ojczyźnie i który nie zająknął się na temat masakry uczennic w szkole podstawowej dla dziewcząt w Minabie. Spadły na nią amerykańskie bomby.

Zatem wojna amerykańsko-irańska trwa nie 47, ale 73 lata. Z tym że nikt na świecie o niej nic nie wie. Nie wyłączając Amerykanów, którzy wywoływaniu wojny z Iranem są przeciwni. Badania opinii publicznej Reuters/Ipsos przeprowadzone w sobotę 28 lutego, po rozpoczęciu wojny przez USA, i opublikowane następnego dnia pokazują, że „tylko jeden na czterech Amerykanów aprobuje amerykańskie uderzenia, które uśmierciły przywódcę Iranu, a połowa (w tym co czwarty wyborca

eprasa.pl b257565c1e

Od prawej: zięć prezydenta Donalda Trumpa Jared Kushner, premier Izraela Benjamin Netanjahu i specjalny wysłannik USA na Bliski Wschód Steve Witkoff uczestniczą w posiedzeniu rządu w Jerozolimie 9 października 2025 r.

republikański) uważa, że prezydent Donald Trump zbyt pochopnie używa siły militarnej".

Zwolennicy MAGA widzą także wyraźnie, że wszczętej wojnie nie towarzyszy starannie skalkulowany plan. Wydaje się, że rozkaz rozpoczęcia działań zbrojnych został wydany, gdyż nadarzyła się okazja zabicia przywódcy Iranu. Amerykanie i Izraelczycy oczekiwali, że po wyeliminowaniu ajatollaha Alego Chameneiego umęczeni jego rządami Irańczycy wylegną masowo na ulice i zakończą żywot Islamskiej Republiki Iranu. Nic takiego nie nastąpiło, a na czele państwa stanął syn zabitego najwyższego przywódcy Iranu, Modżtaba Chamenei. Jeśli dodamy do tego, że w nalotach amerykańsko-izraelskich zginęła jego żona, nie możemy się spodziewać, że jest to przywódca skłonny do życia w przyjaźni z Ameryką i Izraelem. Jest to przywódca, który chce destabilizować świat przez najbliższe pół roku, wstrząsnąć światową gospodarką, tak aby każdy polityczny lider na świecie rozumiał, że wojna z Iranem jest skrajnie nieopłacalna. A sami Irańczycy, owszem, wyszli na ulice. W geście poparcia dla wyboru Modżtaby Chameneiego.

Czy tak trudno było się domyślić, że zabicie przywódcy Iranu i natychmiastowa, spontaniczna, prozachodnia reakcja Irańczyków to tylko *wishful thinking* USA i Izraela?

Historyczne świadectwa upewniają nas, że wojna bardzo rzadko prowadzi do wyłonienia demokratycznych, liberalnych rządów. Historia uczy raczej, że zawsze może być gorzej i że w omawianym przypadku autorytarne rządy Alego Chameneiego zostaną zastąpione jeszcze bardziej autorytarnymi rządami jego syna i Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej.

Autorytarne rządy Alego Chameneiego zostaną zastąpione jeszcze bardziej autorytarnymi rządami jego syna i Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej.

Zwolennicy ruchu MAGA nie chcą też wierzyć, że powodem wojny był humanitarny odruch prezydenta Trumpa, który nie mógł znieść cierpień protestujących niedawno Irańczyków. Irański reżim, jak pamiętamy, okrutnie się z nimi obszedł, zabijając tysiące swoich obywateli. Wedle indeksu Freedom House Iran, jeśli chodzi o wolności obywatelskie, sytuuje się na tym samym poziomie co Rosja i Chiny. Zwolennicy ruchu MAGA widzą, że trumpowska administracja za nic ma prawa człowieka i demokrację. Pamiętają o jej wsparciu udzielonym Arabii Saudyjskiej przy grabieżach dokonywanych przez ten kraj w Jemenie. Pamiętają o tolerowaniu okrucieństwa Izraela wobec Palestyńczyków.

W 2016 r. Donald Trump wypowiedział słynne słowa: „Mógłbym stanąć na środku Piątej Alei i kogoś zastrzelić, a i tak nie straciłbym żadnego wyborcy". To już przeszłość, zapewne bezpowrotna. Jeden z amerykańskich konserwatystów trafnie zatytułował swój tekst: „Wraz z wojną w Iranie kończy się szczęście Trumpa".

Prof. Piotr Kimla jest pracownikiem Katedry Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego

FOT. XINHUA/EAST NEWS

eprasa.pl b257565c1e

Mundurowi zastąpią duchownych?

Modżtaba Chamenei obejmujący stanowisko najwyższego przywódcy jest dowodem umacniania się pozycji Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej

Modżtaba Chamenei ma realny motyw, by popychać kraj do walki – w amerykańsko-izraelskich atakach stracił nie tylko ojca, ale również matkę, żonę i jedną z sióstr. Teheran, 9 marca 2026 r.

Jakub Katulski

Ataki dekapitacyjne, jak media i analitycy określają w ostatnich tygodniach izraelsko-amerykański ostrzał wymierzony w najważniejsze postacie irańskiej polityki, przynoszą przynajmniej częściowe efekty. Zabicie Alego Chameneiego, najwyższego przywódcy Republiki Islamskiej, nie obaliło być może całego systemu (choć według deklaracji z początku wojny do tego właśnie dążyli Netanjahu i Trump), ale przyśpieszyło wymianę władzy.

Trudno powiedzieć, czy taki skutek chcieli osiągnąć Izraelczycy i Amerykanie, ale Zgromadzenie Ekspertów, 88-osobowe ciało legislacyjne, stery kraju powierzyło Modżtabie Chameneiemu, sprawiając tym, że Republika Islamska nabiera bardziej dynastycznego charakteru i pała jeszcze większą chęcią zemsty na Izraelu i Stanach Zjednoczonych.

Syn zabitego przywódcy rewolucję islamską pamięta, bo rozpoczęła się, gdy miał dziesięć lat. Jego ojciec przed 1979 r. był sześciokrotnie aresztowany przez służby bezpieczeństwa za kazania podburzające Irańczyków przeciwko reżimowi Pahlawich. Kiedy szach uciekł z Iranu po gwałtownych protestach z 1978 r., Ali Chamenei uczestniczył w budowie Republiki Islamskiej i struktur Korpusu Strażników Rewolucji, ściśle współpracując z Ruhollahem Chomeinim, pierwszym najwyższym przywódcą.

Żołnierz świętej wojny?

Modżtaba miał okazję wykazać się patriotyzmem i wiernością ideałom nowego reżimu podczas wojny irańsko-irackiej, która zaczęła się we wrześniu 1980 r., krótko po rewolucji, od inwazji wojsk Saddama Husajna na osłabiony i pogrążony w porewolucyjnym chaosie Iran. W ostatnich dwóch latach krwawego konfliktu, w którym zginęło od 200 do 600 tys. Irańczyków, Modżtaba wstąpił w szeregi Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Niewiele wiadomo o okresie jego służby, oprócz tego, że był to moment, gdy nawiązał istotne kontakty z wojskowymi i paramilitarnymi bojówkami Basidż, które wspierają Korpus.

Po zakończeniu wojny Chamenei dołączył do renomowanej hawzy, seminarium duchownego w Kom, idąc w ślady ojca i dziadka, by zostać szyickim duchownym. Na krótko zmienił hawzę, przenosząc się do Teheranu, ostatecznie jednak kontynuował

eprasa.pl b257565c1e

edukację w Kom. Zaangażował się też w nauczanie w seminarium i jako hodżdżatoleslam przez kilkanaście lat wykładał interpretację prawa muzułmańskiego. Nigdy jednak nie został ajatollahem (choć bywa tak tytułowany – przyp. red.), co w oczach krytyków Republiki Islamskiej nie świadczy dobrze o jego legitymacji do rządzenia krajem opartym, przynajmniej w założeniu, na regułach islamu.

Szara eminencja Iranu

Oficjalnie Modżtaba Chamenei nie zajmował żadnego stanowiska rządowego, pozostając przez większość życia zawodowego wyłącznie nauczycielem w seminarium. Jego bliskie relacje z postaciami związanymi z wojskiem i służbami bezpieczeństwa Iranu, sięgające jeszcze lat służby wojskowej, sprawiły jednak, że postrzegany był jako kluczowa postać sterująca tłumieniem protestów w ostatnich dwóch dekadach.

Gdy w 2009 r. twardogłowy Mahmud Ahmadineżad został ogłoszony zwycięzcą wyborów prezydenckich (jego głównym rywalem był Mir-Hosejn Musawi, kojarzony z obozem reformistów, były premier, do czasu likwidacji urzędu w 1989 r., obarczany jednak winą za udział w masowych egzekucjach więźniów politycznych w 1988 r.), wybuchły największe od czasów rewolucji protesty, które dały początek tzw. Ruchowi Zielonych. Zieloni byli przekonani, że wybory zostały sfałszowane, i domagali się odwołania Ahmadineżada ze stanowiska. Uważa się, że Modżtaba Chamenei przejął wówczas kontrolę nad basidżami, których oddziały tłumiły protesty, doprowadzając do śmierci licznych demonstrantów.

Sytuacja wyglądała podobnie podczas protestów po śmierci Mahsy Amini w 2022 r. oraz na przełomie 2025 i 2026 r., kiedy bojówki paramilitarne również zostały wystawione przeciwko demonstrującym.

Oskarżenia o pociąganie za sznurki i wspieranie sił destabilizujących region sprawiły, że na Modżtabę Chameneiego w 2019 r. Departament Skarbu USA nałożył sankcje, uznając go za działającego w imieniu najwyższego przywódcy, wraz z ośmioma innymi wysoko postawionymi postaciami reprezentującymi irański reżim. Wśród nich był też przyszły prezydent Ebrahim Raisi – jeszcze jako szef sądownictwa.

Konsolidacja władzy w rękach mundurowych

Dzisiaj wygląda na to, że śmierć Alego Chameneiego nie tylko nie obaliła republiki, ale wręcz wzmocniła stronnictwo twardogłowych. Głębokie związki nowego najwyższego przywódcy z Korpusem Strażników Rewolucji Islamskiej pozwalają przypuszczać, że wojskowi będą mieli od teraz znacznie większe wpływy w kręgach władzy. Jeśli dotychczas mówiono, że ajatollahowie pociągają w kraju za sznurki, to teraz mundurowi z tylnego fotela będą mogli dyktować ajatollahom warunki gry i przedłużać wojnę. Według doniesień część przedstawicieli Zgromadzenia Ekspertów, choć przebywali w Kom, nie została poinformowana o odbywającym się tam posiedzeniu, na którym zatwierdzono objęcie przez Modżtabę Chameneiego stanowiska po ojcu, co może właśnie świadczyć o tym, że establishment wojskowy wykorzystuje sytuację do skonsolidowania władzy.

Modżtaba Chamenei ma też realny motyw, by popychać kraj do walki – osobistą zemstę. W amerykańsko-izraelskich atakach stracił nie tylko 87-letniego ojca, ale również matkę, żonę i jedną z sióstr. Trudno się spodziewać, by w takich warunkach irańskie władze chciały przystąpić do negocjacji – lub cofnąć się choćby o krok.

Kolejne ciosy w przywódców wcale nie przyśpieszają końca wojny. Ali Laridżani, sekretarz Najwyższej Rady Bezpieczeństwa Narodowego, uważany od kilku lat za kluczową postać w projektowaniu strategii wojskowej Iranu, został zabity 17 marca, wraz z oficjalnym przywódcą Basidż, Gholamrezą Soleimanim. Laridżani był też jednym z czołowych dyplomatów i negocjatorów Iranu, uczestniczącym w rozmowach ze Stanami Zjednoczonymi i innymi potęgami nuklearnymi, w celu przywrócenia tzw. porozumienia JCPOA, które od lat było solą w oku izraelskiego premiera Beniamina Netanjahu i mundurowych z Ha-Kirija, głównego kompleksu wojskowego Sił Obronnych Izraela. Jego śmierć z pewnością nie ułatwi odblokowania cieśniny Ormuz, o co wśród europejskich i azjatyckich sojuszników zabiega Donald Trump.

Krótkoterminowo śmierć Laridżaniego może wywołać wstrząs w republice, ale na dłuższą metę jedynie wzmocni Korpus Strażników Rewolucji. Jeśli Republika Islamska przetrwa przedłużający się konflikt, to po Modżtabie Chameneim trudno się spodziewać ograniczenia irańskiego programu nuklearnego i rakiet balistycznych. Stosowana dotychczas przez Teheran strategia pozostawania „tuż przed progiem" osiągnięcia zdolności do wybudowania bomby może być trudniejsza do utrzymania, o ile w ogóle nowy przywódca nie odeśle jej do lamusa jako nieodpowiadającej nowym warunkom, z którymi mierzy się jego państwo.

Republika Islamska jest systemem opracowanym tak, by znosił różnego rodzaju wstrząsy, takie jak śmierć wysoko postawionych polityków. Dzisiaj dla jej czołowych przedstawicieli kluczowa jest walka o przetrwanie. Zwycięstwem w doktrynie strategicznej bliskowschodnich rywali Stanów Zjednoczonych i Izraela nie jest zmuszenie wroga do kapitulacji, ale trzymanie gardy tak długo, aż przeciwnik odpuści. W tym momencie wygląda na to, że Teheran okopuje się i szykuje na długą wojnę. ■

Modżtaba Chamenei nigdy nie został ajatollahem, co w oczach krytyków Republiki Islamskiej nie świadczy dobrze o jego legitymacji do rządzenia krajem opartym na islamie.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl b257565c1e

Gazowy szach-mat

Globalny rynek w cieniu wojny

Marek Czarkowski

W środę 18 marca br. irańska agencja Tasnim poinformowała o ataku izraelskich i amerykańskich samolotów na służące wydobyciu gazu ziemnego instalacje w Pars Special Energy Economic Zone w okolicach miejscowości Asaluyeh w prowincji Buszehr nad Zatoką Perską.

Znajduje się tam największe na świecie złoże tego surowca o nazwie South Pars/North Dome, eksploatowane wspólnie przez Irańczyków i Katarczyków. Szacuje się, że zawiera ono ok. 51 bln m sześc. gazu ziemnego i ok. 50 mld baryłek kondensatu gazowego.

Iran ostrzegł Arabię Saudyjską, Katar i Zjednoczone Emiraty Arabskie o planowanym ataku odwetowym na ich instalacje naftowe i gazowe – w tym saudyjską rafinerię Samref i kompleks petrochemiczny w Al-Dżubajl, pole gazowe Al-Hosn w ZEA oraz katarski kompleks petrochemiczny Musajid i największy na świecie zakład produkujący skroplony gaz ziemny Ras Laffan. Na zakłady spadła jedna rakieta balistyczna, która spowodowała pożary i – jak twierdzą władze Kataru – rozległe szkody w kluczowych instalacjach produkcyjnych. Na szczęście nie było ofiar w ludziach. Prezes QatarEnergy Saad Sherida al-Kaabi powiedział, że atak ten wyeliminował 17% katarskich możliwości eksportu gazu skroplonego, powodując straty szacowane na 20 mld dol. rocznie i zagrażając dostawom do Europy i Azji. Naprawy wstrzymają produkcję 12,8 mln ton LNG rocznie przez okres od trzech do pięciu lat.

Prezydent Donald Trump we wpisie na platformie Truth Social stwierdził, że „Stany Zjednoczone nie miały żadnej wiedzy na temat tego konkretnego ataku, a Katar nie był w żaden sposób z nim powiązany ani nie miał pojęcia, że do niego dojdzie". Zapewnił następnie, że Izrael nie przeprowadzi więcej żadnych ataków na instalacje pola South Pars, chyba że Iran zaatakuje Katar – wówczas „Stany Zjednoczone Ameryki, z pomocą lub bez zgody Izraela, zniszczą całe pole gazowe South Pars z siłą i mocą, jakiej Iran nigdy wcześniej nie widział". Wpis wywołał konsternację w Jerozolimie i Waszyngtonie. Nikt się nie spodziewał, że Trump weźmie w pewnym sensie w obronę Teheran. Kontrowersje te pogłębiły się, gdy dziennikarze portalu Axios, powołując się na wysokich rangą urzędników administracji Trumpa, opublikowali informację, że gospodarz Białego Domu wiedział wcześniej o planach ataku. Skąd zatem taka reakcja prezydenta USA?

Gaz jest wszystkim

Przez lata przywykliśmy uważać paliwa kopalne: węgiel kamienny, ropę naftową i gaz ziemny, za zło zagrażające naszej planecie.

eprasa.pl b257565c1e

Ras Laffan Industrial City (przed atakiem), centrum przemysłowe Kataru, jeden z najważniejszych na świecie ośrodków produkcji i eksportu skroplonego gazu ziemnego.

W rzeczywistości jest inaczej. O tym, jak ważną odgrywają rolę, przypominają nam konflikty zbrojne.

Gdy w roku 2022 Rosja zaatakowała Ukrainę, ceny gazu i ropy naftowej znacząco wzrosły. Tak też się stało po ataku Stanów Zjednoczonych i Izraela na Iran. Przy czym, jeśli w reakcji na wojnę ceny ropy naftowej wzrosły o 30-40%, to ceny gazu, zwłaszcza LNG, poszły w górę nawet o 100%.

Gaz ziemny jest nie tylko paliwem w kuchenkach gazowych, lecz także, jako źródło wodoru, najważniejszym surowcem w produkcji mocznika, będącego podstawowym komponentem w produkcji nawozów azotowych. 90% jego globalnej produkcji zużywa rolnictwo – właśnie w nawozach. Mocznik używany jest do produkcji materiałów wybuchowych, stosowany w przemyśle papierniczym, włókienniczym, farmaceutycznym i kosmetycznym. Jako AdBlue służy do redukcji tlenków azotu w spalinach silników wysokoprężnych i kotłów przemysłowych.

W rejonie Zatoki Perskiej działa kilkadziesiąt zakładów produkujących nawozy azotowe, skupionych w takich krajach jak Arabia Saudyjska, Katar, Oman, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Bahrajn, Kuwejt oraz Iran. Łącznie zapewniają one 20% światowej produkcji nawozów sztucznych. Dziś ich eksport jest mocno ograniczony ze względu na blokadę cieśniny Ormuz. Nic dziwnego, że ceny nawozów sztucznych w ostatnich tygodniach bardzo wzrosły.

W 2023 r. Katar wyeksportował łącznie ok. 79,8 mln ton gazu skroplonego, z czego 15,1 mln ton (ok. 19%) trafiło do Europy – odpowiada to ok. 20-21 mld m sześc. gazu. Reszta popłynęła głównie do Azji. Zamknięcie cieśniny Ormuz oraz wstrzymanie produkcji w Katarze i Zjednoczonych Emiratach Arabskich wyłączyło z rynku ok. 20% globalnej podaży LNG – czyli ok. 355 mln m sześc. dziennie. 20 marca cena LNG w Indiach była o 50-70% wyższa niż przed wybuchem konfliktu. I wiadomo, że to nie jest koniec podwyżek. By podtrzymać produkcję, rząd w Delhi na razie gwarantuje producentom nawozów sztucznych dostawy na poziomie 70% średniego zużycia gazu. Lecz nie wiadomo, czy da się ten stan utrzymać, jeśli wojna potrwa dłużej. W Indiach najbardziej widocznym objawem problemów są ogromne kolejki ludzi czekających na możliwość wymiany butli gazowych. Cała gastronomia i większość gospodarstw domowych korzysta z kuchenek na gaz. Bez niego nie można gotować posiłków. Podobnie jest w Pakistanie i Bangladeszu.

Na Tajwanie, gdzie 40% energii elektrycznej pochodzi z elektrowni opalanych importowanym gazem, rząd podjął działania awaryjne. Zwiększono zakupy gazu w USA i zaczęto planować redukcję zapotrzebowania przemysłu, gdyby wojna się przeciągnęła. Na świecie rozpoczęła się ostra rywalizacja o gaz.

Nietrafne prognozy

Jeszcze w grudniu 2025 r. większość analityków prognozowała, że w 2026 r. globalny rynek LNG będzie rynkiem kupującego. Oczekiwano, że nowe moce produkcyjne uruchamiane w Stanach Zjednoczonych, Katarze i Kanadzie spowodują nadpodaż, która obniży ceny i uspokoi sytuację po burzliwych latach 2022-2023.

Goldman Sachs prognozował spadek cen gazu w Europie do średnio 30 euro za megawatogodzinę w 2026 r., a Kpler Insight – stabilizację azjatyckich cen gazu. Analitycy Morgan Stanley przewidywali nawet potencjalną nadwyżkę 6 mln ton LNG na globalnym rynku. Konflikt w Zatoce Perskiej przekreślił te wizje. „Narracja o rynku kupującego w 2026 r. prawdopodobnie się skończyła", stwierdziła Josephine Mills, starszy analityk w Enverus Intelligence Research. Eksperci zaczęli sugerować, że średnie ceny w Europie i Azji mogą być najwyższe od 2022 r. Bank Goldman Sachs podniósł swoją prognozę ceny gazu w kwietniu br. do 55 euro za megawatogodzinę z wcześniejszych 36 euro, a dla drugiego kwartału do średnio 63 euro.

Irański atak na instalacje naftowe i gazowe w Katarze wyeliminował 17% katarskich możliwości eksportu skroplonego gazu, powodując straty szacowane na 20 mld dol. rocznie.

Dwa tygodnie temu osiem gazowców płynących z ładunkiem LNG ze Stanów Zjednoczonych do Europy zmieniło kierunek i popłynęło do Azji. Tamtejsi kupcy zaoferowali wyższe ceny niż Europejczycy. Takie zdarzenia będą w przyszłości miały miejsce częściej. A to nie koniec problemów.

Produktem ubocznym przerobu gazu ziemnego na LNG jest hel – gaz stosowany w medycynie, przemysłach lotniczym i metalowym, elektronice i przy produkcji układów scalonych. Katarskie zakłady Ras Laffan zapewniały rocznie ok. 30% światowej produkcji tego gazu. Dziś są zamknięte. Dlatego największy producent procesorów na Tajwanie, Taiwan Semiconductor Manufacturing Company (TSMC), musi sobie szybko zapewnić bezpieczne dostawy helu. Przed podobnym wyzwaniem stanęły Samsung, Intel i Texas Instruments.

Ostrzegł również, że jeśli cieśnina Ormuz pozostanie zamknięta przez miesiąc, europejskie ceny gazu mogą się podwoić, osiągając 74 euro za megawatogodzinę – poziom, który podczas kryzysu energetycznego w 2022 r. wywołał znaczące ograniczenia popytu.

Jeśli wojna potrwa pół roku, świat czeka poważny kryzys gospodarczy. Uderzy on jednak z różną siłą. Bogate gospodarki azjatyckie, takie jak Japonia czy Korea Południowa, będą mogły sobie pozwolić na zakup drogiego LNG na rynku spot (kasowym), choć i dla nich będzie to bolesne. Kraje rozwijające się staną przed dramatycznym wyborem: albo

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b257565c1e

płacimy ceny, których nie możemy udźwignąć, albo po prostu będziemy musieli obyć się bez energii.

Wietnam już wprowadził zalecenia pracy z domu. Tajlandia wezwała urzędników państwowych do korzystania ze schodów zamiast z wind. Filipiny wprowadziły czterodniowe tygodnie pracy, aby ograniczyć zużycie paliwa, i zarządziły ustawienie wyższej temperatury klimatyzacji w biurach.

Jeśli w reakcji na wojnę ceny ropy naftowej wzrosły o 30-40%, to ceny gazu, zwłaszcza LNG, poszły w górę nawet o 100%.

Dla tych krajów kryzys to nie kwestia wyższych rachunków – to szok dla rozwoju gospodarczego. Przerwy w dostawach energii elektrycznej wpłyną na wszystko, od szpitali po fabryki, od systemów wodociągowych po infrastrukturę komunikacyjną. Kryzys w Zatoce Perskiej obnażył fundamentalną słabość globalnego systemu energetycznego: nadmierną koncentrację kluczowych szlaków dostaw w regionach geopolitycznie niestabilnych. Pytanie, które stawia sobie branża energetyczna w Azji i Europie, brzmi: jak zbudować bardziej odporną architekturę dostaw LNG?

Główną nadzieją są Stany Zjednoczone. Na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej jest w budowie kilka terminali eksportowych LNG. Instalacja Golden Pass LNG o mocy 15,6 mln ton rocznie ma zostać uruchomiona w tym roku. Trwa trzecia faza rozbudowy terminalu Cheniere Energy w Corpus Christi w Teksasie, która doda 10 mln ton rocznej zdolności. Szacuje się, że do roku 2030 Stany Zjednoczone mogą zwiększyć swoją zdolność eksportową o kolejne kilkadziesiąt milionów ton rocznie.

Do gry wchodzi Kanada, która planuje budowę terminali w Kolumbii Brytyjskiej. Trwają prace nad rozbudową możliwości eksportowych z Mozambiku i Mauretanii. Także Australia wraz z rozbudową własnych terminali może stopniowo zwiększać swoje moce produkcyjne. Lecz to przyszłość, do której trzeba dotrwać.

Polska – nowe możliwości?

Dla nas wojna w Zatoce Perskiej stanowi zarówno wyzwanie, jak i strategiczną szansę. Polska, która od lat konsekwentnie budowała swoją niezależność energetyczną od Rosji, znalazła się nagle w pozycji kluczowego gracza w regionie.

Terminal LNG w Świnoujściu, uruchomiony pierwotnie w 2015 r., przeszedł rozbudowę, która zakończyła się w styczniu 2025 r., zwiększając zdolności produkcyjne z 5 mld do 8,3 mld m sześc. rocznie. Terminal ten jest zarezerwowany przez Orlen, który w 2025 r. sprowadził ok. 76% LNG ze Stanów Zjednoczonych i 20% z Kataru. W obecnej sytuacji koncern musi uzupełnić niedobory wynikające z braku dostaw z Kataru.

Nowe możliwości ma otworzyć drugi terminal – pływająca jednostka magazynowo-regazyfikacyjna (FSRU) w Zatoce Gdańskiej, która jest budowana w Korei Południowej. Prace rozpoczęły się w ubiegłym roku. Obejmują m.in. przygotowania na morzu, w tym pogłębianie dna. Budowa części lądowej ma się zakończyć w tym roku. Inwestorem jest Gaz-System. Jednostka będzie miała zdolność regazyfikacji 6,1 mld m sześc. rocznie. Jej uruchomienie planowane jest na początek pierwszego kwartału 2028 r.

Łącznie oba terminale dadzą Polsce zdolność importu LNG na poziomie ok. 14,4 mld m sześc. rocznie – znacznie powyżej krajowego zapotrzebowania. Ważne jest, że nasza infrastruktura przesyłowa gazu jest przygotowana do roli regionalnego centrum dystrybucji. Roczna zdolność przesyłowa wynosi ok. 38 mld m sześc., co oznacza, że Polska może nie tylko zaspokoić własne potrzeby, ale i dostarczać gaz do krajów sąsiednich.

Jednak Polaków najbardziej nurtuje pytanie, o ile w najbliższych miesiącach wzrosną ceny gazu. Agencja Bloomberg podała, że od wybuchu wojny ceny gazu w Europie skoczyły o ok. 65%, a w pewnym momencie nawet o 100%. To powód do podniesienia w przyszłości taryf nad Wisłą.

Istotniejsza korekta cen możliwa będzie w okolicach 30 czerwca br. Szacunki mówią, że jeśli wojna się przedłuży, miesięczne rachunki za gaz mogą wzrosnąć o 5-15%. Więcej zapłacą przedsiębiorstwa. W drugiej połowie roku może to być wzrost o 10-25%. Rząd będzie musiał się zastanowić nad działaniami osłonowymi. W tych okolicznościach należy się liczyć ze wzrostem inflacji, nawet do poziomu 5-6%.

Odrębnym problemem jest wzrost ceny nawozów sztucznych. 2 marca br. Grupa Azoty wstrzymała przyjmowanie nowych zamówień na nawozy azotowe, tłumacząc to gwałtownym wzrostem kosztów surowców, zwłaszcza gazu. Potem zarząd zmienił zdanie i znów zaczęto przyjmować zamówienia. W tym czasie mocznik zdrożał. Jeśli w lutym tona kosztowała 2301 zł, to w połowie marca już 2870 zł. Podobnie saletra amonowa – w lutym kosztowała od 1694 do 1753 zł za tonę, a w marcu 1620-2100 zł. Analitycy przewidują, że w kwietniu cena nawozów azotowych wzrośnie o 5-15%.

Kraje rozwijające się staną przed dramatycznym wyborem: albo płacimy ceny, których nie możemy udźwignąć, albo będziemy musieli obyć się bez energii.

Oczywiście może być – i pewnie będzie – znacznie gorzej. Wystarczy popatrzeć, co się dzieje z cenami paliw na stacjach benzynowych. Chodzi nie tylko o to, kiedy wojna się skończy, lecz i o to, które instalacje służące wydobyciu i przetwórstwu gazu zostaną zniszczone. Ich odbudowa może trwać miesiące, a nawet lata. A to znaczy, że ceny gazu i nawozów sztucznych długo pozostaną wysokie.

Marek Czarkowski

eprasa.pl b257565c1e

Z Galicji

Jan Widacki

Wiosenne niedzielne przedpołudnie

Choć od kalendarzowej wiosny dzielił nas jeszcze tydzień, pogoda w Krakowie była piękna i ciepła. Pojechałem za miasto, do Tyńca, by z bliska zobaczyć, jak przyroda budzi się po zimie do życia. Sceneria piękna. Siedzę na tarasie kawiarni, piję kawę. Dołem, u stóp skały, na której stoi opactwo, płynie spokojnie Wisła. Przede mną kościół i klasztor najstarszego w Polsce opactwa.

Benedyktynów do Polski sprowadzono w XI w. z Włoch. Wtedy nie było jeszcze ONR, PiS ani Konfederacji i nikt nie twierdził, że Polska jest tylko dla Polaków, nikt więc ich nie wyganiał. Osiedliwszy się zatem na polskiej ziemi, benedyktyni – a w ślad za nimi ich młodsi bracia cystersi – sprowadzali nad Wisłę Europę, a więc sztukę pisania, uniwersalną wówczas łacinę, sztukę uprawy roślin, nowoczesne jak na tamte czasy zielarstwo. Zakładali młyny, winnice, apteki. Benedyktyni przepisywali księgi… Oczywiście poseł Kownacki zapewne uważa, że było zgoła odwrotnie. Włoscy benedyktyni, a tym bardziej niemieccy cystersi dopiero tu, nad Wisłą, od miejscowych kmieci uczyli się łaciny, a potem zaczęli przepisywać znalezione pod ich strzechami księgi. Nie spierajmy się z nim, bo jeszcze nie daj Boże Suskiego powoła na arbitra i dopiero będzie!

Siedzę więc na słoneczku, popijam kawę, zerkam to na Wisłę, to na opactwo. Jest miło, czas jakby też płynął wolniej niż w pobliskim Krakowie. I nagle coś mnie podkusiło. Tak, podkusiło. Zajrzałem do Facebooka. A tam dyskusja o prezydenckim wecie do ustawy o SAFE. Czytam i oczom nie wierzę! Jakaś paniusia stwierdza krótko, że „prezydent dobrze zrobił, wetując, bo jest patriotą i dba o bezpieczeństwo Polski". Jak paniusia sobie wyobraża to bezpieczeństwo przy niedozbrojonej armii, już nie pisze. Ktoś tam nieśmiało z paniusią próbuje dyskutować, ale bez skutku. Paniusia już wszystko, co wiedziała, napisała. A na odsiecz paniusi rusza cały legion mędrków.

Jeden z nich, jakiś jegomość dumny zapewne ze swojej mądrości i przenikliwości, wali w oponentkę paniusi jak husarskim obuchem. Ha, pożyczka miała być nie w złotówkach, ale w obcej walucie! A jak się wychodzi na kredytach w obcych walutach i co one są warte, to już się przekonali ci, którzy wzięli kredyty frankowe. Jegomość najwyraźniej jest przekonany, że za amerykańskie i koreańskie samoloty, czołgi, rakiety i haubice pisowski rząd Morawieckiego płacił gotówką i żadnych kredytów do spłacania nie mamy, a jak już brał kredyty, to zapewne w Banku Spółdzielczym w Limanowej, no i oczywiście w złotówkach. A może wierzy, że premier Morawiecki, kierując się typowym dla pisowców patriotyzmem, dorzucił coś ze swojego majątku, który, jak wiadomo, jest niemały, więc obyło się bez kredytów.

Na temat szkodliwości kredytów, szczególnie w innych walutach, a nie w złotówkach, wypowiedziało się jeszcze kilku innych ekonomicznych idiotów. Jeden z nich podzielił pogląd, że kredyt to coś z definicji złego, on sam osobiście nie lubi mieć długów, a kredyt w obcej walucie to już nie tylko samo zło, ale jeszcze trzeba go spłacać latami.

Kolejna dyskutantka miała jakiś imperatyw podzielenia się swoimi przemyśleniami, natychmiast więc imperatyw realizuje. Pieniądze mają być z Unii, a Unia to Niemcy. Niech nam Niemcy zapłacą reparacje, których wysokość wyliczył już poseł Mularczyk, to i żadna pożyczka nie będzie potrzebna. Dobra myśl. Jak pani dyskutantka przestudiuje podręczniki do historii, choćby te dla szkoły podstawowej, bez trudu się zorientuje, że reparacje należą się nam jeszcze od Rosjan, Szwedów, Węgrów (to za Rakoczego), Turków, Tatarów... Jak to metodą Mularczyka podliczy, oczywiste się okaże, że żadne pożyczki SAFE nie są nam potrzebne. Nawet Glapiński swojego złota nie musi ruszać, a będziemy mieli tyle pieniędzy, że tak uzbroimy naszą armię, że nie tylko Putin, ale nawet Xi Jinping, Łukaszenka i wszyscy inni satrapowie wpadną w panikę. Mało tego! Żaden Polak nie będzie już musiał pracować do końca życia, bo Polska leżeć będzie na pieniądzach jak Arabia Saudyjska i Emiraty na ropie.

Demokracja bez edukacji musi doprowadzić do nieszczęścia.

Lektura Facebooka zepsuła mi całe piękne przedpołudnie. Rzeczywiście chyba sam diabeł mnie podkusił, abym zajrzał do tego ścieku aroganckiej głupoty. Poczułem się jak ktoś, kto w czasie niedzielnego spaceru w kościółkowych bucikach z przeproszeniem w g… wdepnie. Przypomniałem sobie, że niesłusznie zapomniany polski pisarz Stanisław Rembek pisał o przedwojennej Polsce, że to kraj, gdzie każdy idiota uważa, że ma prawo krytykować wszystkich i wszystko, nie biorąc za nic odpowiedzialności. Minęło prawie 100 lat i nic się nie zmieniło. Na początku lat 90. popełniliśmy straszny błąd. Zapomnieliśmy, że demokracja bez edukacji musi doprowadzić do nieszczęścia. Nie wiedzieliśmy też, jaka będzie siła internetu, pozwalająca na powielanie każdej głupoty w przestrzeni o nieograniczonym zasięgu. Co z tego, że w niektórych krajach starych demokracji popełniono ten sam błąd? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b257565c1e

50 lat Jabłka

Apple to firma, której można nie lubić. Odcisnęła jednak piętno na elektronice, z której korzystamy na co dzień

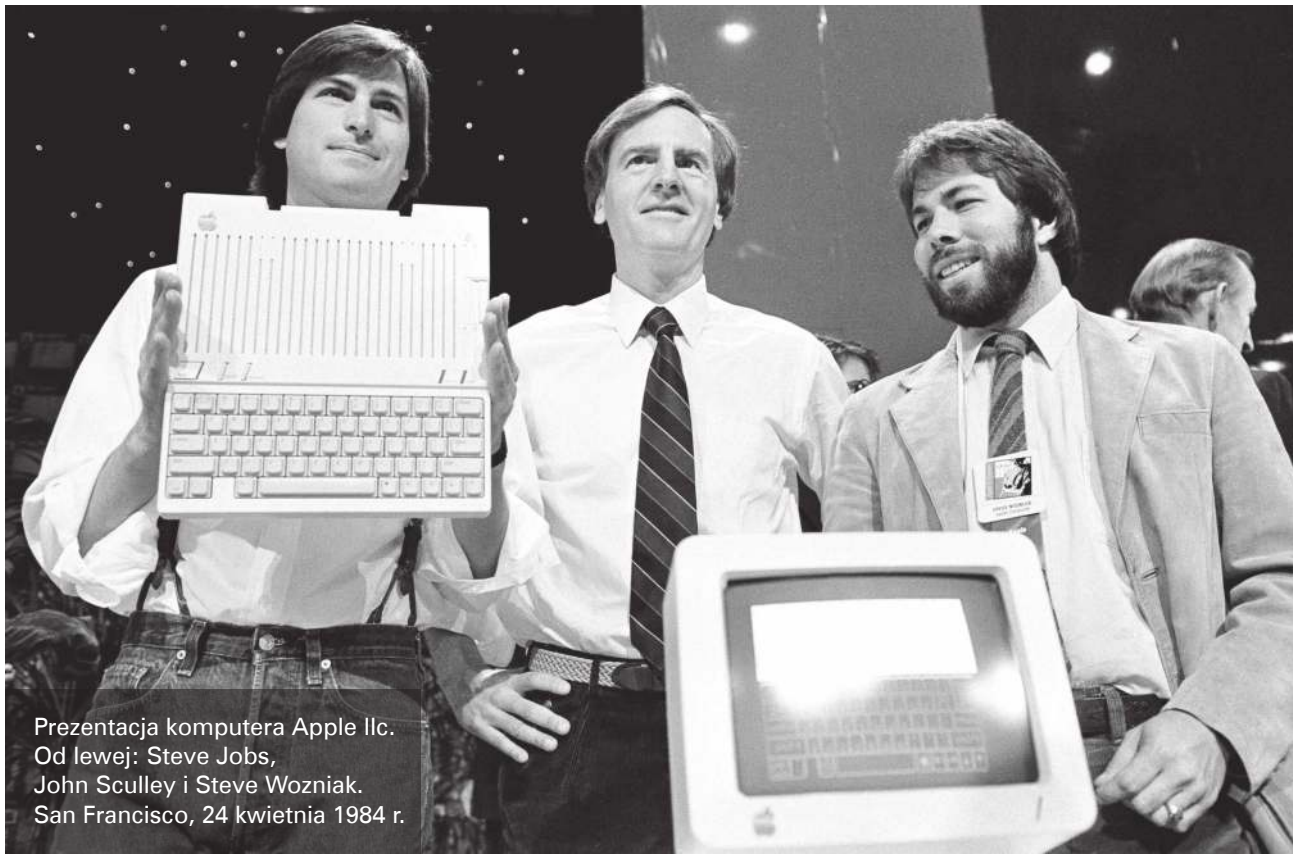

Prezentacja komputera Apple IIc. Od lewej: Steve Jobs, John Sculley i Steve Wozniak. San Francisco, 24 kwietnia 1984 r.

Kornel Wawrzyniak

Przez mrok biegnie kobieta z młotem w rękach. Gonią ją zamaskowani policjanci. Wokół szarzy ludzie. Wszyscy tacy sami, słuchają przemówienia lidera, które wyświetla się na olbrzymim ekranie. Kobieta wbiega do wielkiej sali i rzuca młotem w ekran. Wybuch. Jeśli komuś się wydaje, że to scena z filmu SF, nie myli się wiele. Lektor mówi: „24 stycznia Apple Computer zaprezentuje Macintosha. Dowiecie się, dlaczego rok 1984 wcale nie będzie jak »1984«". Na ekranie pojawia się tęczowe nadgryzione jabłko. To reklama nakręcona przez Ridleya Scotta, reżysera takich klasyków jak „Obcy – ósmy pasażer Nostromo" czy „Blade Runner".

Komputery z garażu

Rzeczywiście rok 1984 był przełomowy w historii Apple'a. Zapowiadany Macintosh, choć nie imponował parametrami technicznymi, stał się hitem ze względu na użycie graficznego interfejsu i myszki. Komputery Apple'a dotarły do masowego użytkownika. To dało firmie chwilową przewagę na raczkującym rynku.

Jej początki sięgają jednak roku 1976, kiedy Steve Wozniak, Steve Jobs i Ronald Wayne zaczęli produkować komputery w garażu rodziców Jobsa. 1 kwietnia założyli Apple Computer Company. Wayne pewnie do dziś pluje sobie w brodę, bo szybko wycofał się ze wspólnego przedsięwzięcia, sprzedając swoje 10% udziałów za 800 dol. Obecnie Apple wart jest prawie 4 bln dol.

– Apple jest na rynku komputerowym, a w zasadzie technologicznym, od pół wieku. To ogromny przedział czasowy dla logarytmicznie ewoluującej branży. Na początku lat 70. komputer był kojarzony z wielkim urządzeniem zamkniętym w chronionych pomieszczeniach, z dostępem wyłącznie dla państwowych

eprasa.pl b257565c1e

i wojskowych elit. Kontrkultura hipisów zainicjowała wielkie zmiany, dostrzegając również w komputerach narzędzia samorealizacji i wspólnoty z nieograniczonym dostępem do technologii. To na tym gruncie powstał w 1976 r. pierwszy komputer Apple-1. Jobs i Wozniak nie wynaleźli komputera osobistego, ale upowszechnili go i w maszynę wypełnioną krzemowymi czipami tchnęli ducha, wolność i sztukę – mówi Jacek Łupina, założyciel i kurator Apple Muzeum Polska, jednej z najbogatszych prywatnych kolekcji sprzętu, oprogramowania i artefaktów związanych z historią Apple'a.

Wizjoner marketingu

Czy najsilniej z Apple'em kojarzony Steve Jobs rzeczywiście był wizjonerem? Ilu użytkowników sprzętu Apple'a, tyle prawdopodobnie opinii na ten temat. Można jednak śmiało powiedzieć, że był bardzo utalentowanym marketingowcem, który wiedział, jak zaszczepić w klientach potrzebę kupowania jego wyrobów. Wróćmy do naszpikowanej odniesieniami reklamy z 1984 r. Młot rzucany w lidera symbolizował wyzwolenie od korporacyjnego konformizmu i totalitarnej kontroli Wielkiego Brata. Macintosh to bunt przeciw monotonii i ówczesnej dominacji komputerów firmy IBM, obietnica, że komputery osobiste niosą ludziom wolność.

Ten dryg marketingowy dostrzegany jest nawet współcześnie. „Reklama Apple: w nocy chłopaki dziewczynom robią fotki. Tacy są gładcy, młodzi i ładni, do tego różnorodni. Deskorolkami suną przez miasto, chcą mi coś udowodnić. Ja moim robię screenshot mema, potem się stłukł o chodnik…", nawija raper Taco Hemingway w kawałku „Pakiet Platinum".

Apple od lat jest świetny w marketingu. Firma twierdzi, że nie płaci za lokowanie produktów w filmach i serialach. Trudno w to uwierzyć, kiedy przypomnimy sobie scenę z serialu „Californication", w której główny bohater, pisarz Hank Moody, rzuca zepsutym laptopem (oczywiście IBM) i idzie do sklepu Apple'a po nowy. Tutaj następuje sekwencja zbliżeń i różnych ujęć, w których bohater cieszy się jak dziecko z płynnie działającego sprzętu. Nowiutki MacBook zostaje z naszym bohaterem do końca serialu. Inną ciekawostką jest tzw. klauzula bez złoczyńców w branży rozrywkowej. W skrócie chodzi o to, że czarne charaktery nie mogą używać na ekranie iPhone'ów. Wiem, że właśnie zepsułem Państwu przyjemność z oglądania filmów kryminalnych… Podobno to dlatego seria kryminalna „Na noże" w ogóle zrezygnowała z pokazywania na ekranie smartfonów firmy z Cupertino. Według brytyjskiej firmy badawczej Concave Brand Tracker, zajmującej się rynkiem mediów rozrywkowych, Apple był najczęściej prezentowaną marką w 2023 r., a w ścisłej czołówce pozostaje od 2014 r.

Najmocniejszą stroną Jobsa była siła perswazji i brutalna szczerość. W 2001 r., zanim ktokolwiek usłyszał o streamingach audio, Jobs zbudował siłę Apple'a na odtwarzaczu iPod. Muzykę można było kupić w sklepie iTunes (lub zgrać z posiadanych CD). Ten system zakupów sparodiowano w serialu animowanym „Simpsonowie". Lisa, młodsza córka Simpsonów, uzależnia się od kupowania piosenek i aplikacji firmy Mapple. Na koniec odcinka musi odpracować wygenerowany dług. Steve Mobbs, szef firmy, nie ma bowiem litości: „Wiem, że na naszych plakatach widnieje hasło »Myśl inaczej«, ale naszym prawdziwym hasłem jest »Zwrotów nie przyjmujemy«". Co ciekawe, twórca „Simpsonów" współpracował z Apple'em w 1989 r. przy broszurze „Who Needs a Computer, Anyway? A Student's Guide" (Kto w ogóle potrzebuje komputera? Przewodnik studenta).

Zanim jednak iTunes ruszyło, Jobs spotykał się z muzykami i przekonywał ich do swojego pomysłu. Jedną z takich osób był wybitny trębacz Wynton Marsalis. Według jazzmana Jobs opowiadał o swoim pomyśle bite dwie godziny: „Zachowywał się jak opętany. Po chwili zacząłem patrzeć na niego, a nie na komputer, bo byłem tak zafascynowany jego pasją". Tę pasję Jobs wykorzystywał również przy prezentacjach nowych produktów i oprogramowania. Przy czym wiele anegdot, jak i biografia Jobsa świadczy o tym, że nie był to łagodny przyjemniaczek.

Jego czarny golf też nie wziął się znikąd. Jak zwykle chodziło o bycie przekornym. Kiedy Apple wyrzucił Jobsa z zarządu, ten chodził w kolorowych garniturach i pstrokatych koszulach, promując swój start-up NeXT. Miało być poważnie i oryginalnie, ale wyglądało dość osobliwie. Ktoś wreszcie powiedział Jobsowi, że szanujący się menedżer musi zawsze wyglądać tak samo. W domyśle chodziło o stonowane garnitury typowe dla świata biznesu. Jobs miał wtedy zamówić dziesiątki takich samych czarnych golfów Issey Miyake i tyle samo jeansów Levi's 501. Inspiracją były uniformy, które po wojnie nosili pracownicy fabryki Sony. Celem biznesmena było podkreślenie, że i on, i jego produkty różnią się od konkurencji.

Niewiele osób wie, że Jobs stał za wytwórnią filmów animowanych Pixar. W 1986 r., po wyrzuceniu z Apple'a, kupił dział grafiki komputerowej od firmy George'a Lucasa Lucasfilm. Przez parę lat dokładał do tego biznesu miliony z własnej kieszeni, aby w 1995 r. wypuścić pierwszy film, „Toy Story". Sukces kasowy animacji uczynił z niego miliardera i przywrócił mu reputację wizjonera biznesu. To zaś spowodowało, że dwa lata później wrócił do Apple'a i uratował go przed bankructwem. Można powiedzieć, że bez „Toy Story" świat elektroniki wyglądałby dziś inaczej. Nie powstałyby ani iPod, który przetarł drogę streamingom, ani iPhone, który przyczynił się do spopularyzowania smartfonów, ani tym bardziej iPad, narzędzie, z którego chętnie korzystają artyści, graficy oraz piloci.

Jobs i Wozniak nie wynaleźli komputera osobistego, ale upowszechnili go i tchnęli w niego ducha, wolność i sztukę.

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl b257565c1e

Dziedzictwo

– Wprowadzając w 1977 r. na rynek komputer Apple II, na którego opakowaniu widniał napis „Personal Computer", Apple szeroko otworzył drzwi do postępu i kreatywności. Rok 1983 był przełomowy, bo wraz z komputerem Apple Lisa spopularyzował się GUI, graficzny interfejs użytkownika, który był obsługiwany za pomocą myszy zamiast strzałek i komend wpisywanych na klawiaturze. Wprowadzony w 1984 r. Macintosh oraz drukarka Apple LaserWriter przyczyniły się do rewolucji w druku cyfrowym, powstania małych firm i wydawnictw, zmieniając branżę wydawniczą i projektowanie graficzne. iMac G3 z 1998 r. nie tylko uratował firmę przed bankructwem, ale też dał użytkownikom szybki i łatwy dostęp do internetu, co nakręciło koniunkturę i ekspansję WWW. W kolejnych dekadach Apple wskazywał trendy i wprowadzał nowatorskie produkty, które niejednokrotnie stawały się kanonem projektowania elektroniki konsumenckiej – wylicza założyciel muzeum Apple'a Jacek Łupina.

Sukces marki w późnych latach 90. opierał się nie tylko na technologii, ale w dużej mierze również na wyglądzie urządzeń. Wspomniane komputery iMac G3 były kolorowe, półprzeźroczyste, z obudową „wszystko w jednym". W czasach gdy na rynku dominowały obudowy szarobeżowe, iMac G3 jawił się jako maszyna z innej planety. Za ten przełomowy projekt odpowiadał Jony Ive, który kilka lat później zaprojektował odtwarzacz iPod, a następnie iPhone'a.

– Wzornictwo jest tym, co od dekad wyróżnia produkty Apple'a. Jak się okazuje, to klucz do portfeli ludzi, którzy cenią nie tylko osiągi i parametry. Apple zawsze szedł dumnie przed szeregiem, pociągając za sobą kolejnych producentów, próbujących lepiej lub gorzej naśladować design i rozwiązania upowszechnione przez firmę. Upowszechnione – bo Apple nie był wynalazcą wielu z nich. Jobs wielokrotnie sprawdził się jako wizjoner, jako pierwszy dostrzegał ogromny potencjał w różnych wynalazkach, które potem skutecznie łączył w całość, tworząc produkt nowoczesny, wydajny i piękny. Produkty Apple'a to zawsze coś więcej niż tylko procesor, karta graficzna i RAM – mówi Jacek Łupina.

Każdy sprzęt ma swoich fanów i przeciwników. Apple obok Google'a oraz Microsoftu należy do niekwestionowanych liderów branży technologicznej, ale przez 50 lat istnienia zaliczył wiele wpadek. Legendarne są przypadłości kolejnych smartfonów – iPhone 4 miał problem z anteną i gubił zasięg. Firma sugerowała, że użytkownicy źle trzymają telefon. iPhone 6 Plus wyginał się w kieszeni.

Najmocniejszą stroną Jobsa była siła perswazji i brutalna szczerość.

Nieergonomiczne myszki także przeszły do legendy. Powolna ewolucja kolejnych produktów w ostatnim dziesięcioleciu jest zaś źródłem drwin użytkowników. Wiąże się to prawdopodobnie z tym, że w korporacjach rządzą księgowi.

Firmie nigdy nie wychodziły na zdrowie „rewolucyjne" produkty. Awaryjny komputer Apple III prawie ją utopił w 1980 r. W 1993 r. pokazano minikomputer Newton z ekranem dotykowym i funkcją rozpoznawania pisma. Ta działała tak źle, że stała się memiczna. Była też przymiarka do własnej konsoli do gier, lecz przestrzelono z ceną. Konsola Apple Bandai Pippin kosztowała dwa razy więcej niż PlayStation. Na całym świecie sprzedało się 42 tys. egzemplarzy. Pierwsza PlayStation sprzedała się w liczbie 100 mln sztuk. Warto jednak pamiętać, że tylko ten, kto nic nie robi, nie popełnia błędów.

– Nie każdy dostrzega tę wyjątkowość i nie każdy tego potrzebuje, ale wokół Apple'a i jego produktów wyrosła wielka społeczność fanów. Apple to bardzo interesująca ścieżka, którą wydeptali ludzie o niezwykłych umiejętnościach i wizji, wprowadzając na rynek kreatywne, proste narzędzia z wielką dbałością o wzornictwo i doświadczenie użytkownika. Takie urządzenia jak iBook, kolorowy iMac czy iPod sprawiają wrażenie wesołych i przyjaznych dla konsumentów – podsumowuje założyciel Apple Muzeum Polska.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

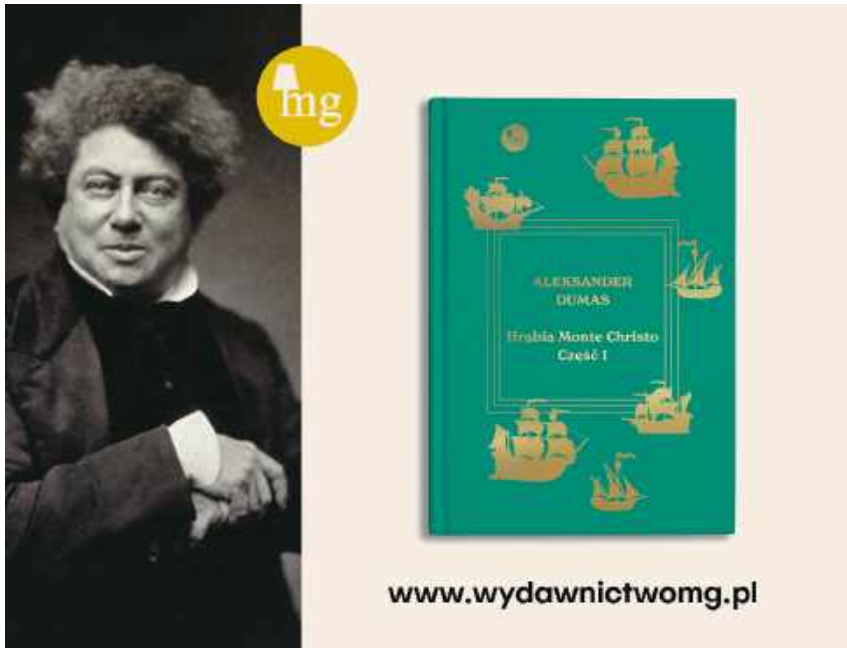

eprasa.pl b257565c1e

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Łapy precz od Kuby, globu i kosmosu!

Nigdy nie ukrywałem, że moją obsesją jest pokój światowy. Moja parafraza durnego antycznego mędrkowania brzmi od zawsze: „si vis pacem, para pacem", jeśli chcesz pokoju, szykuj się do pokoju. W przeciwnym razie zawsze dążymy do wojen, masakr, zbrodni wojennych, ludobójstwa, ruiny świata, klęsk głodu, braku wody i hekatomby przyrody.

Dzisiaj to pogląd niszowy. Jak to się mogło stać 80 lat po zakończeniu tragedii II wojny światowej, z jej dziesiątkami milionów ofiar? Otóż nic samo się nie stało. To ludzie ludziom gotują ten los, bo mają w tym interes, bo kochają imperialną władzę, bo uważają innych za przeszkody, za zbędnych, niepotrzebnych, nieistotnych. Ci „ludzie" to garstka osób pełniących funkcje rządowe w tak naprawdę nielicznych państwach.

Przywódcą wojnoentuzjastów są w niekwestionowalny sposób USA. Zdziwienie? Na jakiej podstawie? Po zakończeniu wojny z Niemcami hitlerowskimi i z Japonią (ludobójstwo hiroszimskie i nagasackie) zaczyna się nieprzerwany amerykański pochód wojenny przez świat. Chiny 1945-1946, 1950-1953, 1999; Korea Północna 1950-1953, Gwatemala 1954, Indonezja 1958, Kuba 1961, Laos 1964-1973, Wietnam 1965-1973, Kambodża 1969-1973, Nikaragua 1980, Liban 1983-1984, Libia 1986, Iran 1987-1988, Irak 1991, Kuwejt 1991, Irak 1993, Somalia 1993, Bośnia i Hercegowina 1995, Irak 1996, Sudan 1998, Afganistan 1998, Irak 1998, Jugosławia/Serbia 1999, Afganistan 2001-2021, Jemen 2002, Irak 2003-2011, 2014; Pakistan 2004-2018, Somalia 2007, Syria 2014, Libia 2014, Jemen 2024-2025, Iran 2025, Somalia 2025, Syria 2025, Nigeria 2025, Wenezuela 2026, Iran 2026. No i bezsprzecznie Palestyna/Gaza 1948-2026. A po drodze dziesiątki wojskowych zamachów stanu (Chile 1973, Argentyna 1976) i wiele, wiele innych.

Jak można nie widzieć, że mamy do czynienia z udającą demokrację niszczycielską potęgą, funkcjonującą od dekad jako najbardziej śmiercionośna siła w globalnym wymiarze? W tym pejzażu Trump jawi się nie jako wybryk i eksces amerykańskiej polityki, lecz jako nieogarnialne w swoim szaleństwie i narcyzmie zwieńczenie tradycji militarystycznej podporządkowanej przemysłowi zbrojeniowemu i tytułowi niekwestionowanego lidera handlu bronią.

W ubiegłym tygodniu Anne Applebaum, której nijak nie da się umieścić w obozie „pokój na świecie", wypunktowała logoreiczne stand-upy Trumpa: „Donald Trump nie myśli strategicznie. Nie myśli też historycznie, geograficznie ani nawet bieżąco racjonalnie. Nie łączy działań podejmowanych jednego dnia z wydarzeniami, które mają miejsce tygodnie później. Nie zastanawia się, jak jego zachowanie w jednym miejscu wpłynie na zachowanie innych ludzi w innych miejscach. Nawet nie za pół roku czy dekadę, ale jutro i pojutrze. (…) Działa pod wpływem kaprysu i impulsu, a gdy zmienia zdanie – czyli gdy odczuwa nowe kaprysy i nowe impulsy – po prostu kłamie na temat wszystkiego, co powiedział lub zrobił wcześniej. (…) Z pewnością – szeptali zagraniczni mężowie stanu – kieruje się jakimś wzorcem, jakimś planem. A przynajmniej jakąś ideologią. W najgorszym razie – własnym, wąsko pojmowanym interesem. Ale ma jakiś plan czy choćby ogólne cele czy wizję prezydentury. Rzucano słowami – izolacjonizm, imperializm, doktryna Monroego – próbując umieścić jego działania w kontekście historycznym". Ale coś pękło, coś się skończyło. „Być może Trump nie rozumie związku między przeszłością a teraźniejszością, ale inni ludzie tak. Widzą, że w wyniku decyzji, które Trump podjął, ale nie potrafi ich wyjaśnić, cieśnina Ormuz jest zablokowana przez irańskie miny i drony. Widzą wzrost cen ropy naftowej na całym świecie i rozumieją, że dla amerykańskiej marynarki wojennej rozwiązanie tego problemu jest trudne mimo całej jej potęgi. (…) NATO stoi w obliczu »bardzo złej« przyszłości, jeśli nie pomoże w oczyszczeniu cieśniny – stwierdził Trump, najwyraźniej zapominając, że NATO to właśnie on – gdyż to Stany Zjednoczone powołały tę organizację i przewodzą jej od momentu jej powstania w 1949 roku".

Oznajmił też, że nie prosi o pomoc, lecz ją nakazuje siedmiu krajom. Nie sprecyzował którym, ale przynajmniej wyjaśnił, czego oczekuje. „Domagam się, aby te kraje przybyły i chroniły swoje terytorium, ponieważ to jest ich terytorium", powiedział reporterom na pokładzie Air Force One w drodze z Florydy do Waszyngtonu.

Czy skrajny brak wiedzy, umiejętności myślenia, rozumienia na podstawowym poziomie konsekwencji własnych działań (w tym wojennych) musi źle się skończyć? A jak inaczej miałoby to się rozegrać? Na wektor imperializmu i militaryzmu amerykańskiego Trump nałożył chaos własnych ograniczeń intelektualnych. Zaraz, zaraz, jakich intelektualnych? Gdyby oceniać poziom operacji trumpomózgu (jeśli Trump ten organ w ogóle posiada), to charakteryzują one co najwyżej kilkuletnie dzieci.

I teraz jeszcze bełkot wokółkubański: „Kuba to piękna wyspa. Świetna pogoda. Będę miał zaszczyt zająć Kubę. Bez większej różnicy – czy ją wyzwolę, czy po prostu sobie ją wezmę. Szczerze mówiąc, sądzę, że mogę zrobić z nią, co tylko zechcę". Czas na zejście pomarańczowego führera ze sceny. Z każdej. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b257565c1e

Premierzy Kaczyńskiego: od Mazowieckiego do Czarnka

Dziś stawia na nacjonalistyczną i klerykalną prawicę

Paweł Siergiejczyk

Czy następnym szefem rządu zostanie Przemysław Czarnek? Ogłoszenie jego kandydatury półtora roku przed wyborami parlamentarnymi tylko pozornie wydaje się przedwczesne. W istocie Jarosław Kaczyński kolejny raz postanowił przejąć inicjatywę, narzucając polskiej scenie politycznej kierunek rozwoju w wymiarze tyleż ideologicznym, co przede wszystkim personalnym.

Nie ma w dziejach III RP drugiego tak skutecznego polityka. Po raz pierwszy swoją sprawczość pokazał już 37 lat temu, latem 1989 r., gdy wraz z bratem (obaj byli świeżo wybranymi senatorami z listy Solidarności) otrzymał od Lecha Wałęsy misję utworzenia koalicji rządowej Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym. To „odwrócenie przymierzy" przez dotychczasowych satelitów PZPR uniemożliwiło powołanie rządu z gen. Czesławem Kiszczakiem na czele (pod patronatem nowo wybranego prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego), a w rezultacie na czele nowego gabinetu stanął bliski doradca Wałęsy Tadeusz Mazowiecki.

Przemysław Czarnek premierem? Ogłoszenie jego kandydatury półtora roku przed wyborami parlamentarnymi tylko pozornie jest przedwczesne.

Mazowiecki i początek „przyśpieszenia"

Wybór Mazowieckiego nie był przypadkowy. Sam lider Solidarności nie miał ochoty zostawać premierem, w grę wchodzili zatem trzej opozycjoniści o największym autorytecie: Jacek Kuroń, Bronisław Geremek i właśnie Mazowiecki. Spośród nich jedynie ten ostatni był praktykującym katolikiem, a nawet znanym dziennikarzem katolickim, tylko on też nie należał w przeszłości do PZPR, choć w czasach stalinowskich był aktywnym działaczem PAX, a potem wieloletnim posłem na Sejm PRL z ramienia koła Znak.

To zresztą znamienne dla solidarnościowej opozycji, że większość jej czołowych postaci miała w życiorysach dłuższą lub krótszą aktywność w oficjalnych strukturach PRL. Wtedy to Kaczyńskiemu nie przeszkadzało – i prawdę mówiąc, nie przeszkadzało mu nigdy w przypadku ludzi, którzy stali po jego stronie. Co innego przeciwnicy polityczni – tym zawsze potrafił wypomnieć „niewłaściwą" przeszłość, choć sam do 1989 r. wiódł dosyć spokojny żywot żoliborskiego inteligenta pochodzącego z rodziny dobrze ustawionej w tamtym ustroju.

Tadeusz Mazowiecki był więc pierwszym premierem wykreowanym przez Jarosława Kaczyńskiego. Oczywiście trzeba pamiętać, że nagły i niespodziewany awans 40-letniego zaledwie senatora Kaczyńskiego możliwy był tylko dzięki Wałęsie, który pod koniec lat 80. poszukiwał nowych współpracowników i znalazł ich w bliźniakach wywodzących się co prawda z przedsierpniowej opozycji, ale zajmujących tam znacznie niższą pozycję niż ludzie otaczający Wałęsę w początkach Solidarności.

Nie powinno zatem dziwić, że dla żadnego z braci Kaczyńskich nie znalazło się miejsce w pierwszym rządzie solidarnościowym, co zwłaszcza Jarosław musiał odebrać

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl b257565c1e

jako osobiste upokorzenie (Lech Kaczyński był wtedy zastępcą Wałęsy w NSZZ Solidarność i faktycznie kierował strukturami związku). Sam zresztą po latach wspominał: „Gdyby Mazowiecki dał mi wtedy sekretarza stanu, to bym się cieszył. Ale nic nie chciał dać".

Pewną satysfakcją dla młodego, ambitnego polityka mogło być powierzenie mu przez Wałęsę jesienią 1989 r. funkcji redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność", którą wcześniej pełnił Mazowiecki. Spowodowało to bunt i odejście większości zespołu redakcyjnego, ale dzięki temu Kaczyński mógł uczynić z oficjalnego pisma związku własny organ polityczny i ośrodek budowania przyszłej partii.

Partią tą stało się Porozumienie Centrum, utworzone w maju 1990 r., początkowo jako szeroki sojusz prawicowych środowisk popierających kandydaturę Lecha Wałęsy na prezydenta RP. Bo to właśnie prezydenckie ambicje gdańskiego noblisty postanowili wykorzystać bracia Kaczyńscy jako trampolinę do władzy i dominacji na scenie politycznej. A właściwie głównie Jarosław, który po latach wspominał: „Mój brat był zdecydowanie przeciwko wysuwaniu Wałęsy na prezydenta, bo znał go lepiej niż ja. Tę sprawę ja forsowałem. (...) Kalkulowałem na zimno, że trzeba wykorzystać dynamikę Wałęsy do stworzenia nowej siły politycznej".

Satysfakcją dla Jarosława Kaczyńskiego mogło być powierzenie mu w 1989 r. funkcji naczelnego „Tygodnika Solidarność", którą wcześniej pełnił Mazowiecki. Ale większość zespołu redakcyjnego zbuntowała się i odeszła.

Na nieszczęście dla dalszych losów Polski przeciwnicy PC i Wałęsy przeforsowali koncepcję powszechnych wyborów prezydenckich, licząc na osobistą popularność ich kandydata – premiera Mazowieckiego. Sam Kaczyński był początkowo zwolennikiem wyboru Wałęsy przez Zgromadzenie Narodowe, ale gdy rozpoczęła się kampania wyborcza, szybko zrozumiał, jak świetnym polem dla demagogii i populizmu są powszechne wybory prezydenckie – i lekcji tej nie zapomniał do dzisiaj. To bowiem Kaczyński był ojcem demagogicznej i populistycznej polityki w III RP, rzucając już wiosną 1990 r. hasło „przyśpieszenia", stanowiące krytykę rzekomej zbytniej powolności i zachowawczości rządu Mazowieckiego. Sam później tak definiował owo „przyśpieszenie": „Należało przystąpić do zdecydowanych działań: zdelegalizować PZPR i opanować aparat przymusu, aresztować szefów bezpieki i partii, oplombować archiwa Komitetu Centralnego, MSW i MON. Natychmiast trzeba było zatrzymać proces uwłaszczenia nomenklatury i przystąpić do systematycznej rewindykacji zagrabionego majątku".

Bracia Kaczyńscy postanowili wykorzystać prezydenckie ambicje Wałęsy jako trampolinę do władzy.

Trudno powiedzieć, czy lider PC istotnie wierzył w realność takiego programu, mógł jednak szermować hasłem „przyśpieszenia" bez żadnej odpowiedzialności, gdyż nie miał wpływu na działania rządu, który sam wykreował. Rząd zaś był zajęty głównie wdrażaniem zasadniczych reform gospodarczych, do czego potrzebne mu były raczej spokój społeczny i stabilne zaplecze parlamentarne niż krucjata ideologiczna przeciwko ludziom odchodzącego systemu. Najwyraźniej rozumiał to również Lech Wałęsa, który co prawda kampanię prowadził pod hasłami formułowanymi przez Kaczyńskiego, ale w drugiej turze niespodziewanie musiał się zmierzyć ze Stanisławem Tymińskim, którego demagogia szła jeszcze dalej, teraz więc to on wyrastał na gwaranta stabilności, odpowiedzialności za państwo. I trzeba przyznać, że od czasu objęcia prezydentury jasno pokazał, że nie ma zamiaru realizować „przyśpieszenia" w wersji lidera PC.

Nie miał też zamiaru budować „partii prezydenckiej" z Kaczyńskim na czele, co szybko stało się powodem konfliktu między dotychczasowymi sojusznikami. Bliźniacy wprawdzie jeszcze przez niemal rok (do jesieni 1991 r.) formalnie urzędowali w najbliższym otoczeniu Wałęsy – Jarosław jako szef Kancelarii Prezydenta, Lech jako szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego – ale ich relacje z Wałęsą układały się coraz gorzej, i to nie tylko na skutek wzrostu wpływów szefa prezydenckiego gabinetu, Mieczysława Wachowskiego, tak później zdemonizowanego przez lidera PC.

Wojenki i obalenie rządu Olszewskiego

W tym czasie Polską rządził gabinet Jana Krzysztofa Bieleckiego, lidera niewielkiej partii gdańskich liberałów, co było osobistą decyzją Wałęsy. Kaczyński nie miał na ten rząd większego wpływu, choć miał w nim dwóch ministrów: Adama Glapińskiego, który kierował resortem budownictwa, i Jerzego Eysymontta, szefa Centralnego Urzędu Planowania. Ich możliwości były jednak niewielkie wobec dominacji w polityce gospodarczej wicepremiera Leszka Balcerowicza, który kontynuował swoją politykę rozpoczętą w rządzie Mazowieckiego.

Dopiero pierwsze w pełni demokratyczne wybory do Sejmu jesienią 1991 r. sprawiły, że partia Jarosława Kaczyńskiego stała się kluczowym elementem sceny politycznej. Jak sam wspominał: „PC powstało po to, aby zdobyć władzę, i to na krótko nam się udało. Choć byliśmy małą partią, po wyborach 1991 r. przeforsowaliśmy naszego premiera i marszałka Sejmu, chyba dziesięciu przewodniczących sejmowych komisji. Zdobyliśmy naprawdę dobrą

eprasa.pl b257565c1e

pozycję jak na wielkość naszej partii i posiadanie jedynie 43 posłów. Tylko i wyłącznie dlatego, że na scenie politycznej panowało wielkie zamieszanie po wyborach. Unia Demokratyczna była kompletnie ogłuszona. Wcześniej była przekonana, że zdobędzie bardzo dużo, a dostała 12% głosów. Jej politycy zupełnie nie zdawali sobie sprawy, że ktoś może ich ograć. Inni też nie wiedzieli, co robić, a myśmy wiedzieli".

Jarosław Kaczyński był ojcem demagogicznej i populistycznej polityki w III RP.

Dla porządku dodajmy, że Porozumienie Centrum zdobyło w tych wyborach 8,7% głosów, zajmując dopiero szóste miejsce. A jednak to właśnie Kaczyński szybko zmontował koalicję większych i mniejszych ugrupowań prawicowych, która nie dopuściła zwycięskich UD i SLD do prezydium Sejmu (marszałkiem został prof. Wiesław Chrzanowski z ZChN, a jednym z wicemarszałków Andrzej Kern z PC), po czym – dzięki pomocy klubu PSL – przeforsował kandydaturę swojego partyjnego kolegi, Jana Olszewskiego, na premiera.

Jednak i na ten rząd Kaczyński nie miał większego wpływu, gdyż Olszewski zignorował jego propozycje personalne, umacniając własne środowisko. Na przykład ministrem obrony miał być Lech Kaczyński, a został nim mało znany socjolog Jan Parys, Urzędem Rady Ministrów miał pokierować ważny polityk PC Sławomir Siwek, lecz Olszewski powierzył tę funkcję bezpartyjnemu Wojciechowi Włodarczykowi.

Ostatecznym wypowiedzeniem lojalności Kaczyńskiemu był rozłam w Porozumieniu Centrum, którego dokonali zwolennicy Olszewskiego tuż po odwołaniu jego rządu pamiętnej nocy z 4 na 5 czerwca 1992 r. Za byłym premierem poszła wtedy niemal połowa klubu parlamentarnego PC, inni odeszli w drugą stronę – do klubu liberałów, którym kierował młody Donald Tusk. O ile więc Kaczyński nie miał powodu, by żałować obalenia rządu Olszewskiego (choć oficjalnie do końca go bronił), o tyle znacznie większą porażką okazało się wyeliminowanie go z nowej koalicji rządowej, która powstawała latem 1992 r. i doprowadziła do powołania gabinetu Hanny Suchockiej z UD. Oficjalnie powodem niedopuszczenia PC do rządu była niezgoda na osobę Adama Glapińskiego jako ministra współpracy gospodarczej z zagranicą (Glapińskiemu zarzucano nieprawidłowości związane z wprowadzeniem koncesji na import paliw), w rzeczywistości jednak większość partii postsolidarnościowych miała już dość intryganckich metod Kaczyńskiego, który w dodatku zaczął wtedy otwartą wojnę z prezydentem Wałęsą.

Wielka smuta Kaczyńskiego

Nic dziwnego, że wiosną 1993 r. Kaczyński i jego posłowie przyłożyli rękę do odwołania rządu Suchockiej, co dało Wałęsie pretekst do rozwiązania Sejmu i rozpisania nowych wyborów. Wybory te wygrały SLD i PSL, a przegrała cała prawica, także wskutek głupoty i pychy jej przywódców. Sztandarowym tego przykładem było wystawienie osobnych list przez ugrupowania Kaczyńskiego i Olszewskiego, choć antywałęsowski i antyrządowy elektorat mieli przecież wspólny. W rezultacie PC dostało zaledwie 4,4%, a Koalicja dla Rzeczypospolitej – 2,7% głosów. Dla ich polityków oznaczało to całe cztery lata poza parlamentem, dla Kaczyńskiego zaś początek „wielkiej smuty" w jego politycznej biografii, gdyż przez następne 12 lat nie miał możliwości kreowania prezydentów i premierów.

Nie znaczy to jednak, że jego wpływ na polską politykę był zerowy. Trudno wszak nie zauważyć, iż jedną z ważnych przyczyn porażki Wałęsy w pojedynku w Aleksandrem Kwaśniewskim w 1995 r. była trwająca od trzech lat kampania oczerniająca urzędującego prezydenta jako agenta „Bolka" i opiekuna „lewej nogi", a głównym inspiratorem tych działań był właśnie lider PC. Oczywiście nie wiadomo, ilu dawnych zwolenników Wałęsy nie poparło go w walce o reelekcję, lecz z całą pewnością Jarosław Kaczyński przyłożył rękę do klęski swojego dawnego protektora i nie ukrywał radości z końca jego rządów, które – jak sądził – stanowiły dla jego partii zagrożenie egzystencjalne (wskutek tzw. inwigilacji prawicy, prowadzonej przez podległe Wałęsie służby specjalne).

Po wyborach z 1997 r. Kaczyński co prawda powrócił do Sejmu, lecz stanowczo poniżej swoich ambicji – bynajmniej nie jako jeden z liderów Akcji Wyborczej Solidarność, którą współtworzył. Szybko bowiem został w niej zmarginalizowany, znów jako element nietolerowany przez większość prawicy.

Pomocną dłoń podał mu… Jan Olszewski, oferując dobre miejsce na liście swojego Ruchu Odbudowy Polski (czemu zdecydowanie był przeciwny Antoni Macierewicz!). W nowym Sejmie Kaczyński stał się zatem posłem niezrzeszonym i w gruncie rzeczy bezpartyjnym, bo większość działaczy PC została w szeregach AWS. Nic dziwnego, że tak zmarginalizowany polityk szybko zaczął atakować solidarnościowy rząd Jerzego Buzka, zarzucając mu kierowanie się zasadą TKM, „teraz, k… my". A jednak po wyjściu Unii Wolności z koalicji rządowej w połowie 2000 r. były lider PC wygrał kolejny los na loterii – jego brat został powołany na stanowisko ministra sprawiedliwości, opuszczone przez Hannę Suchocką.

Kaczyński szybko zmontował koalicję ugrupowań prawicowych i dzięki pomocy klubu PSL przeforsował kandydaturę Jana Olszewskiego na premiera.

eprasa.pl b257565c1e

Droga do władzy

Rosnąca popularność Lecha Kaczyńskiego, który pozował na „twardego szeryfa" w czasach rzeczywiście powszechnej i dotkliwej dla obywateli przestępczości, umożliwiła Jarosławowi powołanie nowej partii, której nazwa była zarazem hasłem wyborczym: Prawo i Sprawiedliwość. W wyborach z 2001 r. ugrupowanie braci Kaczyńskich zdobyło 9,5% głosów i 44 mandaty poselskie, pokonując AWS i UW, które w ogóle nie weszły do Sejmu.

Następnych czterech lat PiS już nie zmarnowało, korzystając z błędów rządzącej lewicy. Kolejnymi etapami na drodze tej partii do władzy były: wygrana Lecha Kaczyńskiego w wyborach na prezydenta Warszawy, tzw. afera Rywina i powołana w jej sprawie komisja śledcza, w której zdobył sławę młody poseł Zbigniew Ziobro, „lista Wildsteina" i rozpętanie przez IPN kampanii lustracyjnej, tzw. afera Orlenu, która wyeliminowała Włodzimierza Cimoszewicza jako kandydata SLD w wyborach prezydenckich, wreszcie śmierć Jana Pawła II i sojusz o. Tadeusza Rydzyka z Jarosławem Kaczyńskim.

Wszystko to przyniosło podwójne zwycięstwo wyborcze jesienią 2005 r., gdy PiS stało się największym klubem w Sejmie, a Lech Kaczyński objął urząd prezydenta RP.

I znów, jak przed laty, lider PiS miał możliwość kreowania premiera. Tym razem wybór padł na Kazimierza Marcinkiewicza, jednego z bardziej umiarkowanych posłów tej partii, uchodzącego za eksperta od spraw gospodarczych. Jednak już po ośmiu miesiącach bracia Kaczyńscy zdecydowali o odwołaniu szefa rządu. „Coraz bardziej się od nas oddalał politycznie. Już samo powołanie na ministra skarbu Andrzeja Mikosza, człowieka, łagodnie mówiąc, kontrowersyjnego, było dla nas poważnym ostrzeżeniem. Kazaliśmy Marcinkiewiczowi usunąć tego człowieka i na jego miejsce wprowadzić Wojciecha Jasińskiego, którego znam od 1967 r. i mam do niego pełne zaufanie. Później tych ostrzeżeń było coraz więcej. Marcinkiewicz zaczął kręcić w ważnych dla nas sprawach, prowadzić w polityce zagranicznej własne gierki, m.in. chciał pójść na ustępstwa wobec Niemiec w sprawie rurociągu północnego, co było zupełnie bez sensu z naszego punktu widzenia. Nie odpowiadała nam jego chaotyczna konsolidacja energetyki, która mogła być niezatwierdzona przez UE. To była ostatnia kropla do kielicha", wspominał później Jarosław Kaczyński.

Kluczowym powodem zmiany, o którym lider PiS nie wspominał, była jednak osobista popularność Marcinkiewicza – dzięki temu premier mógł sobie pozwalać na samodzielne decyzje. I zapłacił za to dymisją już w połowie 2006 r., gdy na czele rządu stanął sam Jarosław Kaczyński.

Przeszło rok rządów bliźniaków na najważniejszych stanowiskach w państwie stanowił ewenement w skali światowej, politycznie jednak zakończył się klęską. Lider PiS nie był w stanie utrzymać większości sejmowej z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin, co doprowadziło do przedterminowych wyborów w 2007 r. i przejęcia władzy przez koalicję PO-PSL z Donaldem Tuskiem jako premierem.

O skali swojej osobistej niepopularności lider PiS przekonał się dobitnie raz jeszcze w wyborach prezydenckich z 2010 r., które przegrał z Bronisławem Komorowskim, choć duża część społeczeństwa autentycznie mu wtedy współczuła po śmierci brata i bratowej w katastrofie smoleńskiej.

Ten okres kolejnej „smuty" w karierze Kaczyńskiego zamykają wybory parlamentarne z 2011 r., po których Tusk utrzymał władzę, a PiS pozostało w opozycji. Jednak malejąca popularność rządu, a w końcu wyjazd samego premiera do Brukseli i zastąpienie go przez Ewę Kopacz sprawiły, że rok 2015 przyniósł powtórkę sprzed dekady: podwójne zwycięstwo PiS w wyborach prezydenckich i parlamentarnych, a nawet uzyskanie w tych drugich samodzielnej większości sejmowej. Po raz kolejny Jarosław Kaczyński okazał się wielkim kreatorem prezydentów i premierów, na które to stanowiska wynajdywał ludzi z coraz dalszych szeregów swojej partii i z coraz mniejszym dorobkiem życiowym. Trudno nie zauważyć, że sięgał wówczas po osoby, które zaczynały aktywność polityczną daleko od niego, wszak Andrzej Duda za młodu należał do Unii Wolności i dopiero w 2006 r. związał się z PiS, Beata Szydło początkowo należała do Platformy Obywatelskiej, a jej następca, Mateusz Morawiecki, jako czołowy bankowiec III RP należał do Rady Gospodarczej przy premierze Tusku.

Większość partii postsolidarnościowych miała dość intryganckich metod Kaczyńskiego, który w dodatku zaczął otwartą wojnę z prezydentem Wałęsą.

Dziś widać wyraźnie, że ludzie wykreowani przez Kaczyńskiego na tamtym etapie również go zawiedli, czego ostatecznym potwierdzeniem była utrata władzy w 2023 r. Nieprzypadkowo ani Duda, ani Szydło nie odgrywają już żadnej roli w PiS, a Morawiecki znalazł się w ostrym konflikcie z resztą partii, w której zresztą od początku był uważany za ciało obce. Dlatego, gdy Jarosław Kaczyński znowu walczy o powrót do władzy, stawia na przedstawicieli twardej, wręcz nacjonalistycznej i klerykalnej prawicy, jaką ani PC, ani wczesne PiS nigdy przecież nie były. Prezydent Nawrocki i potencjalny premier Czarnek to zapowiedź bezkompromisowej walki nie tylko z obecnym rządem, ale też o zdominowanie i podporządkowanie konkurentów po prawej stronie.

Czy zbliżającemu się do osiemdziesiątki Kaczyńskiemu jeszcze raz uda się zdominować polską politykę?

Paweł Siergiejczyk

eprasa.pl b257565c1e

Wojciech Kuczok

Sprawni po szkodzie

Niespełnione „remontady” polskich klubów w Europie

Ekipy Lecha i Rakowa skutecznie odrabiały straty w meczach rewanżowych Ligi Konferencji – do czasu. W obu przypadkach zabrakło happy endu: Szachtarowi pomogło szczęście, Fiorentina w krytycznym momencie po prostu przestała się oszczędzać. Wybrałem się do Sosnowca na mecz częstochowsko-florencki; nowoczesny stadion ArcelorMittal Park jest areną poważnych wydarzeń piłkarskich od wielkiego dzwonu, albowiem tutejsze Zagłębie gra tragicznie i lada moment może się osunąć poza centralny poziom rozgrywek. Taksówkarze nie przywykli do wokółstadionowych korków, klęli zatem na czym świat stoi, przyjmując kursy, bo stadion tym razem wypełnił się po brzegi.

Dobry zespół powinien grać co trzy dni. I to jest mentalność, do której polskie ekipy wciąż nie dorosły.

Fiorentina przyjechała do Sosnowca opromieniona wyjazdowym zwycięstwem nad Cremonese, bezpośrednim rywalem w walce o utrzymanie w Serie A – jest wreszcie kilka punktów nad kreską. Trener Paolo Vanoli przybył do Florencji w listopadzie w roli „strażaka” – miał ugasić pożar i wyprowadzić Fiorentinę ze strefy spadkowej po katastrofalnym początku rozgrywek. Najpewniej mu się uda. To coach o cholerycznym usposobieniu, wcielenie włoskiego temperamentu: obserwowałem z rozbawieniem, jak wrzeszczy przez cały mecz na swoich podopiecznych, teatralnie gestykuluje, po każdym nieudanym zagraniu Florentczyków rwie włosy z głowy przy akompaniamencie mammamii, santamadonn i porkamizerii, ale też sprawiedliwie bije brawo po akcjach fortunnych.

Najgorętsze oklaski Fioletowi otrzymali za reakcję na utratę bramki tuż po przerwie (plasowany strzał Karola Struskiego w krótki róg). Po prostu włączyli czwarty bieg, całkowicie przejęli inicjatywę i nie odpuścili, dopóki nie udało im się wyrównać, skądinąd po fantastycznej zespołowej akcji rozpoczętej błyskotliwym rajdem Fabiana Parisiego. I cóż, że ostatecznie pomógł im rykoszet po strzale Ndoura, skoro bramka i tak wisiała w powietrzu. Fiorentina, by tak rzec kolokwialnie, bez problemu rozpykała Raków.

Raków miał jeszcze kilka okazji, niby było blisko, tak blisko, że do trzeciego z serii rzutów rożnych w doliczonym czasie gry wybiegł bramkarz Oliwier Zych. Niestety, akurat do tego najgorzej wykonanego, przez co Raków nadział się na kontrę, a dla Marina Pongračica trafienie z połowy boiska do pustej bramki to pestka. Niby trzeba było zagrać va banque, ale szkoda remisu, na który Raków jak najbardziej zasłużył (szkoda też ułamka punktów do rankingu UEFA, bo o naszej w nim pozycji w najbliższych sezonach będzie decydował języczek u wagi).

Vanoli na pomeczowej konferencji, zapytany o rotację w składzie i rozkładanie sił zawodników na kilku frontach, stwierdził: „Dobry zespół POWINIEN grać co trzy dni”. I to jest mentalność, do której polskie ekipy wciąż nie dorosły. Dopóki będziemy narzekać na niedogodność gry na kilku frontach, póki z całym przekonaniem nie pojmiemy, że to przywilej największych, do którego wszak się dąży, dopóki nasi piłkarze i sztaby szkoleniowe nie zrozumieją, że wychodzą na boisko właśnie po to, aby najlepiej przez cały sezon grać co trzy dni, wciąż będzie się snuła nad murawami toksyczna mgła polskiej myśli szkoleniowej, przez którą marnowaliśmy w piłce klubowej dekady: „Ach, najlepiej byłoby odpuścić puchary i móc skupić się na lidze” (już kiedyś wyciągnąłem z tego logiczny wniosek, że jeszcze lepiej byłoby w ogóle odpuścić sobie mecze i skupić się na treningach).

Wokół Vanolego, oprócz obserwatora UEFA, który po kilku minutach zrozumiał, że nie ma sensu strofować Włocha za przekraczanie przerywanej linii wyznaczającej dozwoloną strefę, kręciło się kilku asystentów, każdy w nieustającym kontakcie z formacją mu podległą. Ba – kiedy Włosi wybiegali z szatni na boisko po przerwie, jeden z trenerów naprędce rzucił przed nimi plastikowe pachołki, żeby szybkim slalomem jeszcze się dogrzali przez rozpoczęciem gry. Powiedzieć, że włoska ławka żyła, to nic nie powiedzieć, to było kłębowisko emocji i ekspresyjnych reakcji na każde boiskowe wydarzenie.

Trener Rakowa Łukasz Tomczyk obserwował mecz ze stoickim spokojem, chłodny i zdystansowany. Do zdobycia bramki Raków prezentował się przyzwoicie, ale wobec Fiorentiny rozjuszonej był już bezradny – Viola jest po prostu drużyną lepszą.

W Rakowie znajdują miejsce zawodnicy o pojedynczych walorach, np. Michael Ameyaw jest szybki, bardzo szybki, ale na tym jego zalety się kończą. Fiorentina ma kilku graczy szybkich, ale potrafiących poza obiegnięciem rywala również świetnie dograć i strzelić.

Na razie efekt domina, uruchomiony w przerwie zimowej odejściem Marka Papszuna do Warszawy, wywołał same nieszczęścia: Legia wciąż jest pod kreską w walce o utrzymanie się, Raków pod wodzą Tomczyka sprzeciętniał, nie odrabia dystansu do prowadzącej trójki, a Polonia Bytom, w której Tomczyka zastąpił Patryk Czubak, gra wiosną w pierwszej lidze katastrofalnie, zdobyła zaledwie jeden punkt w pięciu meczach.

eprasa.pl b257565c1e

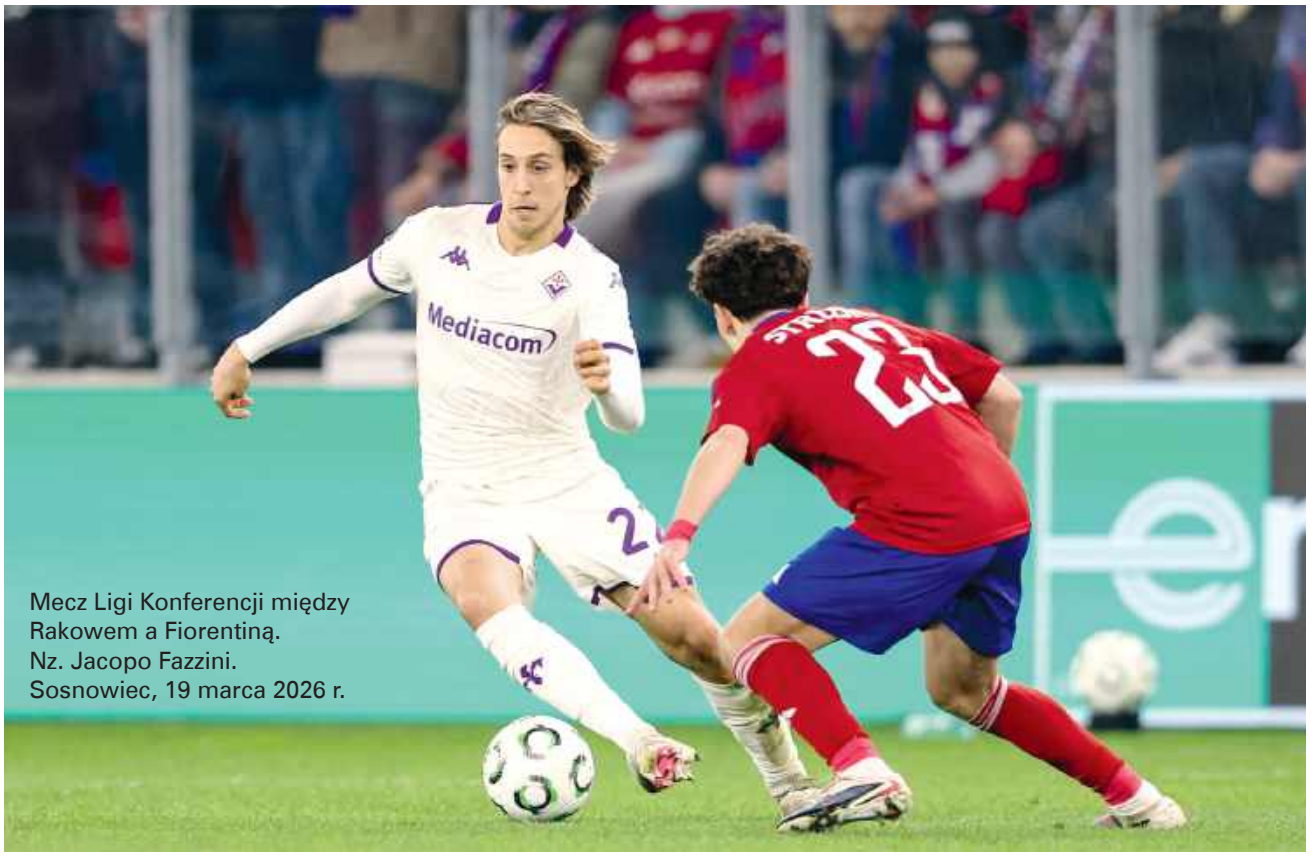

Mecz Ligi Konferencji między Rakowem a Fiorentiną. Nz. Jacopo Fazzini. Sosnowiec, 19 marca 2026 r.

Zupełnie niespodziewanie to Lech Poznań był bliżej awansu do ćwierćfinału Ligi Konferencji, pomimo tego, że w pierwszym meczu u siebie przegrał z Szachtarem wyraźnie, a wynik 1:3 i tak nie oddawał przewagi jakościowej brazylijskiej gromadki z Doniecka. W Krakowie Poznaniacy zagrali koncertowo i podciął im skrzydła dopiero naprawdę wyjątkowo pechowy samobój Moutinha, który nieszczęśliwie nabiegł na piłkę.

Metamorfoza Lechitów była zdumiewająca, ciągły napór, mnóstwo sytuacji, w efekcie odrobienie strat już do przerwy za sprawą niezawodnego Mikaela Ishaka. Krakowski dublet wyniósł go na czoło listy najlepszych strzelców ekstraklasowych w europejskich rozgrywkach, 31. gol zdobyty z rzutu karnego pozwolił Szwedowi wyprzedzić Włodzimierza Lubańskiego, który w najlepszych latach Górnika Zabrze trafiał w Europie 30-krotnie.

Niestety, odrabianie strat w meczach rewanżowych po to, by ostatecznie i tak odpaść, stało się polską specjalnością. Zapoczątkował zresztą ten trend właśnie Lech przed kilku laty w ćwierćfinale Ligi Konferencji, kiedy po domowym laniu od Fiorentiny, we Florencji trzy bramki odrobił, ale potem stracił jeszcze dwie. Być może da się to wyjaśnić rozprężeniem przeciwników, którzy, o klasę lepsi, w pierwszych meczach bez trudu wygrywają, a potem oczekują spokojnego dopełnienia formalności. Polacy zaś, tradycyjnie mądrzy po szkodzie, dostają wiatr w żagle dopiero w okolicznościach zaiste romantycznych – gdy wszystko wydaje się stracone, ruszają do szarży.

Szczęście sprzyja lepszym, więc wciąż odpadamy po fantazyjnych bojach, mozolnie wstajemy z martwych po to, by wyrżnąć łbem w latarnię i wrócić do grobowca. Jesteśmy skrajnie niestabilni, nie potrafimy zagrać dwóch solidnych meczów z silnymi rywalami, jeden nasz mecz jest zawsze wyraźnie lepszy od drugiego, najczęściej w odwrotnej właśnie kolejności – pierwszy grzebie nadzieje prawie po sam brzeg, potem są one rozpaczliwie odkopywane, aby pogrześć je ponownie.

W Champions League zakończyła się niespodzianie przygoda Norwegów z Bodø/Glimt, którzy po pierwszym meczu wydawali się pewni awansu kosztem Sportingu Lizbona. Na Estádio José Alvalade Portugalczycy roznieśli jednak drużynę zza koła podbiegunowego aż 5:0, a mnie nasuwa się wytłumaczenie natury psychologicznej. Otóż po raz pierwszy Norwegowie przystąpili do meczu z silnym rywalem jako faworyci i tej presji nie unieśli.

FC Barcelona zdemolowała Newcastle 7:2, choć Anglicy długo się odgryzali i tuż przed przerwą wynik dwumeczu brzmiał 3:3. Karny do szatni wykorzystany przez Yamala podłamał Sroki, a w egzekucji wziął czynny udział Robert Lewandowski, dopisując kolejne dwa gole do swojej listy trafień w Lidze Mistrzów. Ma ich teraz już 109 i warto przypomnieć, że jest jednym trzech piłkarzy, obok Messiego i Cristiana Ronalda, którzy przekroczyli granicę 100 goli w historii tych rozgrywek. Oby dołożył także trafienia do swojego bilansu reprezentacyjnego, bo już w najbliższy czwartek kadra narodowa pod wodzą Jana Urbana podejmie Albanię w pierwszym barażu o udział w amerykańskim mundialu. ■

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

eprasa.pl b257565c1e

Kubańscy medycy w Kalabrii

W kalabryjskich szpitalach mieszają się języki i akcenty. Na pomoc tamtejszej służbie zdrowia przybyli karaibscy lekarze

Tomasz Skowronek

W Polistenie mieszkańcy żartują, że nim na sali operacyjnej ich szpitala Santa Maria degli Ungheresi zapadnie decyzja, jak ciąć, zdarza się jeszcze jedna dyskusja – o pizzy. Czy lepsza jest neapolitańska, czy kalabryjska. Ta anegdotka dobrze oddaje atmosferę placówki, w której od kilku lat pracują lekarze z różnych stron świata.

Polistena leży u podnóża gór Aspromonte, na południu Włoch. Miasteczko jest niespełna 10-tysięczne, ale tutejszy szpital obsługuje nawet 200 tys. osób z okolicznych miejscowości. Jego pacjenci zaś przyzwyczajają się do mieszanki języków i akcentów – włoski bowiem przeplata się z hiszpańskim.

Na ławkach przed gabinetami czekają głównie starsi mieszkańcy okolicy. Wielu przyjeżdża z górskich wiosek, czasem pokonując kilkadziesiąt kilometrów. W tej części Kalabrii publiczna służba zdrowia od lat zmagała się z brakami kadrowymi: konkursy na stanowiska lekarskie kończyły się bez rozstrzygnięcia, starsi medycy przechodzili na emeryturę, a młodsi wyjeżdżali na północ Włoch lub za granicę.

Ratunek przyszedł z daleka. W 2022 r. do Kalabrii przyjechało prawie 400 lekarzy z Kuby: kardiologów, ortopedów, anestezjologów i specjalistów intensywnej terapii. Dla wielu szpitali na południu kraju była to ostatnia szansa, by utrzymać funkcjonowanie oddziałów i zapewnić mieszkańcom dostęp do publicznej opieki zdrowotnej.

Kardiolożka dr Elizabeth Balbuena Delgado jako jedna z szesnaściorga Kubańczyków pod koniec 2022 r. wsparła szpital w Locri. Nz. konferencja prasowa 21 stycznia 2023 r.

Polityka a deficyty kadrowe

Dziś obecność kubańskich lekarzy stała się jednak przedmiotem międzynarodowego sporu. Według doniesień dyplomatycznych USA naciskają na władze regionu, aby nie przedłużały współpracy z Kubą. Dla władz Kalabrii sprawa tymczasem jest jednoznaczna: bez zagranicznych lekarzy część szpitali może przestać istnieć.

Spór zwrócił uwagę na dramatyczny stan publicznej służby zdrowia na południu Włoch. W regionie, gdzie bezrobocie sięga ok. 20%, szpitale mają ogromne problemy z pozyskaniem personelu medycznego. Ci, którzy zostali, pracują ponad siły.

Kalabria należy do najbiedniejszych regionów Włoch, a jej gospodarka w dużej mierze opiera się na rolnictwie. Wydatki na ochronę zdrowia należą tu do najniższych w kraju i wynoszą ok. 1748 euro na mieszkańca, podczas gdy średnia krajowa przekracza 2,1 tys. euro. Z powodu chronicznego deficytu finansowego w 2009 r. nadzór nad regionalną służbą zdrowia przejął rząd centralny w Rzymie.

Problemy jednak nie zniknęły, a pandemia COVID-19 tylko je pogłębiła. Od 2021 r. z publicznego systemu odeszło we Włoszech ponad 11 tys. pracowników medycznych. Wielu lekarzy, którzy podczas pandemii byli bohaterami pierwszej linii frontu, po jej zakończeniu zdecydowało się odejść z zawodu, przejść do sektora prywatnego lub wyjechać za granicę. Poza tym młodzi medycy z południa wolą pracę w bogatszych regionach północnych – w Lombardii czy Emilii-Romanii – albo wyjeżdżają do Niemiec, Szwajcarii czy Francji, gdzie zarobki są znacznie wyższe, a warunki pracy stabilniejsze.

eprasa.pl b257565c1e

W Kalabrii skutki tego exodusu są szczególnie widoczne. Szukając oszczędności, zamykano kolejne szpitale, a publiczna służba zdrowia była dodatkowo osłabiana przez afery polityczne i korupcyjne oraz wpływy kalabryjskiej mafii 'ndranghety, która w przeszłości przenikała część lokalnych instytucji i przejmowała kontrakty publiczne.

Według szacunków w regionie brakuje ok. 2,5 tys. lekarzy. W szpitalu w Polistenie brak personelu odczuwa się każdego dnia. Szef radiologii Niky Cordopatri przyznaje w rozmowie z włoskim dziennikiem „Il Sole 24 Ore", że oddział funkcjonuje na granicy wydolności: „Oprócz mnie mamy tylko czterech lekarzy. Jeden jest Kubańczykiem. A powinno nas być przynajmniej dwa razy więcej". Długie dyżury i ciągła presja stały się codziennością.

Ratunek z daleka

W tej sytuacji władze regionu zdecydowały się na rozwiązanie, które jeszcze kilka lat temu wydawało się nie do pomyślenia – zwróciły się o pomoc do Kuby. Hawana od dziesięcioleci wysyła lekarzy do różnych części świata. Kubańskie brygady medyczne pracowały podczas trzęsień ziemi w Ameryce Łacińskiej, epidemii w Afryce czy kryzysów humanitarnych na Karaibach. To jeden z najważniejszych elementów kubańskiej soft power. Drzwi do bogatszych krajów Europy otworzyła im pandemia COVID-19. W 2020 r. kubańscy lekarze pomagali w Bergamo, w jednym z najciężej dotkniętych przez pandemię regionów Włoch. Pracowali też w Andorze, a niedawno po wsparcie zwróciła się Portugalia.

W Polistenie Kubańczyków jest kilkunastu. W ciągu ostatnich dwóch lat stali się częścią lokalnej społeczności. Dyżurują na oddziałach ratunkowych, operują, prowadzą konsultacje. Szpital Santa Maria degli Ungheresi obsługuje ponad 180 tys. mieszkańców równiny Gioia Tauro. Bez dodatkowych rąk do pracy byłoby to praktycznie niemożliwe. Kiedy władze regionu po raz pierwszy zaproponowały sprowadzenie lekarzy z Kuby, pomysł spotkał się z krytyką. Teraz wielu sceptyków zmieniło zdanie. „To nie ja mówię, że eksperyment się udał – podkreśla prawicowy prezydent regionu Roberto Occhiuto w rozmowach z lokalnymi mediami. – Mówią to włoscy lekarze pracujący z Kubańczykami i sami pacjenci".

O doświadczeniach pracy w Kalabrii opowiadali niedawno kubańscy lekarze w wywiadach dla dziennika „Corriere della Sera". „Nie postrzegamy medycyny jako biznesu ani sposobu na zarabianie pieniędzy – mówi jedna z pracujących tu specjalistek intensywnej terapii. – Lekarzem zostaje się z pasji".

Inny lekarz przyznaje, że praca we Włoszech była dla niego spełnieniem marzeń, ale zaskoczył go stan części placówek. „Kiedy przyjechaliśmy, wielu ludzi pytało, czego można oczekiwać od lekarzy z Trzeciego Świata – wspomina. – Dziś ci sami ludzie mówią nam, że jesteśmy niezastąpieni".

W 2022 r. do Kalabrii przyjechało prawie 400 lekarzy z Kuby: kardiologów, ortopedów, anestezjologów i specjalistów intensywnej terapii.

Presja dyplomatyczna

W ostatnich miesiącach program współpracy medycznej Kuby z innymi krajami znalazł się pod rosnącą presją dyplomatyczną Stanów Zjednoczonych. Waszyngton twierdzi, że system wysyłania lekarzy za granicę przypomina pracę przymusową, ponieważ część wynagrodzenia trafia do państwowej firmy medycznej w Hawanie. Kilka państw Ameryki Łacińskiej i Karaibów zakończyło już podobne programy współpracy, m.in. Paragwaj, Gujana, Bahamy, Saint Vincent, Antigua i Barbuda, Saint Lucia, Gwatemala i Honduras. Kubańscy lekarze i rząd w Hawanie odrzucają te zarzuty: „Nie mamy broni, mamy lekarzy". Podczas jednego ze spotkań w Kalabrii kubański ambasador Jorge Luis Cepero Aguilar bronił misji medycznych swojego kraju: „Nie nosimy broni ani nie zrzucamy bomb. Naszą odpowiedzią na kryzysy są lekarze".

Dyplomata zwrócił też uwagę na skutki amerykańskiej blokady gospodarczej, która utrudnia Kubie zakup sprzętu medycznego i leków. Twarda polityka Waszyngtonu wobec Hawany zaczęła jednak mieć konsekwencje także w południowych Włoszech.

Amerykańscy dyplomaci na początku marca spotkali się z władzami regionu, sugerując zakończenie programu współpracy medycznej z Kubą, ale Roberto Occhiuto po spotkaniu z Mikiem Hammerem, chargé d'affaires USA na Kubie, któremu towarzyszył Terrence Flynn, konsul generalny USA w Neapolu, nie pozostawił wątpliwości co do swoich decyzji. „Kubańscy lekarze są w naszym systemie ochrony zdrowia absolutnie niezbędni. Powiedziałem Hammerowi, że kubańscy lekarze, którzy umożliwiają utrzymanie otwartych szpitali i izb przyjęć w Kalabrii, są nadal niezbędni naszemu regionowi. Moim najwyższym priorytetem jest zapewnienie prawa do opieki zdrowotnej mieszkańcom Kalabrii, gdzie system opieki zdrowotnej jest już w bardzo trudnej sytuacji. Aby utrzymać go przy życiu, potrzebujemy więcej białych fartuchów". I dodał: „Lekarze byli, są i będą kluczowi dla zapewnienia funkcjonowania izb przyjęć i utrzymania wszystkich szpitali w naszym regionie. Uzgodniliśmy, że potrzebujemy jeszcze do 1 tys. karaibskich lekarzy. Jeśli rząd USA zamierza nam pomóc, zapewniając Kalabrii 1 tys. nowych lekarzy – oczywiście nie mamy nic przeciwko. Wręcz powitamy z otwartymi ramionami każdego, kto chce się przyczynić do wzmocnienia naszego regionalnego systemu opieki zdrowotnej".

Dla mieszkańców Kalabrii ten międzynarodowy spór ma bardzo konkretny wymiar. Chodzi o to, czy w ich szpitalach wciąż będzie ktoś, kto przyjmie ich w chorobie. ■

FOT. ALAMY STOCK PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl b257565c1e

Trzy wypadki i jedenaście zwęglonych zwłok

Jak awaryjnie otworzyć tylne drzwi w Tesli?

Julian Stałgo

43-letni mężczyzna i dwójka dzieci spłonęli po uderzeniu Tesli w drzewo. Pożar wybuchł natychmiast. Schwerte w pobliżu Dortmundu, 7 września 2025 r.

Po północy 24 października 2024 r. w Toronto w Kanadzie, po uderzeniu w barierki i w słup, zapalił się samochód Tesla Model Y. W środku było pięć osób. Przeżyła kobieta, która siedziała na tylnym siedzeniu. Nie mogła otworzyć drzwi, ale z płonącej Tesli wyciągnął ją Rick Harper, który zatrzymał się, by pomóc, i wybił boczną szybę kluczem do kół. W Tesli nie było zasilania, więc elektrycznie otwierane drzwi nie działały. Świadkowie zeznali, że silny pożar wybuchł natychmiast po wypadku. Dopiero po ugaszeniu pożaru strażacy zauważyli wewnątrz cztery kompletnie spalone ciała. Można wątpić, że wszyscy zginęli na miejscu od samego uderzenia.

W nocy 9 listopada 2024 r. w Niort we Francji w wypadku Tesli Model S Plaid zginęły cztery osoby. Świadków nie było. Zwęglone zwłoki znaleziono wewnątrz auta. Samochód wypadł z drogi, ściął znak i wylądował w rowie. Kierowcą był 65-letni mężczyzna z Niort, pozostała trójka ofiar (16, 21 i 26 lat) to pracownicy restauracji, którym zaoferował podwiezienie do domu. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci wszystkich ofiar było uduszenie dymem.

7 września 2025 r., Niemcy, Schwerte w pobliżu Dortmundu. 43-letni mężczyzna i jego dwójka dzieci spalili się w Tesli, po tym jak samochód uderzył w drzewo. Pożar wybuchł natychmiast. Roman Andrzejewski, który mieszka blisko miejsca wypadku, przybiegł na ratunek z gaśnicą i chciał otworzyć drzwi auta. Temperatura pożaru była jednak tak wysoka, że nie mógł nawet zbliżyć się do samochodu. Trzecie dziecko, w stanie krytycznym, przewieziono do szpitala.

Ciarki przechodzą na myśl o takiej śmierci. Na stronie Tesli, po polsku, w instrukcji obsługi do Modelu Y znalazłem taką wskazówkę otwierania tylnych drzwi od środka w przypadku braku zasilania: „Wyjmij matę znajdującą się na spodzie tylnego schowka drzwi; naciśnij czerwony zaczep, aby otworzyć drzwiczki dostępowe, pchnij linkę zwalniania mechanicznego do przodu".

Tesla myśli o bezpieczeństwie pasażerów i dlatego umieściła tę linkę pod dnem bocznej kieszeni tylnych drzwi (sic!). Przecież tylne boczne kieszenie w samochodach często są zapchane: napojami, zabawkami dzieci czy innymi drobiazgami. Jak pasażer, np. ze złamaną ręką, w szoku po wypadku, w całkiem zadymionym wnętrzu, ma to powyciągać? Musi najpierw wyciągnąć matę z dna kieszeni, potem musi znaleźć czerwony zaczep i go nacisnąć, by otworzyć małe drzwiczki dostępowe. Jak w dymie zobaczyć czerwony zaczep? Załóżmy, że jakimś cudem pasażer dotarł do tego zaczepu. Teraz, według instrukcji zamieszczonej przez Teslę po polsku, musi tę linkę „pchnąć do przodu". Ale jak można pchać linkę?

Na stronie internetowej Tesli sprawdziłem instrukcję otwierania tylnych drzwi w Modelu Y po angielsku i po niemiecku. Po angielsku jest tam napisane: „Pull the mechanical release cable forward" (pull to ciągnij). Po niemiecku zdanie zaczyna się od „Ziehen Sie" – i ziehen znaczy właśnie ciągnij. Dlaczego my, Polacy, mamy pchać linkę, a Anglicy i Niemcy mają ją ciągnąć? Nie wiem. Skoro trzeba linkę ciągnąć, to pchanie jej nic nie da.

Ten błąd w tłumaczeniu jest tak samo tragiczny jak sam pomysł umieszczenia linki pod dnem bocznej kieszeni drzwi. Pierwszy raz zauważyłem ów błąd na polskiej stronie Tesli pod koniec 2024 r. – jest tam do dziś. Ale instrukcja otwierania tylnych drzwi „w mało prawdopodobnym przypadku" braku zasilania zawiera również taką informację: „Uwaga. Nie wszystkie pojazdy Model Y są wyposażone w funkcję ręcznego zwalniania tylnych drzwi".

Zaszokowany tymi wszystkimi informacjami sprawdziłem, jak w razie utraty zasilania można otworzyć tylne drzwi w modelu Tesla X. Otóż stalowa linka, która zwalnia tylne

FOT. X.COM

eprasa.pl b257565c1e

drzwi, znajduje się w środku głośnika umieszczonego w drzwiach zaraz przy podłodze samochodu. Z internetowej instrukcji Tesli po polsku: „Ostrożnie zdemontuj z drzwi kratkę głośnika i pociągnij linkę mechanizmu zwalniającego w dół, i w kierunku przodu pojazdu. Po zwolnieniu zaczepu będzie można ręcznie podnieść drzwi". Jak tego wszystkiego dokonać, gdy samochód się pali, w środku pełno jest duszącego dymu, a my jesteśmy ranni? Przecież nawet w normalnej sytuacji, siedząc na tylnej kanapie, trudno sięgnąć ku podłodze.

Elon Musk i jego team tu się nie popisali. Przypominam, że tylne drzwi Tesli Model X otwierają się do góry, łamiąc się w połowie, i do ich podniesienia, żeby wyczołgać się dołem z samochodu, trzeba sporo siły. Przy czym mechanizm awaryjnego otwierania przednich drzwi w modelach Y i X jest prosty. Wystarczy pociągnąć za małą klapkę znajdującą się zaraz przed przyciskami do podnoszenia szyb; oczywiście jeśli o istnieniu tej klapki, w panice, ranni, pamiętamy, bo normalnie do otwierania drzwi używamy przycisku.

Te fatalnie umieszczone linki do awaryjnego otwierania tylnych drzwi dowodzą, że inżynierowie Tesli przynajmniej próbowali – fakt, że w niewystarczającym stopniu – rozwiązać problem wydostania się pasażerów z unieruchomionej czy płonącej Tesli. Niestety, o tym, żeby w sytuacji awaryjnej można było z zewnątrz otworzyć drzwi samochodu, nie pomyśleli zupełnie.

Inżynierowie Tesli nie pomyśleli o tym, jak pasażerowie mają się wydostać z unieruchomionego czy płonącego auta.

Na wypadki elektryków, w których z powodu braku zasilania ratownicy nie mogą otworzyć drzwi, jako pierwszy zareagował rząd Chin. Sprzedawane tam od 1 stycznia 2027 r. nowe modele samochodów elektrycznych muszą być wyposażone w mechaniczny system otwierania wszystkich drzwi – i od wewnątrz, i z zewnątrz. Producenci modeli obecnie sprzedawanych w Chinach mają czas do 1 stycznia 2029 r. na zainstalowanie mechanicznych systemów otwierania drzwi od środka i z zewnątrz.

Chiny to największy na świecie rynek samochodów elektrycznych, dlatego ta decyzja rządu wpłynie na wszystkich ważniejszych producentów samochodów elektrycznych na świecie.

Kilka słów o pożarach elektryków. Baterie litowo-jonowe ze względu na ich skład chemiczny i ilość zgromadzonej w nich energii po zapaleniu się wybuchają ogniem o temperaturze przekraczającej 1200 st. C. Strażacy gaszą te pożary godzinami, zużywając dziesiątki tysięcy litrów wody. W Teslach akumulatory wypełniają prawie całą przestrzeń pod podłogą. Pasażerowie siedzą nad akumulatorem, który waży 500-800 kg, więc ogień i dym dochodzą do nich błyskawicznie. Wszyscy kierowcy i pasażerowie powinni zatem bardzo uważnie czytać instrukcje obsługi samochodów elektrycznych, by podróż nimi była bezpieczna. ■

KSIĄŻKI

Z przymrużeniem oka. I bez

Andrzej Bartkowski to postać niepodrabialna. I bardzo barwna. Jego portretu nie da się namalować bez wielu kolorowych farb. Opisać jego działalność też trudno. Bo jak połączyć wyjątkową rolę mecenasa sztuki z rolą biznesmena z sukcesami?

Jako prezes i współwłaściciel sławnej Grupy Mazurkas w Ożarowie Mazowieckim ma co pokazać. Bo imponujący hotel jest nie tylko ważnym centrum konferencyjnym, ale także centrum kultury.

I tu pojawia się drugie oblicze Bartkowskiego – filantropa. I pasja, z jaką organizuje koncerty, wernisaże oraz spotkania z artystami. Od utalentowanych amatorów po europejskie i światowe sławy, solistów, orkiestry i balety. Gościli tam m.in. Penderecki, Ochman, Ładysz, Zanussi, Hoffman, Nahorny, Sojka.

Mazurkas w swoich lokalach ma więcej obrazów, grafik i rzeźb niż niejedno muzeum. O skali tego, co tam robią, świadczą liczby. 150 wydarzeń, a każde dla jakichś 800 osób.

Jest też trzecie oblicze Bartkowskiego. Pisze wiersze, ballady i felietony wierszowe. Z humorem, nowymi słowami i zaskakującymi puentami. Ma do tego talent. Trudno powiedzieć, dokąd by zaszedł jako poeta, gdyby tyle czasu nie zajmowało mu robienie biznesu. Piszę to bez przymrużenia oka. Bo Bartkowski wierzy, że świat można zmieniać. I chce to robić.

Jerzy Domański

Andrzej Bartkowski, *Z przymrużeniem oka*, Wydawnictwo Hi-Endpol
www.andrzej-bartkowski.pl, www.forumhumanummazurkas.pl

Nemo zrobi porządek

Witold Ślusarski, jeden z twórców kiedyś słynnej krakowskiej szkoły reportażu radiowego, w książce „Jest robota, kapitanie" połączył pięć jednoaktówek poruszających ważne współczesne problemy Polaków. W każdej teatralnej miniaturze jest jakaś rzecz do zastanowienia się i do naprawy. A ponieważ autor książki nie bardzo wie, kto mógłby w Polsce zająć się tymi trudnymi problemami, powierzył to zadanie Kapitanowi Nemo, licząc widocznie, że bohater powieści Juliusza Verne'a przypłynie do naszego kraju i zrobi porządek. Tylko czy warto na jego statek czekać?

Leszek Konarski

Witold Ślusarski, *Jest robota, kapitanie*, Wydawnictwo Borgis, Warszawa 2026

eprasa.pl b257565c1e

Rodzina to pierwszy scenariusz

Więzi między rodzeństwem odbijają dynamikę całej rodziny, a nawet wielu pokoleń

Rozmawia Wojciech Tutaj

Czego najbardziej ci brakuje w polskim kinie? Czy twój pełnometrażowy debiut „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" jest na to odpowiedzią?

– Mój film powstał z wielu powodów. Poruszam w nim tematy osobiste, dotykam bliskich mi stanów i emocji. Przede wszystkim obrazuję doświadczenie funkcjonowania w wieloosobowym rodzeństwie. Jestem w takim momencie życia, w którym czerpię z tego, co mam obok siebie. I mam potrzebę opowiedzenia historii w konkretnej formie. Ale kręcę i oglądam filmy w Polsce, gdzie kino i dyskurs publiczny są ukształtowane w pewien sposób i trudno się do tego nie odnosić.

Gdy studiowałam w Szkole Filmowej w Łodzi, dużo mówiło się o tym, że brakuje u nas kina środka. Trochę się zmieniło od tamtej pory, a kino środka dominuje obok komercyjnego. Mniej jest zaś autorskiego języka i miejsca na eksperyment. Przyswoiliśmy już klasyczne konstrukcje scenariuszowe z kina amerykańskiego, może dobrze byłoby je teraz rozbić lub wejść z nimi w dialog? Ciekawią mnie poszukiwania w obszarze formy, ale i skupienie na specyficznym świecie i bohaterach. Nie wszystko musi być jakąś uśrednioną, stereotypową wizją naszego kraju i jego mieszkańców.

Szukasz więc w polskich filmach różnorodności?

– Czasem, komentując jakiś głośny film, ktoś mówi, że to historia o nas, Polakach. Nie do końca rozumiem, co to znaczy, i rzadko się z tym utożsamiam. Nie czuję też potrzeby robienia filmów pasujących do powyższego stwierdzenia. Ludzie są skomplikowani i różni, także w naszym społeczeństwie. Nie każda wielodzietna rodzina wpisuje się w dominujący obraz z debaty społeczno-politycznej. Dzięki kinu chciałabym więc uzyskać dostęp do różnorodnych, wyrazistych światów. Ciekawie też czerpać z naszego dorobku kulturowego, który jest fascynujący i niejednorodny. Kiedy myślę o kinie autorskim, nie chodzi mi wcale o filmy wypływające z osobistych doświadczeń. Duże znaczenie

EMI BUCHWALD
– (ur. w 1991 r.) reżyserka i scenarzystka filmowa. Laureatka Paszportu „Polityki" w kategorii film, nagrody za reżyserię Złoty Pazur im. Andrzeja Żuławskiego i Nagrody Dziennikarzy na festiwalu w Gdyni oraz Orła w kategorii odkrycie roku za film „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej".

eprasa.pl b257565c1e

ma sugestywny język opowiadania. Kino nie powinno się sprowadzać tylko do mocnego tematu. Liczą się obraz, dźwięk, muzyka, wszystkie elementy, które tworzą film. Nie byłoby współczesnego kina, gdyby ludzie nie eksperymentowali z pomocą wszystkich wymienionych środków.

W centrum twojej opowieści mamy czworo rodzeństwa i jego skomplikowane relacje. Skąd ten temat? Starasz się nawiązywać do własnych doświadczeń?

– Bardzo lubię grać z autobiograficzną prawdą. Punktem wyjścia są dla mnie osobiste historie, ale pisząc tekst ze współscenarzystą Karolem Marczakiem, odchodzimy w pewnym momencie od rzeczywistych wydarzeń na rzecz czysto filmowego sposobu opowiadania. Mam pięcioro rodzeństwa, ten temat zawsze był dla mnie istotny i szukałam w innych tekstach kultury jego satysfakcjonującego rozwinięcia. Rzadko znajdowałam coś, co mnie interesowało, czyli portret relacji, w której mamy więcej czułości i miłości niż zazdrości i zdrady. Żyjemy w XXI w., kontakty między braćmi i siostrami wyglądają inaczej niż kiedyś.

Z mojej perspektywy więzi między rodzeństwem odbijają dynamikę całej rodziny, a nawet wielu pokoleń. Kino nawiązuje do pierwotnej potrzeby opowiadania sobie historii i mitologie rodzinne mają podobną podstawę. Poza tym opowieść dotycząca rodzeństwa może się stać metaforą innych bliskich relacji, które tworzymy poza kręgiem rodzinnym.

Film jest podzielony na kilkanaście rozdziałów. Ta struktura ma literackie korzenie?

– Jedna z pierwszych notatek, które zapisaliśmy ze współscenarzystą, dotyczyła podzielenia filmu na rozdziały. Zaczerpnęliśmy ten pomysł z opowiadań J.D. Salingera, który stworzył świat rodzeństwa Glassów w zbiorach „Dziewięć opowiadań" oraz „Franny i Zooey". Przeczytałam je w wieku 15 lat i zobaczyłam, że ktoś ukazał bratersko-siostrzane relacje w bliski mi sposób. Choć teksty amerykańskiego pisarza zostały opublikowane w latach 60., w ogóle się nie zestarzały. Lektura tej prozy była pierwszym impulsem do myślenia o własnej opowieści o rodzeństwie. Idea filmu opartego na rozdziałach pochodzi też z mojej fascynacji francuską nową falą. Dzięki takim tytułom jak „Cleo od 5 do 7" Agnès Vardy postanowiłam zostać reżyserką. Sporo współczesnych dzieł, które są dla mnie ważne, również wykorzystuje podobną strukturę, np. „Opowieści o rodzinie Meyerowitz" Noah Baumbacha.

Uważasz, że bliska przyjaźń czy zbyt duża zażyłość między rodzeństwem jest zdrowa?

– Nie lubię filmów, które mówią mi, co mam myśleć i przeżywać. Zostawiam tę kwestię widzom. Akurat mnie bliskie relacje z rodzeństwem dały bardzo mocną podstawę. Dzięki nim czułam się pewnie, nawet w trudniejszych momentach życia. W czasach szkolnych, kiedy nie do końca odnajdywałam się w nowym środowisku, wiedziałam, że po powrocie do domu mogę być naturalna i robić z rodzeństwem totalne głupoty, śmiać się, płakać czy dyskutować o tematach, które mnie ciekawią. Mieliśmy wspólne zainteresowania filmowe, książkowe, muzyczne; dzieliliśmy się tym. To zapewniło mi solidny fundament, poczucie zakorzenienia. Dzięki tym relacjom mogłam łatwiej zyskać niezależność, bo nie przejmowałam się tak bardzo cudzymi opiniami albo przynależnością do jakiegoś środowiska.

Z drugiej strony zastanawiam się, co to znaczy, że relacje są bliskie lub zbyt bliskie, zdrowe albo toksyczne. Żyjemy w czasach, kiedy wszystko poddaje się ocenie. Umiemy nazwać każde zjawisko, używamy wielu sformułowań, które odnoszą się do pewnego umownego stanu normalności. A normalność może być bardzo różna.

Co masz na myśli?

– Myślałam o tym parę miesięcy temu, oglądając nowy film Andrei Arnold „Bird". Normalność dla jej bohaterów jest czymś innym niż dla mnie, więc jak mogę oceniać relację nastoletniej Bailey z ojcem jako toksyczną? Dziewczyna wychowuje się w specyficznym środowisku robotniczych angielskich osiedli. Reżyserka tego nie ocenia, tylko jest ze swoimi postaciami. Dzięki temu ja też mogę im towarzyszyć, poznać je, coś przemyśleć i przeżyć. Prawdopodobnie w wielu relacjach, które są bardzo bliskie, ludzie zaczynają na siebie wpływać, chcą się nawzajem zmieniać. Tak jak bohaterowie mojego filmu. Staram się ich zrozumieć, spojrzeć z każdej możliwej perspektywy, opowiadać bez oceniania. Czasem chcemy dla kogoś lepiej, niż ta osoba chce dla siebie. I przez to, że się o kogoś martwimy, próbujemy na niego oddziaływać. Na ile to jest zdrowe i normalne? Wszystko zależy od punktu widzenia.

Tytuł filmu podpowiada element fantastyczny. Dziś łatwiej znaleźć pierwiastki duchowe w codzienności lub w sferze prywatnej?

– Zdarza mi się znajdować je w codzienności. Może bierze się to stąd, że wychowałam się na wsi, dużo czasu spędziłam w otoczeniu przyrody. Jako dziewczynka chciałam zajmować się czymś związanym z naturą. Ostatecznie robię filmy, które są blisko technologii. Jednocześnie kino to idealne medium do opowiadania o tych aspektach codzienności, które wymykają się słowom i niosą bardziej duchowy wymiar. Pewnie dlatego lubiłam twórczość Krzysztofa Kieślowskiego, bo fascynowały mnie obecne w niej metafizyczne wątki. Nadal uważam, że ukazanie relacji dwóch kobiet złączonych przeczuciami i wewnętrznym niepokojem to świetny pomysł.

Intrygują mnie podobne obserwacje dotyczące związków międzyludzkich, ale i kontaktów człowieka ze światem. Wiele takich opowieści oraz historii o duchach w mojej rodzinie było związanych z wojennymi epizodami, z momentami poważnego kryzysu. Wtedy ludzie intensywniej szukali metafizyki, a może pozostawała im tylko myśl, że o jakimś zdarzeniu decydowały siły wyższe?

Kino nie powinno sprowadzać się tylko do mocnego tematu. Liczą się obraz, dźwięk, muzyka.

FOT. KINO ŚWIAT

eprasa.pl b257565c1e

Na przykład, że kogoś uratował anioł stróż albo paradoksalnie diabeł. Podchodzę do takich historii z dużym szacunkiem i ciekawością.

I zainteresowanie tym, co nadrealistyczne, przeniosło się na twoje lektury i seanse?

– Wszystko zmienił seans „Władcy Pierścieni". Kuzyn pokazał nam go, gdy miałam może 12 lat. Wtedy rozpoczął się mój długi i intensywny epizod w świecie fantasy. Czytałam książki J.R.R. Tolkiena, Ursuli K. Le Guin, C.S. Lewisa i Philipa Pullmana. Grałam też w gry RPG na komputerze i na żywo. Dzięki „Władcy Pierścieni" zainteresowałam się kinem i chciałam poznawać kolejne filmy. Może z powodu tych pasji Dusiołek z wiersza Bolesława Leśmiana zwrócił moją uwagę na etapie liceum. Po dziecięcym zachwycie gatunkiem fantasy zaczęło mnie bardziej interesować kino dokumentalne. Chropowate opowieści blisko życia. A chwilę później filmy nowofalowe, często kręcone na ulicach, w żywej tkance miejskiej. Te dwa porządki jakoś musiały się połączyć w mojej pracy. Współczesnym filmem, który dotknął metafizycznych wątków i wpłynął na moje myślenie, był natomiast „Ghost Story" Davida Lowery'ego. Lubię scenariuszowe pomysły, które pozwalają odbić się od rzeczywistości w stronę metafory.

Masz duży sentyment do miejsc i przedmiotów z przeszłości? Prywatna mitologia jest dla ciebie ważna?

– Przedmioty mają dla mnie trochę mniejszą wartość niż miejsca. Właśnie dlatego znalazłam połączenie z „Ghost Story". Ten film mówi o konkretnym miejscu istniejącym w czasie, analizuje, czym ono jest i jaką niesie historię. Pokazuje, co ta przestrzeń przeżyła z ludźmi, a nie czego oni w niej doświadczali. Sama wychowałam się w domu, w którym wcześniej mieszkali nasi przodkowie, a ich obecność zapisała się w formie wspomnianych opowieści o duchach, aniołach i diabłach. Miałam poczucie, że to miejsce żyje nie tylko naszą teraźniejszością, ale też ich przeszłością. Zresztą moja ciocia, która tam mieszkała, powiedziała, że w tym domu będą się działy dziwne rzeczy. To zdanie towarzyszy mi przez całe życie i daje do myślenia.

Przepowiednia się sprawdziła?

– W jakimś sensie tak. Zmiany, których dokonali w tym domu moi rodzice – przy zachowaniu jego dawnej struktury – byłyby czymś osobliwym z perspektywy osoby żyjącej w innych czasach. Wizja tego, co my, współcześni, robimy i ile osób przewinęło się przez ten dom, wypełniła przepowiednię cioci. Fascynuje mnie łączenie się przeszłości z teraźniejszością w przestrzeni. „Nie ma duchów..." zaczyna się przejazdem kamery przez tytułowe mieszkanie, w którym słychać dźwięki i odgłosy przeszłości. A mój dyplomowy krótki metraż „Heimat" kończył się przejazdem przez dom, w którym mieszkało troje rodzeństwa, a po łóżku jednego z nich zostało tylko puste miejsce. W takich przestrzeniach jest zaklęta przeszłość, ale nie interesują mnie tylko starocie i wspomnienia, tylko właśnie ich teraźniejszy wymiar. Jeszcze nie skończyłam rozważań na ten temat, dlatego w filmie „Historia domu Fiedlerów", który teraz piszemy, tytułowy budynek też zyska spore znaczenie.

Wojciech Tutaj

Opowieść dotycząca rodzeństwa może się stać metaforą innych bliskich relacji, które tworzymy poza kręgiem rodzinnym.

JAN HOLOUBEK Z NAGRODĄ TREUGUTTA

Na Jana Holoubka spada ostatnio prawdziwy deszcz nagród, zwłaszcza po podziwianym serialu „Heweliusz". Tym razem jednak reżyser odebrał nagrodę za oryginalny spektakl telewizyjny, „Biedermann i podpalacze" Maxa Frischa.

To był jego reżyserski debiut w Teatrze Telewizji i od razu tak wysoko oceniony przez kapitułę Nagrody im. Stefana Treugutta, przyznawanej już od 25 lat. Uroczyste wręczenie odbyło się w gościnnych progach Galerii van Golik na warszawskiej Saskiej Kępie (14 marca 2026 r.) – gospodarz przygotował z tej okazji autorskie wersje plakatów seriali Jana Holoubka, a także wyróżnionego spektaklu.

Wnikliwą laudację na część Laureata wygłosił Grzegorz Mrówczyński, a prezes Klubu Krytyki Teatralnej SDRP Tomasz Miłkowski wręczył nagrodzonemu pudełko zapałek ozdobione plakatem spektaklu „Biedermann i podpalacze", wyprodukowane unikatowo przez Janusza Golika. Laureat zapewnił, że niczego nie będzie podpalał. *(red)*

Dyplom Nagrody im. Stefana Treugutta wręczył Janowi Holoubkowi prezes Klubu Krytyki Teatralnej SDRP Tomasz Miłkowski.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b257565c1e

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Na ostrym zakręcie

Weto prezydenta jak czerwone sukno rzucone na rogi byka. Tysiące pełnych emocji komentarzy. Nie ma umiarkowanych, wszystkie pełne gniewu, nawet furii. Obie strony zarzucają sobie zdradę. I są tej zdrady przeciwników pewne. Nienawidzimy siebie już naprawdę serdecznie. Powody weta? Strach Nawrockiego przed prezesem. Wola Trumpa. Fobie wobec Unii. I nienawiść do Tuska i rządu, bo SAFE to wielki sukces premiera. Weto Nawrockiego nie zablokuje funduszy na polską armię, prezydent musiał to wiedzieć, a jak nie wiedział, to ktoś mu powiedział. Zatem to tylko gra polityczna, taniec na pobojowisku, jakim jest nasza scena polityczna. Jedno pewne – będziemy teraz jeszcze bardziej się nie znosić.

Zimna wojna domowa marzy o ogniu. Telewizja Republika rzyga chamskimi hasłami. Biorę oddech, zatykam nos i na kilkanaście sekund zanurzam się w szambie tej stacji. Paski krzyczą: „Szajka zdrajców i folksdojczów próbuje zadłużyć Polaków u Niemców na miliony euro", „Prezydent zatrzyma przemarsz Niemców przez Polskę". W jednym okienku mówi Sikorski (musieli to dać, bo transmitują obrady Sejmu), więc „na odtrutkę" w okienku obok maszerują oddziały Bundeswehry z pochodniami (Goebbels serdecznie się uśmiecha). Inne paski wołają: „Folksdojcz atakuje prezydenta Polski", „Chrońmy prezydenta przed przemysłem pogardy". Tak, to jest właśnie ta pokraczna gęba, która się kryje za maską PiS. Jeśli chcecie wiedzieć, czym naprawdę jest PiS, oglądajcie Republikę, ale ostrożnie, bo to jak wchodzić do zatrutego fekaliami strumienia.

Niemal wszędzie, nie tylko w Polsce, umiarkowana prawica przegrywa z radykalną.

Inna refleksja: bardzo jednak boli, że wydajemy i będziemy wydawać takie pieniądze na mnożenie narzędzi zabijania, zamiast przeznaczać je na zdrowie, na edukację, na piękne budowle. Cały ten kosmiczny sprzęt pewnie nigdy nie będzie użyty. Czy jest jednak inne wyjście? Nie ma – i to boli. I trudno nie mieć obaw, że cały nasz świat zmierza do samozagłady.

•

Przywódcy Iranu obiecują, że zamordują Netanjahu. Nawet nie wiedzą, jaką przysługę oddaliby Izraelowi i narodowi żydowskiemu. Ten człowiek bardziej zaszkodził Izraelowi niż wszyscy jego śmiertelni wrogowie. Stanowią z Trumpem niezwykły duet. Ale tu też jest paradoks, Netanjahu być może uchronił Izrael przed zagładą. Opętani irańscy duchowni nie zawahaliby się zrzucić bomby atomowej na ten niewielki kraj.

•

Pamiętam, że kiedy przed laty mówiłem, że prawica będzie chciała nas wyprowadzić z Unii, patrzono na mnie jak na wariata. W Wielkiej Brytanii też wydawało się to niemożliwe. Coraz bardziej musimy wygrać te wybory za półtora roku. Będą oparte na pytaniu, czy Polacy chcą, aby Polska była nadal w Unii. To nóż na gardle. Waldek Kuczyński celnie pisze: „W Polsce nie walczą dwa plemiona, lecz dwie zupełnie przeciwstawne wizje państwa, a nawet społeczeństwa. Wizja państwa rządzonego przez Konstytucję, zakotwiczonego w integrującej się Unii Europejskiej i otwartego na progresywne nurty czasu, z państwem rządzonym przez przywódcę stojącego nad prawem, skłóconym z jednoczącą się Europą i wrogim idącym z niej zmianom w formach życia. Kompromis między tymi dwiema Polskami jest prawie niewyobrażalny, a rządzenie państwem w takich warunkach coraz bardziej niemożliwe. Sytuacja wydaje się zmierzać do politycznego klinczu o wielkim prawdopodobieństwie załamania się proeuropejskiego kursu Polski na rzecz iluzji sojuszu z USA i równie groźnej iluzji Polski Wielkiej i samotnej. Demon narodowego samobójstwa nie pierwszy raz krąży nad krajem".

•

Mój syn pyta, czy wolę PiS, czy Konfederację. Jemu podoba się Bosak. Ten polityk ma rzeczywiście w sobie coś miękkiego, powiedzmy od biedy, że ma jakiś wdzięk dla niewybrednych. Ale to wrażenie znika, gdy Bosak więcej mówi, ujawniając obskuranckie poglądy. Antek wyjmuje go jakby z bagna tej partii i nie widzi, czym on ocieka. Czasami śledzę głosy niższych w hierarchii polityków Konfederacji czy jej zagorzałych zwolenników. To groza. Większość z nas woli Konfederację od PiS, bo jeszcze dobrze jej nie znamy, dopiero władza obnaża i karmi demony. PiS jest dla nas już nagie i potworne w swojej nagości. Sprawdzam czasami wpisy zwolenników Konfederacji w sieci – ciemnogród. Nie są tak szaleni i mroczni jak Braun i jego ludzie, ale to bliscy krewni, jedna rodzina po rozwodzie. Ciekawe, że niemal wszędzie, nie tylko w Polsce, umiarkowana prawica przegrywa z radykalną. Czy media społecznościowe radykalizują ruchy polityczne? Czy raczej szybkość zmian cywilizacyjnych i to, że jesteśmy na ostrym zakręcie? ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b257565c1e

Życie i śmierć to zawsze splot okoliczności

Depresja bez wsparcia jest chorobą śmiertelną. Ze wsparciem też nią często bywa

Tomasz Jastrun

2 marca 2016 roku
Nie wiem, jak zacząć

żyję

Uratowano mnie w ostatniej chwili, ale czy jestem pewien, że to był dobry pomysł?

Pamiętam dłoń z pierwszą ratą pigułek, wahającą się od kilku godzin. Czułem się jak żołnierz, który boi się wyskoczyć z okopu w stronę ściany ognia.

I jaka ulga, gdy ruszyłem… Jeszcze w pośpiechu kilka słów pożegnania… potem łykam następną ratę. Straszne ilości pigułek… jak mogli mnie po takiej dawce odratować? To nie było wołanie o pomoc, to było wołanie o nieistnienie. Śpieszyłem się, chciałem zdążyć przed powrotem dzieci do domu.

Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem smutno uśmiechnięte twarze Daniela i Ewy. Wcześniej to wypłukiwanie ze mnie leków, coś z tego pamiętam… tyle walki, by uratować moje życie, którego już nie chciałem, za wszelką cenę nie chciałem. Jak można było pogardzić taką determinacją.

Jak w przedszkolu pamiętam moje wielkie rzyganie mlekiem na świat cały z powodu kożucha, tak teraz, już po głównym płukaniu, ten rzyg, który pamiętam w przebłysku świadomości, w stronę pielęgniarki – ucieka z piskiem, taki wiejski śmigus dyngus, a ktoś mówi, to już tylko woda, a ja mówię, a pewnie raczej tylko myślę: przepraszam.

Oddział psychiatryczny, gdzie teraz jestem, to wcale nie jest takie ciekawe miejsce, jak się niektórym wydaje, natomiast bardziej okropne, niż się przypuszcza.

Wstrząs dla organizmu był tak wielki, że na dzień minęła mi depresja, dzień wczorajszy. Dzisiaj czuję, jak wraca zachmurzenie i niepokój, powoli, ale nieubłaganie. Jak cudownie było wczoraj czuć się normalnie. Nawet w tym nienormalnym miejscu.

Odwiedziny Pawła, a przede wszystkim Magdy z modemem, tu nie ma internetu… dzięki niej piszę.

Ewa z rzeczami dla mnie, aż strach mi pytać o dzieci, nie myślę o nich, by mniej cierpieć.

Szalona przed chwilą weszła do mojego pokoju i ubrała się w moje rzeczy. Wcześniej łaziła naga po korytarzu, wylewająca się ze swoich brzegów i zawodząca. Tak, dostałem osobny pokój, ruderę, jak nędzną więzienną celę, ale tu to i tak luksus. Jakim luksusem był pawilon więzienny w Białołęce, gdzie mnie osadzili, wobec tego oddziału. Teraz nieszczęsna zawodzi na cały oddział, a facet z wielką siwą brodą, w piżamie, snuje się, co chwila popierdując radośnie, kładzie się na podłodze i wygłasza kazania.

W pokoju nie mogę pisać, nie ma stolika, nie ma kontaktu. Piszę w salce publicznej, ale nie mogę zostawiać komputera bez opieki, jest zagrożony. Jednak kiedy piszę, bezbronny jest mój pokój, tu nie ma kluczy.

Szalona leży w korytarzu na łóżku, przywiązana do niego. Już odarta z moich ubrań.

Odwiedza mnie Ewa K., przerażona tym, co tu zobaczyła, a jako lekarka na wsi wiele widziała. Gdy weszła do pokoju – ubiera się zawsze ekscentrycznie, nie poznałem jej – myślałem, że to kolejny natręt i krzyknąłem: – Proszę natychmiast stąd wyjść!

Czuję, jak mój organizm zaczyna dopominać się leków, brałem ich tony, a teraz nic. Jaki to musi być szok dla organizmu. Czekają, aż zmaleje ich stężenie. Były kłopoty z pobieraniem krwi, odwodniłem się. Wołają na kolację. Nie mogę zostawić komputera, poza tym znowu nie czuję głodu. Zły znak.

Do tej pory miałem wolność wyboru, teraz nawet to mi zabrano.

Znajomi trenują na mnie sztukę pocieszania. W moim przypadku to bywa karkołomnie trudne. Nawet odgłosy tego oddziału, które słychać przez telefon, budzą grozę. Ale najważniejszy jest mózg, który nie dostaje swojego pokarmu.

Wyjąca na korytarzu nie traci wigoru, dopiero kiedy na chwilę milknie, cisza ujawnia swoje tajemnice.

Uduszenie dwójki chorych bardzo poprawiłoby warunki życia na tej okrutnej planecie. Ale główny

eprasa.pl b257565c1e

problem to mój mózg i jego głód narkotyków, nagłe odstawienie leków nie jest bezkarne. Strumień niepokoju płynie wartko. Zatacza koło w brzuchu i pędzi ku głowie.

Nie chciałem dzisiaj rozmawiać z dziećmi, blokuję też myślenie o nich. Miłość owinięta w kolczaste druty.

Każą mi tu oddać komputer o 22, bo cisza nocna. Ponadto komputer ma kabel, a na kablu można się powiesić.

Poeta powiesił się na kablu rozpiętym między dwoma wierszami.

Wiem, że różne osoby zabiegają o to, abym miał lepsze warunki do pracy, ale nie wiem, jak na to zareaguje pani ordynator. Staję się pacjentem kłopotliwym.

3 marca 2016 roku

Noc z przebudzeniami… rankiem wycia chorych… pielęgniarki jak klawisze w więzieniu: nie leżeć, proszę wstawać!… wsłuchuję się w siebie, nie jest tak źle, myślałem, że będzie gorzej. Tylko jakieś neurologiczne dolegliwości, organizm dopomina się leków (odstawione, by je wypłukać z organizmu, przecież nimi się zatrułem). Mój stolik, gdzie pisałem, zajęty, niemożność znalezienia miejsca, gdzie mógłbym usiąść i pisać, polska niemoc też tutaj. W końcu instaluję się w stołówce, tu da się pracować, jeśli wyłączy się telewizor. Podchodzi do mnie psycholożka, która tu pracuje, była kiedyś na moim wykładzie o miłości. Stolik? Nie da się załatwić stolika. Kolejka szlafrokowców i piżamowców po leki, połykanie ich pod czujnym okiem pielęgniarek.

Lekarze, pielęgniarki, wszyscy mówią, że psychiatria jest szczególnie niedofinansowana, a tu właśnie dobre warunki są szczególnie ważne. Ale są też rzeczy niezależne od pieniędzy, a zależne od ogólnej kultury w kraju i te wszystkie nasze słabości wychodzą tu na wierzch. W Polsce nadal ludzie mało się myją, prysznicy niewiele, ale nie są oblegane. I ten brak kreatywności wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi estetyka.

Wielką sztuką jest robić tak niesmaczne posiłki. Polskie malkontenctwo, narzekanie? Nie, to rzeczywiście jest wyczyn. Ale w tym jest też jakiś element niechlujstwa.

Ta pani jest w moim wieku, można napisać – klasyczna polska inteligentka, to rzadki i dobry gatunek człowieka. To, co u nas najlepsze. Jest w podobnej jak ja sytuacji. Próbowała popełnić samobójstwo. Zjadła setkę stilnoxów wklepanych w banany. Nie była pewna, czy to wystarczy, więc chciała sobie jeszcze włożyć na głowę plastikową torbę i zawiązać sznurkiem. Ale tego już nie zrobiła. I jakimś cudem wybudziła się w nocy. Uratowano ją. Jest teraz więźniem życia, podobnie jak ja. Trzymają nas w tym szpitalu jak w więzieniu. Dlatego że jesteśmy niebezpieczni dla samych siebie. Pod przymusem trzymani są w takich miejscach tylko niebezpieczni dla innych i niebezpieczni dla siebie samych. Dlaczego to zrobiła, skoro nie ma depresji? Ma tylko nerwicę. Ale życie jej się znudziło, straciło sens, kolory wyblakły i wszystko smakuje gorzko. Jest w rozpaczy, że ją uratowali. I zmuszają do życia wbrew jej woli.

Opowiada mi o chwili szczęścia, o poczuciu wolności, nawet ekstazy, gdy zaczęła zjadać samobójcze danie, gdy decyzja była już podjęta. Czy nie czułem podobnie? Samobójstwo może być najszczęśliwszą chwilą w życiu. To fragment z mojej książki „Osobisty przewodnik po depresji", z rozdziału „Samobójstwo". Pisząc go, nie miałem pojęcia, że będzie mnie dotyczyć:

Depresję miał autor „Dżumy" Albert Camus – przejmująco pisze o tym w swoich „Dziennikach z podróży" – autor myśli: „Jest tylko jeden problem filozoficzny prawdziwie poważny: samobójstwo". […] Moim zmartwieniem jest odejść stąd i z tym skończyć, skończyć raz na zawsze […]. Wypełniają mnie zielonkawe wody. W których pływają jakieś nieokreślone kształty, w których rozprasza się moja energia. Ta depresja jest w pewnej mierze piekłem. Gdyby ludzie, którzy mnie tu przyjmują, wiedzieli, jak wielki czynię wysiłek, by wydawać się takim jak zwykle, zdobyliby się przynajmniej na uśmiech.

Wpada moja Ewa, potem Emil, znajomy chirurg ortopeda, i Daniel, mój dorosły syn z pierwszego małżeństwa. Był z Ewą, gdy odzyskałem przytomność, moje pierwsze słowa:
– O, widzę, że się nie udało. Trzeba było użyć pistoletu.

Wie, że to nie był spektakl, nie wołanie o pomoc, chciałem się zabić i zabiłbym się, gdyby nie mój wpis i wiersz pożegnalny na blogu i na Facebooku.

Uratowano mnie dzięki spirali zbiegów okoliczności, ale przecież przypadek czasami wie, co robi. Sylwia Ziętek, którą wysłała do mnie Krysia Bociong, nie znałem jej, wpadła kiedyś do nas, abym podpisał jej podanie o stypendium na pisanie książki. Podpisałem, chociaż nic o Sylwii nie wiedziałem, a byłem w tak strasznym stanie, że nawet to było bardzo trudne. I ona przeczytała mój wpis na Facebooku od razu, gdy powstał, i prędko zadzwoniła do Krysi, bo zaniepokoiły ją moje słowa, a Krysia zadzwoniła do Ewy (miała numer telefonu Ewy od bardzo niedawna). Ta pobiegła na górę. Siedziałem z głową na klawiaturze, myszka wypadła mi z ręki i leżała na podłodze. Wydawało jej się, że nie oddycham. Decydowały sekundy… Życie i śmierć to zawsze splot okoliczności.

Jaka musi być skala cierpienia, że ktoś, kto tak kocha życie, swoje dzieci i żonę jak ja, próbował zamordować siebie samego. Ten, kto nie doświadczył depresji, nie jest w stanie sobie tego wyobrazić. Gdy mija ten stan, sami siebie przestajemy rozumieć. Dlatego depresja bez wsparcia jest chorobą śmiertelną. Ze wsparciem też nią często bywa.

Wielkie wołanie: – Po leki proszę!… I ustawia się kolejka cyborgów… Mierzenie ciśnienia. Mam za wysokie. Na łóżku, potem na korytarzu naga kobieta, potworna w swojej obfitości – to ta, która wszystkim podkrada, co się tylko da. A ten łysy z siwą brodą sapie ciągle jak morświn i rozciąga się co chwila na podłodze, w starej piżamie, zawsze

eprasa.pl b257565c1e

z rozporkiem, z którego wyłażą włosy łonowe. Czasami wygłasza traktaty filozoficzne. Włoszka, mieszkała kilkanaście lat w Italii, wścibska, zalotna, nieznośna w swojej radosnej manii.

Przygniatające poczucie odpowiedzialności za dzieci i za dom, i żal mi Ewy… to uczucie pojawia się paradoksalnie wtedy, kiedy czuję się lepiej.

Długo z Kasią przez telefon, ona w krańcowo innej roli niż ja, jest ordynatorem oddziału psychiatrycznego w Cieszynie i ma dzisiaj dyżur.

4 marca 2016 roku

Nie mogłem zasnąć, ale leżałem w ciemności wśród jasnych myśli. Dostałem o pierwszej stilnox, więc wdzięczność dla siostry. Poranne odgłosy szpitala nie sprawiły mi bólu. Wziąłem prysznic w męskiej łazience, gdzie jednak panie wchodzą sobie swobodnie. Nie mam wstydu ciała. Drażni nieprzestrzeganie reguł gry.

Ze wspomnień ostatecznych, widzianych przez mgłę. Ciemność, ale słyszę ciągłe pikanie, teraz wiem, to aparatura, do której byłem podłączony. Czuję, że chce mi się siusiać, komunikuję to pielęgniarce. – Ma pan cewnik. Pokazują mi woreczek z moczem. Co? Nie do wiary! Potem akt wyciągnięcia cewnika. Jakby mi wyciągano całe moje życie erotyczne. Potem karetką do szpitala psychiatrycznego. Ja półprzytomny, ale wolny, tak, wolny od depresji. Co za cudowne uczucie.

Śniadanie w stołówce, wszystko tu smakuje tak samo. Widzę przez okno bez klamek szkołę i uczniów. I myśl, że wolę być tu niż znowu w szkole. To aż taką udręką była dla mnie szkoła? Za szkołą wielki szklany budynek zaprojektowany przez Stefana Kuryłowicza, pamiętam, jak mi o nim opowiadał, że jest złożony z czterech modułów. Rozmawialiśmy w pracowni Kuryłowicza. Wkrótce potem zginie nad Hiszpanią w awionetce, którą pilotował. A opowiadał mi, jak bezpiecznie jest latać samolotem.

Terapeutka zajęciowa mówi, że widziała w kiosku moją książkę „Życie Anny Walentynowicz". Skąd to stare wydanie nagle w kiosku? Te moje rozmowy z Panią Anią w roku 1984, w szpitalu – opowiadała mi swoje życie, jak opowiada się okrutną baśń. Teraz już nie wiem, co z tego było prawdą, i czy wtedy już była tak szalona, jak po latach. (...)

Wpada Paweł z walizeczką na szyfr, z kajdankami, by walizkę przytwierdzić do nogi łóżka. I z odtwarzaczem muzyki. Potem Agnieszka Przepiórska, aktorka, z kefirami i czekoladą. Patrzy na ten oddział szeroko otwartymi oczami i mówi: – Każdy z nas jest o milimetr od tego świata.

Emil, jej brat, też wpada na chwilę, chirurg ortopeda. Mieszka blisko. Chce mi jakoś pomoc, abym mógł pracować na komputerze w swoim pokoju, ale pokój przecież nie jest zamykany na klucz. Więc komputer też byłby zagrożony. Nie ma dobrego wyjścia. Pozostaje stała troska i niepokój o komputer, jakby nie brakowało innych.

Rozmowa z psychologiem, daje mi jakąś ankietę do wypełnienia, setki pytań, nie zamierzam. Potem starszy lekarz internista, który troszczy się o moje zdrowie fizyczne. Ciśnienie za wysokie, serce za szybko bije… Potem z psychiatrą… żadne z tych spotkań mnie nie krzepi. To wszystko raczej utwierdza w poczuciu, że źle ze mną. Ale to wewnętrzny niepokój, jeśli zaczął płynąć, to być może depresja wraca. Może nigdzie nie uciekła, tylko przycupnęła i czekała. Mieć w takim miejscu depresję – to już zupełnie nie-do-zniesienia.

Teraz z muzyką w uszach, ale nie do zniesienia jest kontrast między jej pięknem a brzydotą świata, który tu widzę. Zamknąć oczy. Nigdy nie byłem mocny w niewidzeniu.

Łysy piżamowiec z brodą zaczyna szaleć, żadna muzyka go nie zagłuszy.

Leki zaczynają mnie tumanić, ale nie usuwają niepokoju. Zabiorą mi zapewne zaraz część wigoru pisania, podetną skrzydła, zamulą… To może ostatnie godziny, kiedy w moim świecie jest jeszcze trochę światła. Piszę, co czuję, obym się mylił. Można się łudzić, że to będzie okres przejściowy, zanim leki załapią. Jeśli załapią.

Przyszła zawodząca, ta, co się ciągle rozbiera i wszystko podkrada. Siedzi przy stoliku obok. Bełkoce, ślini się, zawodzi. Obok Włoszka mierzy wszystko centymetrem. Jak ja mam tutaj na stołówce zostawić teraz komputer? Muszę go stale pilnować, więc jestem jego więźniem. Lub wszędzie go ze sobą zabierać. Tak wodzimy się nawzajem. (...)

Jakaś awantura, wariacka jak przystało na miejsce. Nie wiem, czy długo będę mógł pisać, czy dam radę, czy będą warunki, a bez tego pustka ostateczna. Leżałem w swojej norze, ja – najbardziej tu uprzywilejowany pacjent. Tracę energię życia, więc też słowa.

Był na chwilę syn, ten dorosły, Daniel. Przywiózł sporo rzeczy, ale musiałem go zmartwić sobą. O Franiu, Antosiu i Ewie znowu staram się nie myśleć, bo to zwielokrotnia cierpienia. Nie chcę, nie mogę z nimi rozmawiać.

Muszę pisać przy włączonym telewizorze, gapi się w ekran pustymi oczami jegomość w piżamie, który nic nie rozumie. Nic. Czeka mnie tu wegetacja i degradacja, tak to czuję. I pokazuję wam swój świat, jakbym mieszkał w domu Wielkiego Brata.

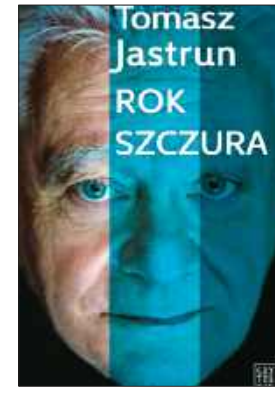

Fragment książki Tomasza Jastrun *Rok szczura*, Czytelnik, Warszawa 2026

eprasa.pl b257565c1e

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Pogwarki o zwolnieniach i zniewoleniach

W górach czuję się wolny najbardziej; straciłem dla nich głowę od pierwszego wejrzenia, jeszcze w głębokim dzieciństwie, palec straciłem znacznie później, po kilku dekadach wspinaczki podziemnej i graniowej. Konkretnie palec u lewej stopy. Od kiedy zaś go straciłem, zmieniła mi się postawa, stopa nieco się odkształciła, przesunęły najbardziej obciążane punkty, słowem łatwiej przyrastają mi odciski, muszę uczęszczać do podołożki. A ona lubi sobie pogadać przy skrobaniu nagniotków; od czego byśmy pogwarki nie zaczęli, kończymy tematem wolności.

Ona mnie podpytuje o podróże mniejsze i większe, o przeprowadzki i życie nomadyczne, sama bowiem jest domatorką i osobą rodzinną, wyjeżdża niechętnie, wolny czas zabija w przydomowym ogrodzie. Tym się teraz różnimy; kiedyś też największą wartością były dla mnie miłość i rodzina – nie powiem, abym z tego wyrósł samodzielnie, raczej turbulencje życiowe mnie przysposobiły do wolności i do tego, by się nią samotnie rozkoszować. „Dobrze jest mieć w życiu kogoś, kto zada pytanie: »Kochanie, kiedy wrócisz do domu?«", mówi ona. „Ach, to przecież podwójne zniewolenie – odpowiadam. – Nie dość, że się jest uwiązanym do miejsca, to jeszcze do człowieka". A ona, jako że mnie czyta, a przynajmniej podczytuje cytaty ze mnie, co to pierwsze wyskakują w wyszukiwarce, przywołuje: „Ale przecież kiedyś pan napisał, że ludzie tak naprawdę mogą mieszkać tylko w innych ludziach, depresja to nic innego jak bezdomność, na depresję cierpią ci, którzy nie mają w kim zamieszkać". Tłumaczę więc, że to nie ja, lecz jeden z bohaterów mojej powieści, już nawet nie pamiętam który, wkładałem w usta postaci nawet i większe bzdury, ta konkretnie jest całkiem makabryczna, bo opisuje psychikę drapieżnego pasożyta, toż takie kocopoły mógłby powiedzieć na kozetce ósmy, obcy pasażer Nostromo.

I tak sobie gwarzymy dalej: „Ale przecież dobrze mieć w życiu coś stałego, jakiś widok z okna, do którego się przywykło, który jest nasz, oswojony". Ja jej na to, że w pierdlu mają codziennie ten sam widok z okna, miarą wolności jest zmienność widoków, a potem już sam siebie cytuję w narcystycznym uniesieniu: „Wolę mieć widoki na bieżąco niż widoki na przyszłość". I w końcu ona dochodzi do wniosku, że w takim razie powinienem był już dawno wyruszyć w nieustającą podróż dookoła świata, ja jej na to, że niechybnie tak uczynię, jak ostatnie z moich dzieci dorośnie i już mnie potrzebować nie będzie. To ona mi, że przecież pojawią się wnuki, zawsze są jakieś maleństwa w rodzinie; ja jej na to, że nie zamierzam być dziadkiem piastującym, chcę być dziadem wędrownym.

Muszę mieć do roboty tylko laptopa i wifi, przyjdzie dzień, w którym zredukuję swój dobytek tak, aby zmieścił się w sakwach podróżnych, wsiądę na rower i będę przejeżdżał dale sine, a i te różnobarwne. Znaleźć do 30 euro sensowny nocleg z łazienką i dostępem do sieci w dowolnej części świata nie jest problemem, a to oznacza i tak życie o wiele tańsze niż w ciasnej, wynajmowanej klitce dowolnego dużego miasta w Polsce. Praca niechybnie się uzdalni, wszyscy uzdalnieni ludzie pojmą, że w tej samej cenie mają wybór między spędzaniem życia w mikrokawalerce z widokiem na śmietnik i pędzeniem życia przez świat szeroki z przystankami tam, kędy nogi poniosą.

W kinach właśnie zagościł nowy film Park Chan-wooka. Koreańczyk zawsze robi kino intrygujące, choć nie zawsze potrafi przykroić swoje meandryczne scenariusze, przeto jego filmy cierpią na nadmiar atrakcji, człowiek wciąż ma wrażenie, że poszczególne tytuły mogłyby sięgnąć rangi arcydzieł, gdyby je w montażowni ścięto o pół godziny. Właśnie o cięciach traktuje jego nowa, bardzo czarna komedia, czy może thriller z elementami groteski, choć równie dobrze dramat psychologiczny z doby późnego kapitalizmu. Film jest pierwszorzędną adaptacją drugorzędnej powieści Donalda Westlake'a pod tytułem „The Ax", w kinach znajdziemy go pod tytułem „Bez wyjścia", nieszczególnie trafionym, wszak bohater wyjście z beznadziejnej sytuacji znajduje dość bystro, inna sprawa, że jest to wyjście iście zabójcze. Facet całe życie harował w papierni, dorobił się domu z ogrodem i rodziny, więc kiedy pada ofiarą cięć kadrowych, to dla niego koniec świata, zwolnienie bynajmniej wyjścia na wolność nie stanowi. Żeby wykarmić dziatwę i psy, a także zachować standard, do którego się przywykło (od którego się uzależniło, którego stało się niewolnikiem), trzeba jak najprędzej znaleźć nowe miejsce pracy. A że rynek się kurczy w galopującym tempie wskutek robotyzacji, kandydatów na jedno miejsce jest stanowczo zbyt wielu – wszystkie perypetie wynikają więc z realizacji planu wyeliminowania konkurentów.

Ze współczuciem, ale i zdumieniem przez ponad dwie godziny oglądałem losy człowieka, który z szaloną determinacją walczy o… nową niewolę. Finałowa scena jest przerażająca – w całkowicie zautomatyzowanej fabryce papieru, która jeszcze niedawno tętniła życiem wieloosobowej kadry, jeden człowiek wystarcza do nadzoru sztucznej inteligencji i przemierza hale, w których robota wre bez żywego ducha. ■

eprasa.pl b257565c1e

NA POWAŻNIE

Msza z baletem

Być może znów rozgorzeje dyskusja, czy dzieło takie jak „Requiem" nadaje się na widowisko baletowe. Ale przed wydaniem opinii należy obejrzeć to wielowarstwowe muzycznie, scenograficznie, kostiumowo i oczywiście baletowo widowisko.

O scenografii i kostiumach można powiedzieć jedynie: urzekające. Układy choreograficzne opracowane przez Jacka Tyskiego przykuwają uwagę, lecz nie spychają muzyki geniusza, chóru i czwórki solistów na dalszy plan. Wielka w tym zasługa hiszpańskiego dyrygenta – Marc Moncusí wraz z muzykami nadał „Requiem" właściwe tempo: uroczyste, bliższe atmosferze mszy w kościele.

Zwolennikom czystości formy i niewprowadzania baletu do mszy Mozarta powiem: nie bójcie się o muzyczne doznania. Gdy posłuchacie chóru, jego wykonania choćby „Lacrimosy" czy części „Sanctus", okaże się, że nic nie jest w stanie przyćmić nieśmiertelnego dzieła.

Paweł Dybicz

W.A. Mozart, „Requiem", reżyseria i choreografia Jacek Tyski, kierownictwo muzyczne Marc Moncusí, Opera Krakowska, premiera 1 marca 2026

KURTYNA W GÓRĘ

Pippi niepokorna

Rudowłosa Pippi, postać stworzona przez Astrid Lindgren, obchodziła niedawno 80. urodziny. Ale wbrew upływowi lat wciąż jest rozbrykaną dziewięciolatką, której nieposkromiona fantazja, a przede wszystkim przepastna empatia jednają sympatię na całym świecie. Historia zaliczana do klasyki dziecięcej pozostaje więc żywa, co potwierdza najnowsza adaptacja. Teatr Rampa nawiązuje do tradycji spektakli familijnych, toteż na widowni zasiadły dzieciaki z rodzicami. Jedni i drudzy bawili się doskonale, bo inscenizacja Agi Błaszczak zaleca się dobrym tempem, sprawnością warsztatową i dowcipem.

Na scenie króluje Pippi, której energii użycza Anna Mierzwa, malująca portret dziewczynki niedającej się wodzić za nos. Przy czym świetnie śpiewa i tańczy – idealnie w tej roli obsadzona. Godnie jej partnerują pozostali wykonawcy, tworząc wiele sytuacji budzących odzew na widowni, jak scena w szkole utrzymana w konwencji opery komicznej, z niezawodną Agnieszką Makowską jako nauczycielką egzaminowaną przez Pippi.

Tomasz Miłkowski

„Pippi" według adaptacji Zdzisława Jaskuły, reżyseria Aga Błaszczak, Teatr Rampa na Targówku, premiera 20 lutego 2026

NA EKRANACH

Ostatnia sesja w Paryżu

reż. Rebecca Zlotowski, prod. Francja, już w kinach

Niegdyś każdy film z Jodie Foster w roli głównej był wydarzeniem – dziś już nie do końca tak jest. Co nie oznacza, że „Ostatnia sesja w Paryżu" należy do filmów nieudanych. Przeciwnie, choć nie jest to rzecz idealna, zgrabnie operuje tajemnicą. Foster wciela się w terapeutkę Lilian Steiner, która przez przypadek staje się częścią intrygi. Nie potrafi uwierzyć w samobójstwo swojej pacjentki, jest coraz bardziej przekonana, że musiało to być morderstwo. I zaczyna całą sprawę obierać niczym cebulę, a my towarzyszymy jej w tym angażującym zmysły procesie. Ten film zagadka jest trochę jak powieść Stephena Kinga, którą pisarz niegdyś stworzył, ale postanowił nie wydać. Koniec końców dobrze, że ktoś postanowił zekranizować tego typu scenariusz, utrzymany w kingowskim stylu.

Jan Tracz

MIĘDZY OKŁADKAMI

Aro Sáinz de la Maza

Kat Gaudiego

tłum. Robert Kędzierski, Anna Krochmal
Sine Qua Non, Kraków 2026

U nas pierwsza część serii „Morderstwa w Barcelonie" ukazała się na 100-lecie śmierci Gaudíego, ale Sáinz de la Maza wydał ją jeszcze w 2012 r., a odwołał się do wydarzeń z 2010 r., gdy Benedykt XVI miał poświęcić słynną bazylikę Sagrada Família. Dzieła Gaudíego, co autor powtarza, stały się dla Barcelończyków przekleństwem, tworząc z miasta park tematyczny. O wywłaszczeniach pod budowę gigantycznych schodów do wciąż nieskończonego kościoła pisaliśmy w „Przeglądzie" w zeszłym roku, ale fala wysiedleń dotknęła mieszkańców już w 1992 r., przed igrzyskami olimpijskimi. Koszty społeczne uatrakcyjniania miejskiej przestrzeni i podporządkowania życia turystyce to wyróżnik tego thrillera, w którym ktoś zmienia Barcelonę tym razem po swojemu – w „lunapark grozy". Na ratunek ściągnięty zostaje inspektor Milo Malart – utalentowany, lecz niestabilny, zagrożony chorobą psychiczną, skonfliktowany z otoczeniem i po niedawnej osobistej tragedii zawieszony w obowiązkach, słowem jeden z tych modnie „trudnych". Materiał na kolejne tomy.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. BARTŁOMIEJ ZAWIŁA/TEATR RAMPA, BEST FILM, OPERA KRAKOWSKA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b257565c1e

Anders Hansen, Mats Wänblad

Efekt samotności

Dlaczego przynależność do grupy jest tak ważna

Razem jesteśmy silni

Przez większość swoich dziejów człowiek musiał żyć we wspólnotach, żeby dać sobie radę w świecie pełnym niebezpieczeństw. (…) Prawdopodobieństwo przetrwania było większe we wspólnocie, a więc przewagę zyskiwali ci, którzy mieli silniejszy instynkt do tworzenia i pielęgnowania więzi społecznych. Dzięki temu dążenie do wspólnoty było przekazywane kolejnym pokoleniom. Z punktu widzenia mózgu o to właśnie chodzi – żeby przetrwać i przekazać geny. To znaczy, że wy też macie je w swoim genomie, inaczej by was nie było. Mózg nagradza nas dobrym samopoczuciem za każdym razem, gdy doświadczamy wspólnoty z innymi ludźmi. (…)

Wspólny śmiech

Brytyjski antropolog Robin Dunbar obliczył, że stado ludzkie funkcjonuje najlepiej, jeśli składa się z ok. 150 osobników (liczba Dunbara wyznacza górną granicę liczby osób, z którymi można utrzymywać stabilne relacje społeczne). Również on, jako pierwszy, postawił tezę, że wspólny śmiech może dawać podobny efekt jak grupowe iskanie. W ramach pewnego badania zabrał do kina dwie grupy ludzi, którzy się nie znali. Jedna grupa obejrzała zabawną komedię. Grupie kontrolnej pokazano natomiast nudny film dokumentalny. Jeśli Dunbar miał rację, to u osób, które śmiały się razem, powinno uwolnić się więcej endorfin niż u osób z grupy kontrolnej. Aby ustalić, czy to prawda, po pokazie poproszono wszystkich uczestników o włożenie rąk do wiader z lodowatą wodą. Endorfiny mają działanie przeciwbólowe, więc grupa śmiejąca się powinna (jeśli teoria jest poprawna) być w stanie dłużej wytrzymać zimno. I tak też było.

A zatem wspólny śmiech daje taki sam efekt, jaki małpy uzyskują z wzajemnego iskania – z tą ważną różnicą, że śmiech może wzmocnić więzi między więcej niż dwiema osobami naraz. Jeśli się nad tym zastanowić, śmiech rzeczywiście jest aktywnością grupową. Nie śmiejemy się tak bardzo z zabawnego filmu, gdy oglądamy go w pojedynkę. Późniejsze badania wykazały, że nie tylko śmiech ma takie działanie. Chodzi o wspólne doświadczanie podobnych emocji w tym samym czasie. Identyczny skutek uzyskamy dzięki oglądaniu naprawdę smutnego filmu, ale również podczas wspólnego tańca, śpiewania czy treningu grupowego.

Zagrożenie samotnością

W ciągu dziejów wykluczenie z grupy oznaczało zazwyczaj pewną śmierć. Kiedy to zrozumiemy, a tym samym uświadomimy sobie, jak ważna jest dla nas grupa, nie będziemy się dziwić, dlaczego mózg traktuje samotność jako wielkie zagrożenie. Przedłużającą się samotność interpretuje jako znak, że w razie potrzeby nikt nam nie pomoże. Dlatego nakazuje nam szczególną czujność, przez co gorzej śpimy, a sam sen jest płytszy, żebyśmy zawsze byli gotowi na najgorsze. Wpadamy w tryb walki lub ucieczki, a nasz mózg sygnalizuje, że inni mogą być do nas wrogo nastawieni (lepiej dmuchać na zimne, przecież nikt nas nie wspiera). W przypadku myśliwego-zbieracza takie podejście pomagało uratować życie, ale nam przynosi więcej szkody niż pożytku. Otoczenie zaczyna nas uważać za zgryźliwych, podejrzliwych, a nawet niemiłych.

Jeśli wciąż widzimy we wszystkich same negatywy, możemy dojść do wniosku, że lepiej odsunąć się na bok. „Zaprosili mnie, ale na pewno wcale mnie tam nie chcą, nie to nie, i tak wolę zostać w domu". I tworzy się błędne koło. Ludzie przestają nas zapraszać, co mózg interpretuje jako potwierdzenie swoich przypuszczeń: „No jasne, naprawdę mnie tam nie chcieli". I wycofujemy się jeszcze bardziej.

Jeśli więc ktoś, na kim nam zależy, unika kontaktu i sprawia wrażenie, jakby nic go nie interesowało, pamiętajmy, że może to być efekt samotności, a nie prawdziwa chęć pozostania sam na sam ze sobą. Dlatego starajmy się utrzymywać kontakt i oferować towarzystwo, ponieważ brak zaproszenia, gdy planujemy coś fajnego, jest w praktyce sygnałem odrzucenia.

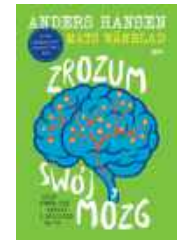

Fragmenty książki Andersa Hansena i Matsa Wänblada *Zrozum swój mózg. Skąd biorą się emocje i dlaczego są OK*, przeł. Emilia Fabisiak, Znak, Kraków 2026

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl b257565c1e

JOLKA

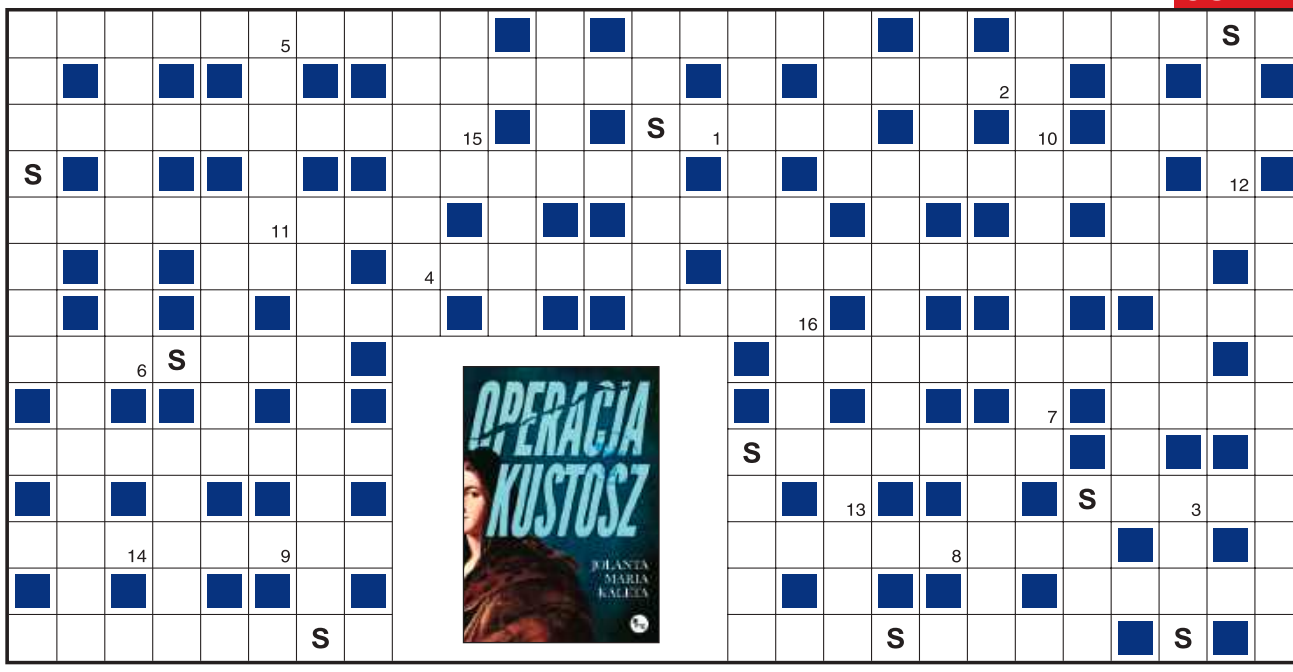

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 16 utworzą końcowe hasło.

- niemiecki producent błon fotograficznych
- kapitan ścigający Moby Dicka
- żelazne ratuje podejrzanego
- impertynent
- trzy bez... – odzywka brydżowa
- każdy człowiek w stosunku do drugiego
- pilnowanie i niespanie
- bezzałogowiec na polu walki
- część składowa lub podejrzany typ
- stanowisko pracy ze stałą pensją
- z akacją tworzy australijski scrub
- symbol, herb państwa
- „Krwawe…" Garcíi Lorki
- tworzywo na skoczni narciarskiej
- hiszpański żołnierz straży granicznej
- w makijażu, peruce i barwnym stroju
- dochodzi z silnika i bocianiego gniazda
- coś nieudanego, źle zrobionego
- Władysław, kulomiot, potem aktor
- zarys tekstu, lekcji w punktach
- Tom, Sylwester lub Filemon
- Hugh grający dr. House'a
- znakomitość w dziedzinie nauki, kultury
- film Bajona z Lindą, Englertem, Nowickim
- …właścicielski nad przedsiębiorstwem
- narząd lub zbliżona kształtem torebka
- niezręczność towarzyska
- właśnie przestał być kawalerem
- co diabeł nim nakrył, to się zawieruszyło
- przyrody lub bibliograficzny
- …pokładowy – stewardesy i stewardzi
- rozsiewane kłamliwe opowieści
- jej skórka zdobi pączki
- wygłupy, aby zwrócić na siebie uwagę
- nikłe, blade światło
- wydarzenia z zamierzchłej przeszłości
- pocisk sygnalizacyjny
- pierwsza… świata – o najlepszych w tenisie
- gatunek muzyczny Eminema i Quebonafide
- ponowne uruchomienie komputera
- nie klei się lub schodzi na inny temat
- matematyczne, kroku albo do najlepszych
- spływa nią deszczówka
- o pompie pożarniczej
- dawniej siedlisko, osada wiejska
- pasmanteria, rybny lub antykwariat
- zasłona okienna z grubej tkaniny
- długi, jedwabny, powiewny lub ciepły wełniany
- podwodne przedłużenie kontynentu
- pchli lub dobijany
- Jacques, twórca postaci pana Hulota
- ukształtowanie terenu z umiejscowieniem obiektów
- uczenie psa wykonywania poleceń
- skrzydełko lub ono na talerzu
- magiczny przygotowywany przez Panoramiksa
- zatopienie się w myślach
- napa
- pieszczotliwie o malcu ze stadniny

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1266". Do rozlosowania książki „Operacja Kustosz" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 29 marca 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1263" z nr. 10: *Chciwego nie można nasycić*. Nagrody otrzymują: Kazimierz Okoń z Wrocławia, Zdzisław Pietruk z Międzyrzeca Podlaskiego, Maria Przybylska ze Zgorzelca.

eprasa.pl b257565c1e

Ktoś mówi po persku?

Gdy wybuchła wojna Stanów Zjednoczonych i Izraela z Iranem, w naszym MSZ zaczęto szukać ludzi znających się na Bliskim Wschodzie i Iranie. No i proszę, znaleziono. Przypomniano sobie o skromnym desk officerze zajmującym się Iranem, czyli o Barbarze Ćwioro. Zdaje się, jedynej osobie w MSZ, która zna język perski. Skończyła orientalistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim ze specjalnością iranistyka. Potem, w roku 2002, przeszła przez aplikację dyplomatyczno-konsularną i tak związała się z MSZ.

Tu była na fali, wyjeżdżała m.in. do Teheranu. Był zresztą taki moment, że ówczesny szef MSZ Grzegorz Schetyna wysunął jej kandydaturę na stanowisko ambasadora w Iranie i sejmowa komisja to zaakceptowała. Ale za chwilę zmieniła się władza i nowy szef MSZ zaproponował Barbarze Ćwioro dyrektorskie stanowisko w centrali, więc z wyjazdu do Iranu zrezygnowała.

Pisaliśmy o niej parokrotnie. Ostatnio podawaliśmy ją jako przykład, obok Jacka Izydorczyka, byłego ambasadora w Japonii, osób, które toczą w związku z pracą w MSZ sądowe boje. Z tym że, o ile Izydorczyk jako prawnik radzi sobie bez adwokata, dzięki czemu zaoszczędził setki tysięcy złotych, o tyle Ćwioro takich możliwości nie ma.

A przed sądem staje, ponieważ zarzuca się jej, że będąc ambasadorem RP w Pradze, stosowała wobec podwładnych mobbing. Kłopot w tym, że zarzuty padły w roku… 2019. Wtedy zawiadomienie do prokuratury złożył ówczesny dyrektor generalny MSZ Andrzej Papierz.

Sprawą tą zajęła się również działająca w MSZ Komisja Antymobbingowa i Antydyskryminacyjna. Do komisji dotarły trzy skargi i gremium to uznało, że Ćwioro „dopuszczała się mobbingu i dyskryminacji". W efekcie w 2020 r. została ze stanowiska ambasadora odwołana. A dyrektor generalny, który latał po świecie pierwszą klasą, oczywiście za pieniądze MSZ, kazał jej wracać do Warszawy pociągiem.

Z perspektywy czasu sprawa jest coraz dziwniejsza i zaczyna wyglądać na intrygę. Wiadomo, że Ćwioro była szefową wymagającą – taką miała opinię jako dyrektor Departamentu Polityki Europejskiej – i twardo egzekwującą wykonanie zadań. Wiadomo też, że Praga jest uznawana za placówkę wypoczynkową, więc ktoś wymagający musiał wywołać bunt. I to osób wpływowych, nie tylko w MSZ.

Na to nakłada się jeszcze jedno – Ćwioro była bliską współpracowniczką Witolda Waszczykowskiego, który Papierza nie znosił, walczył z nim, nazywał go (w mediach) Rasputinem. No to Rasputin się odegrał. W zasadzie wciąż się odgrywa, bo sprawa trwa. A MSZ ma kłopot. Ponieważ ma pracownika kompetentnego i oddanego, ale nie za bardzo może z niego korzystać – bo, po pierwsze, trudno inwestować w kogoś, kto może za chwilę usłyszeć wyrok. Po drugie, trudno od kogoś wymagać czegoś ekstra, skoro nie ma dopuszczenia do wiadomości tajnych (za sprawą oskarżenia).

Zdaje się więc, że mamy przykład, jak służby potrafią niszczyć niewygodne osoby. I jak uderza to w MSZ. Warto by tej sprawie jeszcze raz się przyjrzeć.

Attaché

Podróżni na stacji Kamalapur w Dakce, jadący na Święto Przerwania Postu, Id al-Fitr, obchodzone na koniec ramadanu. Bangladesz, 18 marca 2026 r.

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl b257565c1e

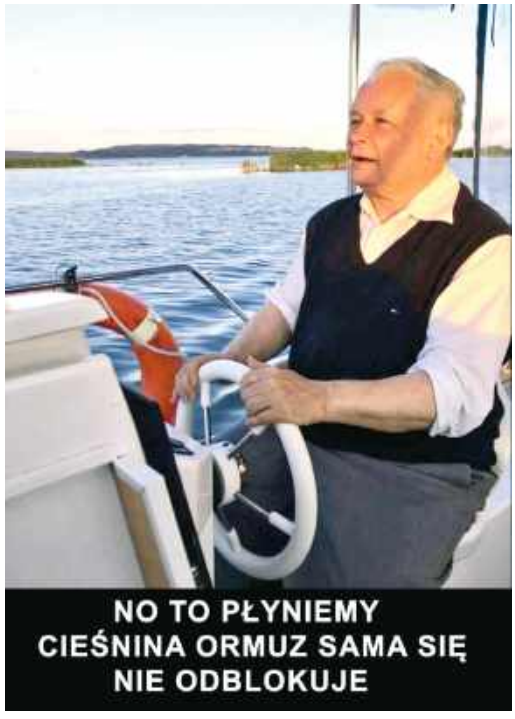

PENETRACJE

NIE

PIOTR SZUMLEWICZ,
PRZEWODNICZĄCY ZWIĄZKOWEJ ALTERNATYWY

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk jest dla mnie jednym z większych rozczarowań. Tak naprawdę ona niewiele różni się od Marleny Maląg, jej odpowiedniczki z PiS. Jeżeli chodzi o poziom dialogu, to momentami jest wręcz gorzej – ona bojkotuje Związkową Alternatywę jako niepokorny związek. Ma za to swoich bliskich związkowych przyjaciół – OPZZ z Konfederacją Pracy na czele czy Inicjatywą Pracowniczą. Mam też wrażenie, że ministra pracy jest niesamodzielna. Sprawia wrażenie, jak gdyby ministerstwem rządzili jej doradcy, czyli Sebastian Gajewski i Liwiusz Laska – ludzie związani z OPZZ, którzy bronią swoich partykularnych interesów.

FORUM MYŚLI WOLNIEJ

PROF. MAREK ABRAMOWICZ,
ASTROFIZYK

Kepler, Newton i Einstein wierzyli w Boga szczerze i głęboko, ale każdy zupełnie inaczej. Inaczej także z powodu Bożych atrybutów, które rozumieli swoiście. Kepler był zafascynowany atrybutem Trójcy. Widział „obraz i podobieństwo" Trójcy Świętej w kosmicznym porządku świata. Świat musi być kosmiczną kulą, twierdził w przypływie mistycznego wizjonerstwa (które zwiodło go na manowce), bo tylko taka kula ma dokładnie trzy atrybuty – środek, wnętrze i powierzchnię. Newton był zdecydowanym przeciwnikiem koncepcji Trójjedynego Boga, ale także, jak Kepler, wierzył w Boga osobowego. Einstein, który często mówił o Bogu, widział go podobnie jak Spinoza – wierzył, że Bóg i regularnie harmonijny świat przez Boga stworzony stanowią jedno. Natomiast nie wierzył, aby Bóg zajmował się losem i uczynkami ludzkości.

PANI

KAROLINA GRUSZKA,
AKTORKA

Jaki stosunek do swoich rosyjskich korzeni ma twoja córka?

– Jest z rosyjską kulturą bardzo mocno połączona i dbamy o to, żeby przez sytuację polityczną nie zaniedbała tej więzi. Maja bardzo dobrze mówi po rosyjsku, bo aktywnie uczestniczy w życiu naszej fundacji, ale nieco gorzej mówi i czyta. Nad tym planujemy pracować, bo chcemy, żeby kiedyś mogła czytać Tołstoja czy Czechowa w oryginale. Myślę, że nie ma w niej wewnętrznego konfliktu związanego z tożsamością, bo i nasze poglądy, i poglądy osób z Rosji, które bywają w naszym domu, są bardzo jasno określone.

VIVA!

DOROTA SZELĄGOWSKA,
PREZENTERKA TELEWIZYJNA I PROJEKTANTKA WNĘTRZ

Ludzie lubią komentować, że wszystko zawdzięczasz mamie?

– Ale to święta prawda, bo ja jej naprawdę wszystko zawdzięczam. Przede wszystkim życie. I to, kim jestem, jak wyglądam. I to, że mam zgrabne nogi. Ale też pierwsze większe pieniądze i pierwsze mieszkanie. A wcześniej bardzo trudną historię, ale bardzo ważną i dobrą w tym wszystkim. Pochodzę z rodziny, w której totalnie nie było kasy. Wiem, co to znaczy iść kawał drogi do szkoły przez zaspy śniegu przy minus 15 stopniach. Wiem, co to znaczy, nie mieć nic w lodówce, a pierwsze pensje oddawać mamie, żeby pomóc w domu. Moja mama zaczęła być znana, jak już byłam dorosła i pracowałam w telewizji.

FOT. AMEM, BEZ RÓŻOWYCH OKULARÓW, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl b257565c1e

ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* górskie plecy — B E G I R T
* roślinki z płatkami — A I I K K W
* obudowa zegarka — A E K O R T
* rozłupane wzdłuż włókien — A C P S Y Z

T Z N P

ROZWIĄZANIA: GRZBIET, KWIATKI, KOPERTA, SZCZAPY

Aby język giętki…

ANDRZEJ GRABOWSKI O KAROLU NAWROCKIM
Nie robi takich min jak Duda, ale zaczyna robić takie miny jak Trump.

IWONA BIELSKA O POLITYCE
Żyję polityką, ale widzę, że coraz bardziej mnie to dobija i spala. Głupota i skrajny egoizm to mieszanka nieuleczalna.

PROF. ANNA SIEWIERSKA O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM
Ma bardzo złe zdanie o Polakach, a co gorsza, zdaje się, że ma rację.

RENATA GROCHAL O MARIUSZU BŁASZCZAKU
Nie jest nadmiernie przywiązany do własnych poglądów i to jego główna zaleta w oczach prezesa Kaczyńskiego.

CVETA DIMITROVA O POCZUCIU KRZYWDY SPOŁECZNEJ
Ponad 60% badanych uważa, że system faworyzuje elity kosztem zwykłych ludzi.

MARCIN PROKOP O SZOŁBIZNESIE
Dla mnie to trochę kolorowy cyrk, który kończy się, jak się wychodzi z namiotu.

AGNIESZKA GROCHOWSKA O WŁASNYCH GRANICACH
Tylko człowiek, który szanuje własne granice, nie przekracza granic drugiego człowieka.

JOANNA SARAPATA O PORANKACH
Czasami maluję od piątej rano, wtedy wszystkie dusze śpią, nikt o nas nie myśli i nie ściąga naszych wibracji.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl b257565c1e

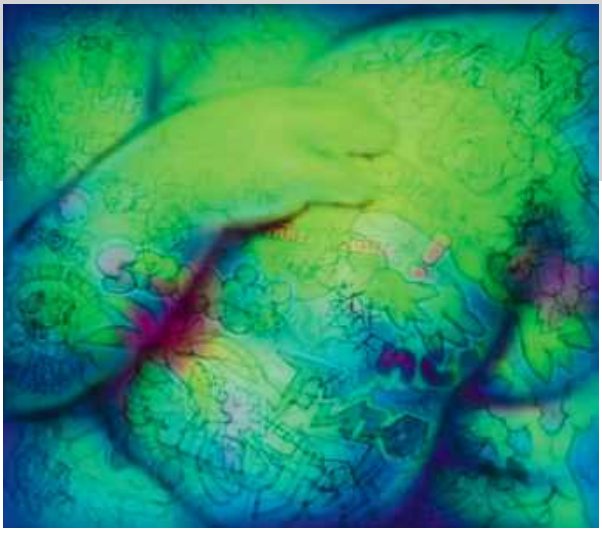

Magda Kirk
CLOSE TO HOME

Magda Kirk (ur. w 1990 r.) powraca z nowym cyklem obrazów i rzeźb, podejmując temat cielesności w szerokim kontekście społecznym i kulturowym. To pierwsza od wielu lat jej wystawa w Polsce, dotąd jej twórczość prezentowana była m.in. w Nowym Jorku, Madrycie, Tajpej i Mediolanie. Prace Magdy Kirk tworzą wielowymiarową opowieść wizualną łączącą przeciwieństwa: piękno i dziwność, delikatność i siłę. Spotykają się w nich inspiracje popkulturą, estetyką graffiti, tatuażem i kreskówką.

Galeria Przypływ
Gdynia, ul. 3 Maja 27-31/30
do 16 kwietnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b257565c1e

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL | STODOLA.PL**

eprasa.pl b257565c1e

mastercard
OFF CAMERA

Nagroda FIPRESCI

Berlinale
75 Internationale Filmfestspiele Berlin
Panorama

SSIFF
Donostia Zinemaldia
Festival de San Sebastián
International Film Festival

GDY STAJESZ PRZED DYLEMATEM, JAKIEGO NIE CHCIAŁBY MIEĆ NIKT Z NAS

DOBRA SIOSTRA

REŻYSERIA
SARAH MIRO FISCHER

german films
AURORA

W KINACH OD 27 MARCA